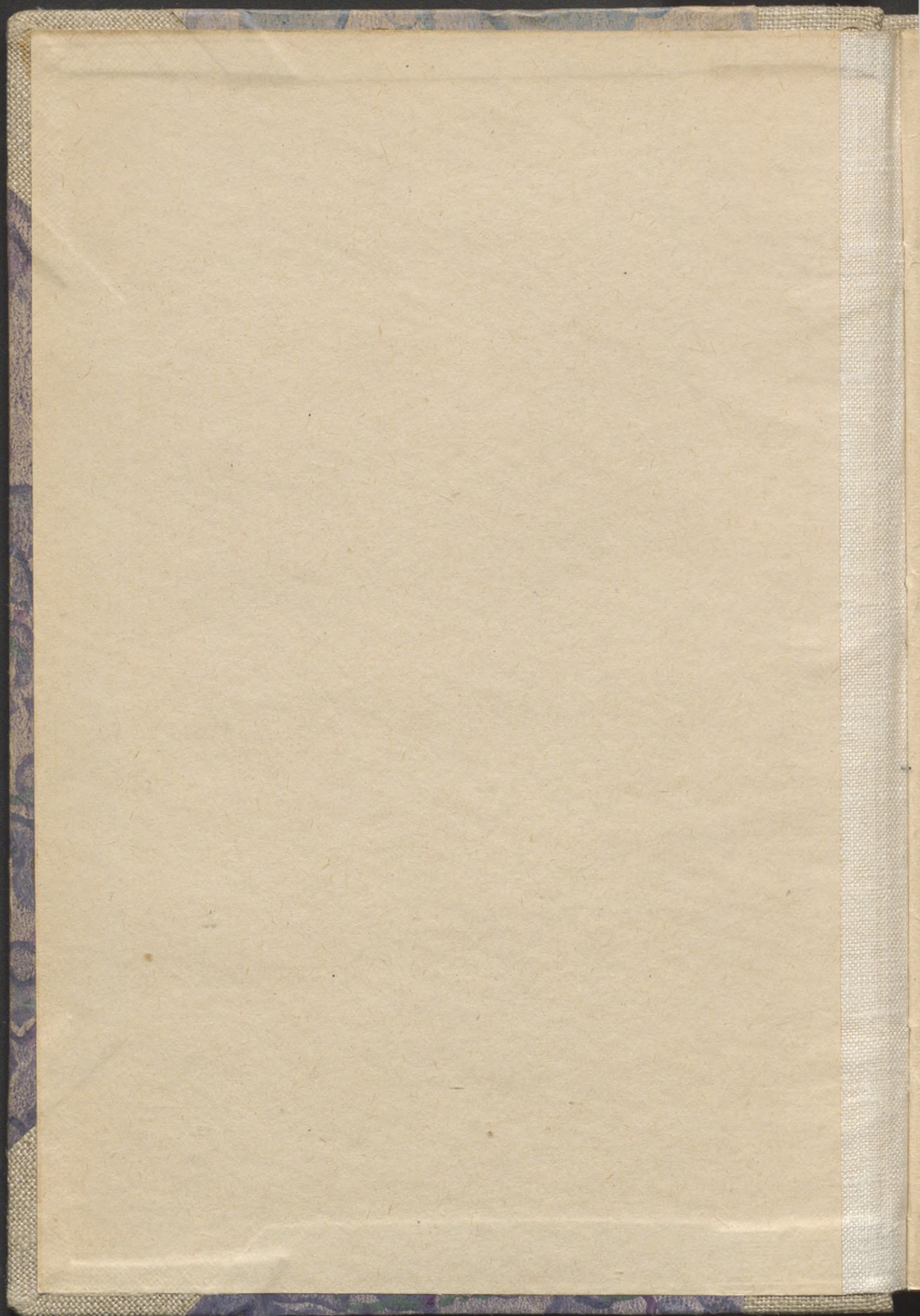


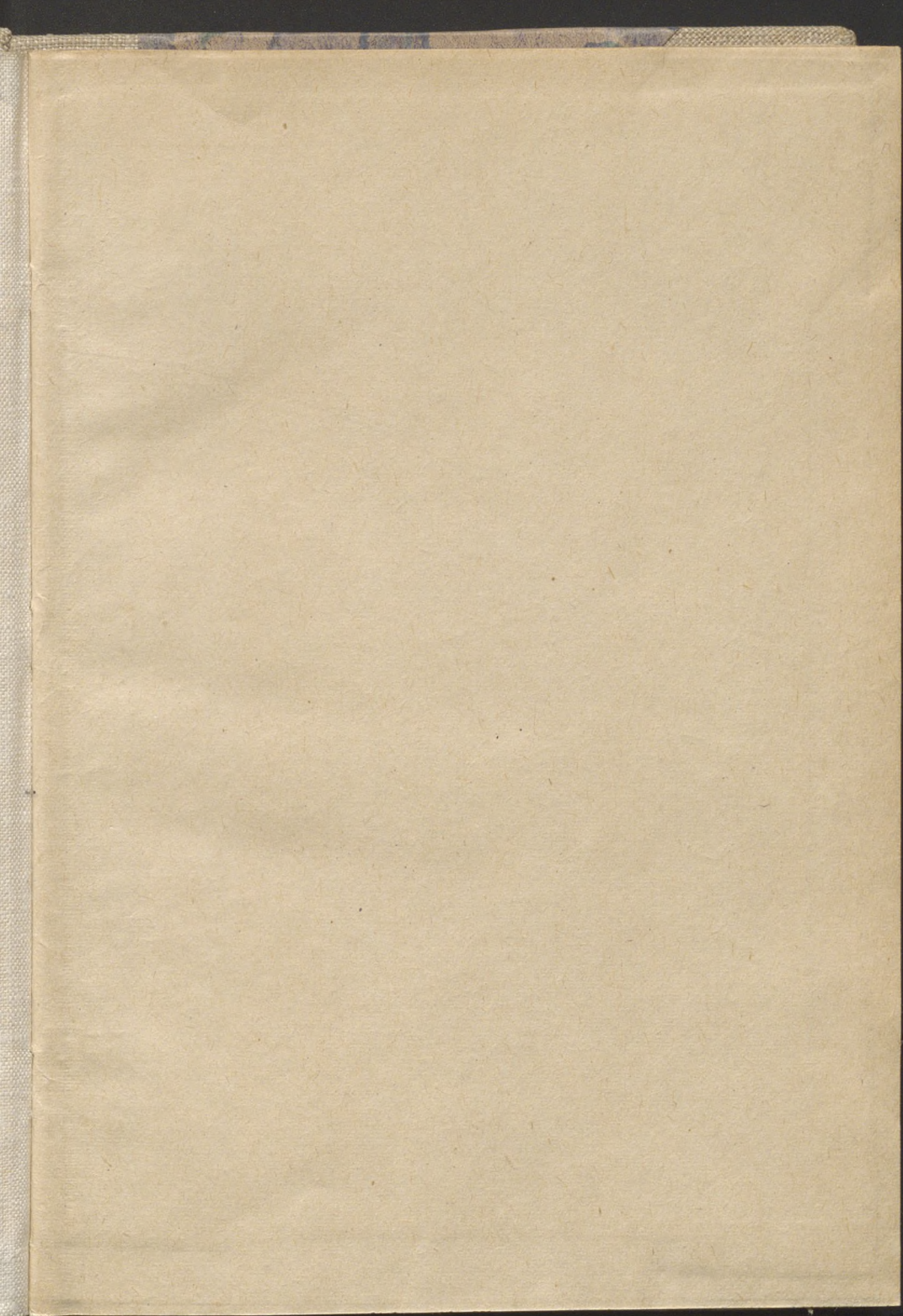
213



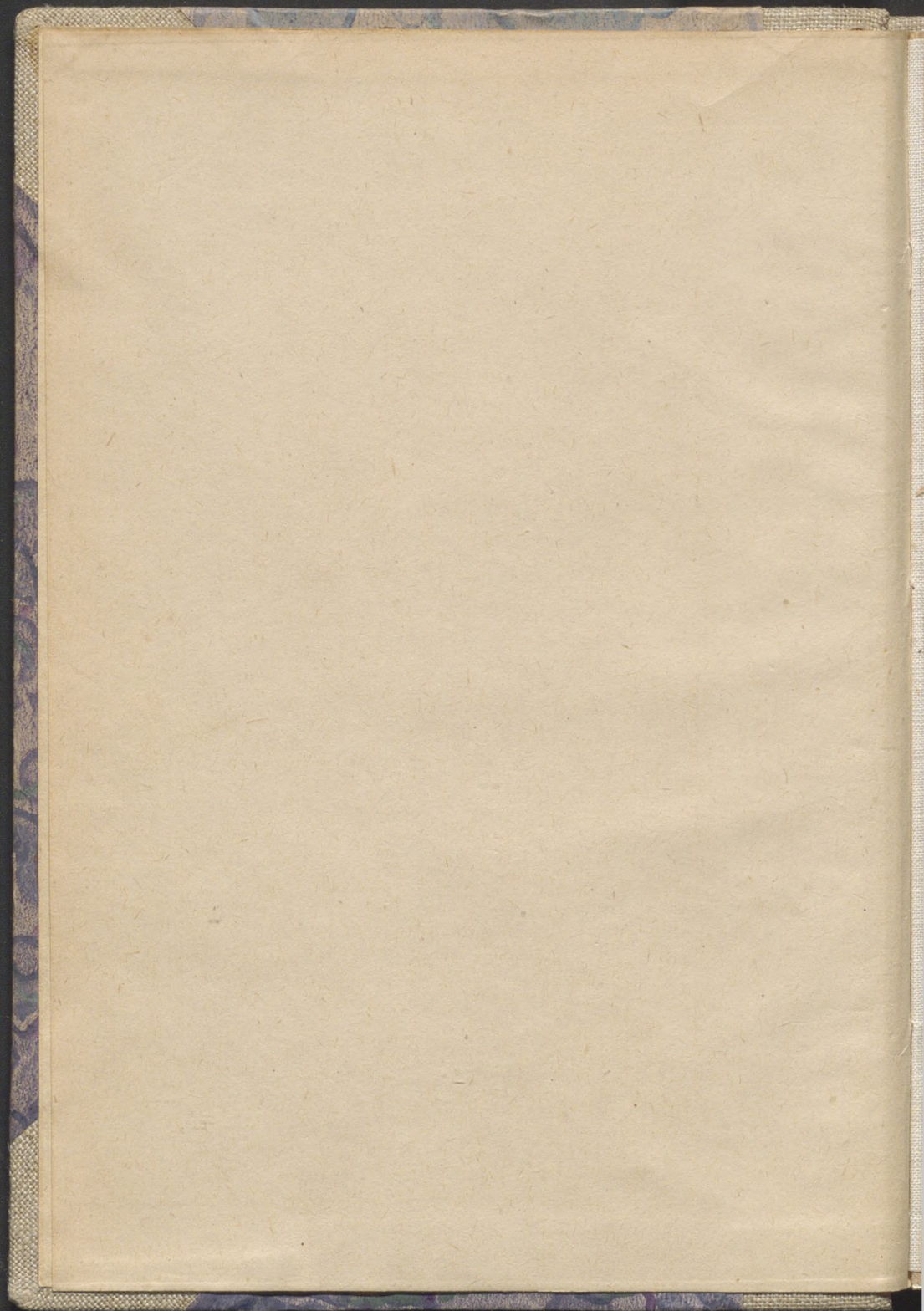














01112  
II. 558.213  
4228.8.30  
30156

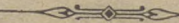
# ROMANS W TRANSWAALU.

PRZEZ

G. d'Adhémara.

Przełożyła z francuskiego

Helena Szawłowska.



WARSZAWA.

Nakład **A. Pajewskiego**, ulica Niecała № 12.

Druk i Lit. **F. Kasprzykiewicza**, Miodowa № 6.

1900.





ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, 10 Октября 1900 года.



II. 558.213

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001009038255

1966 W 984/2



## KSIEGA PIERWSZA.

---

### I.

#### Związek Południowo-Afrykański.

Cienie nocy kładły się na małe miasteczko Wenderfontein, na białe wille, widniejące wśród klombów kwiatowych i drzew rozłożystych, (niebo Afryki sieje o zmroku piasek złoty na ziemię odświeżoną).

Szczyty gór stawały się niewyraźne, ostre występy skał nikły naraz z wysokich gór dokoła, miasteczko majaczyło w dolinie, jak nieforemna bryła z jaśniejszemi plamami na tle zupełnie ciemnem.

W jednym z domów na skraju przedmieścia, już prawie w polu, główni posiadacze ziemi, Burowie, zbierali się na radę.

Jeden po drugim pukali do drzwi od strony pól uprawnych, które zasłonięte były od oczu ciekawych gęstem zaroślem.

Po wymianie hasła umówionego, wpuszczano wszystkich do ogromnej sali.

Zebranie składało się blisko ze stu mężczyzn. W rogu dużej sali stała na stole mała latarka, słabo



rozpraszająca ciemności, za stołem siedział starzec, obok niego dwie młode dziewczyny: jedna była córką starca, druga dzieckiem przybranem.

Achiles du Plessis wezwał wszystkich osadników Transwaalu, wszystkich *Afrykanderów*, żeby zaprotestować przeciw zajęciu Republiki Południowo-Afrykańskiej przez rząd Wielkiej Brytanii.

Wszyscy ci potomkowie protestantów, wypędzonych z Francji po odwołaniu Edyktu Nantejskiego, i pierwszych awanturników niderlandzkich, stawili się na wezwanie.

Zazdrośni o swoje prawa i niepodległość, oczekiwali, od chwili wystąpienia bezprawego Anglii z d. 12 kwietnia 1877 roku, hasła tylko, aby wojną otwartą zastąpić wojnę głuchą, podstępną, jaką zaprzysięgli.

Hasło to wyszło od jednego z Boerów, najbogatszego i najwięcej szanowanego. To też pośpieszyli na wezwanie.

Kiedy Achilles du Plessis powstał, dreszcz przeszedł po zgromadzonych.

Głowy się odkryły, a przy tym ruchu pomimo wolnym broni zadźwięczała, w zetknięciu z ubraniem myśliwskim ze skóry; trysnęły blaski sinawe z długich stalowych *roers* holenderskich.

Przywódzca związku stanął w całej swej wysokości, panując w ten sposób nad zgromadzeniem tych silnych osadników, z których ani jeden nie trzymał mniej niż sześć stóp wzrostu.

Głosem silnym zaczął czytać umowę związku:



„W obliczu Boga Wszechmogącego, który patrzy w serca i którego błagamy o pomoc, my, obywatele Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej, zawieramy dla nas i dla naszych dzieci *bund* (związek święty), który potwierdzamy uroczystą przysięgą.“

Słowa, długo w sercach powstrzymywane, wymawiane były z uniesieniem, a każde, skandowane wolno, dźwięczało w obszernej sali i znajdowało echo w sercach wszystkich Burów obecnych.

Starzec czytał dalej:

„Upływa dziś lat czterdzieści, kiedy ojcowie nasi wyemigrowali z Przylądka (Cap), aby stworzyć naród wolny. Założyliśmy Natal, Stan wolny Orański i naszą Republikę; a po trzykroć Anglicy podeptali naszą autonomię i sztandar, ochrzczony krwią i łzami ojców naszych. Te lat czterdzieści były czterdziestu latami trudów i boleści. Nasza Republika była, rzecz można, okradana nocną porą, a tej kradzieży nie możemy i nie chcemy dłużej tolerować.“

Patryotyczne oburzenie rozniecało w obecnych, zdecydowanych żyć wolnymi pod swoim szerokim niebem, wszystkie uczucia zemsty nieubłaganej.

Du Plessis udzielał rodakom swego zapachu!..

Głos jego rozlegał się szeroko, ręka gestem groźnym ścisnęła papier, na którym akt był spisany; blade światło latarki srebrzyło białą jego brodę, podobny był, ten starzec uroczysty, opięty w kurtkę skórzaną, do kapłanów, wzywających na wojnę krzyżową i podniecających ludzi okrzykiem:

„Bóg tak chce!“



Sędziwy Bur podjął znów, akcentując silnie każde słowo:

„Taka jest wola Boga, że przekazujemy czyste dziedzictwo dzieciom naszym tak, jak je dostaliśmy. Wola ojców i miłość dla synów to nasz obowiązek. Z tych powodów zbieramy się tutaj i, ręka w rękę, jak ludzie, jak bracia, obowiązuje się uroczyście pozostać wiernymi dla naszego kraju, naszego ludu i działać wspólnie pod okiem Boga, i aż do śmierci.“

Osadnicy, poruszeni do głębi serc wzniosłemi słowy, podnosili głowy; unosił ich zapal patryotyczny, ze wszystkich piersi wydobywał się jeden i ten sam okrzyk:

— Przysięgamy!

— Biblia? — zapytał starzec, zwracając się do jednej z młodych dziewczyn.

Ta, która wydawała się młodszą, pochwyciła księgę świętą i rozłożyła: towarzyska chciała ją uprzedzić, lecz tamta wymówiła głosem słodkim:

— Pozwól, Luiso, ja jestem młodszą.

Mary ukazała się w pełnym świetle przed starcem, który przynosił ją połową wzrostu.

Jasno-włosa, różowa, ze łzami w oczach, obydwoma rękami podtrzymywała Biblię, która, oparta na piersiach dziewczyny, unosiła się i opadała razem z uderzeniami serca, wzruszonego patryotyzmem.

Młode dziecko, prawie szesnastoletnie, w białej sukience, wyglądało jak zjawisko anielskie, a Burom wydała się symbolem ojezycznej.



Przed nią przesunęli się jeden po drugim wszyscy obecni.

Każdy kładł rękę na księdze, mówiąc głosem silnym:

— Przysięgam wierność na *bund*, który nas łączy.

Procesya zdawała się być skończona, kiedy ze swego miejsca, Achilles du Plessis zawezwał człowieka, który, starając się nie być widzianym, stał w najdalszym i najciemniejszym kącie sali.

— Hopkins, o czem rozmyślasz? — rzekł przywódzca ligi.

Mężczyzna zagadnięty zadrżał i zbliżył się pośpiesznie.

Tak samo, jak inni, zabierał się przysięgę złożyć, kiedy starzec go powstrzymał:

— Zapłaciłeś kontrybucyę?—zapytał.

— Tak! odparł Hopkins.

— Więc pokaż pokwitowanie...

Z kieszeni zniszczonego kaftana skórzanego osadnik wyjął papier z wypisanymi kilkoma wierszami i czarnymi pieczęciami urzędników angielskich.

Du Plessis pochwycił papier i obrócił żywo na drugą stronę. Złożył go potem na stole.

— Hopkins — rzekł, — przyszedłeś z Przyładka, jesteś Anglikiem, żądałeś należenia do nas. Nie powiedziałem ani tak, ani nie. Kto cię tu wezwał?

Dawny *Digger* dyamentów zmieszał się, lecz prędko przyszedł do siebie:



— Stefan, twój służący, dał mi znać — odpowiedział swobodnie.

— Jeżeli nie kłamiesz, Stefan źle zrobił! — odparł Bur.

Krew napłynęła do twarzy Hopkinsa, z oczu, z pod brwi rudych, strzeliła groźna błyskawica.

Pohamował się jednak i zapytał:

— Co chcesz powiedzieć?

— Że zapomniałeś obowiązków afrykandra. Dla czego, jak my wszyscy, na odwrotnej stronie pokwitowania nie zaprotestowałeś i nie podpisałeś nazwiskiem, że nieprawe jest pobieranie kontrybucyi przez urzędników angielskich, twoich współrodaków?

Zamiast odpowiedzi wprost na pytanie Hopkins wzruszył ramionami i odparł:

— Anglikiem nie jestem, tak samo jak wy wszyscy.

Jestem afrykanderem; my, czy to Niemcy, czy Francuzi, czy Holendrzy, nie mamy właściwej ojczyzny, mamy tylko ojezyznę przybraną.

— Której źle służysz! — dokończył du Plessis.

— Której obowiązuję się służyć tak samo, jak wy wszyscy, — odparł górnik.

Cheiał położyć rękę na Biblii, lecz starzec pochwycił go za ramię i krzyknął:

— Nie chcę twojej przysięgi!

Anglik pozostał z ręką wyciągniętą, osłupiały, spoliczkowany zniewagą. Potem nagle postąpił krok naprzód, szukając broni za pasem.



Kilkunastu Burów, którzy dotąd obojętnie przypatrywali się scenie, chciało rzucić się na Hopkinsa. Starzec skinął ręką i nikt nie ruszył się z miejsca.

— Nie chcę twojej przysięgi, powtarzam!—oświadczył szef ligi, stojąc z rękami skrzyżowanymi przed swoim interlokutorem.

— Dlaczego? Ja, jak wy wszyscy, mam wzrok pewny, i pięść silną.

— Być może... Lecz jesteś anglikiem...

— Co to szkodzi, jeżeli nienawidzę moich współrodaków.

— Kto raz zdradził, będzie zdradzał ciągle—wyrzekł du Plessis z wolna.

— Znieważasz mnie, starcze! — ryknął górnik, chwytając za rewolwer.

Ruchem, niż myśl, szybszym starzec wyrwał broń przeciwnikowi i spokojnie bez drżenia na twarzy mówił dalej:

— Ja cię nie znieważam, lecz sprawa święta nie potrzebuje odstępów. Przyszedłeś tu, słuchałeś, wiesz wszystko. Służ nam, jeżeli ci się podoba. W dniu walki przyjmujemy cię w szeregi. Po tej próbie otworzymy ci serca, lecz nie wiąż się przysięgą. Miałbyś pokusę uchybić zobowiązaniu, przyjętemu przed Bogiem. Jeżeli masz zamiar zdradzić nas, zaprzedać, będziesz to mógł uczynić Hopkins, będąc wolny, nie popełniwszy krzywoprzysięstwa. Zabierz broń swoją i odejdz.

Hopkins wściekły zagryzł wargi i skierował się do drzwi.



Na znak przewodcy, Burowie rozstąpili się, ażeby uniknąć zetknięcia z anglikiem.

Ani jeden głos nie podniósł się przeciw temu wyrokowi, ani jedna ręka nie wyciągnęła się do górnika, który na progu drzwi otwartych obrócił się, celując rewolwer na starca.

— Mógłbym cię zabić — krzyknął z twarzą, konwulsyjnie wykrzywioną... — Lecz to byłaby za mała zemsta...

Trzasnął drzwiami za sobą i uciekł, ażeby uniknąć gniewu zebranych.

Du Plessis wzruszył ramionami i ścisnął ręce partyzantów. Członkowie związku powrócili do domów wśród ciemnej nocy, zawisłej nad Wonderfontein.

Żaden policyjant na żołdzie Anglii — oprócz Hopkinsa — nie podejrzewał zebrania; i ten pakt zjednoczenia, zawarty przez wszystkich główniejszych farmerów i posiadaczy Burów, w cichej nocy w kwietniu 1879 roku — jak raz w dwa lata po czynie gwałtu, spełnionym przez Anglię, która zagarnęła Republikę transwaalską — był wstępem do walki bohaterskiej za niepodległość.

---



## II.

## Bandyta.

W odległości kilkunastu kilometrów od posiadłości, gdzie odbyła się ta narada, na polance, wśród gęstych euforbusów i krzaków mimosy, towarzystwo podróżnych rozłożyło się obozem.

Ognie płonęły, rzucając czerwony odbłysek na namioty kafrów, na budy płócienne długich i ciężkich wozów, w których większa część podróżnych szukała ochrony przed nocną wilgocią.

Dwóch mężczyzn leżało wyciągniętych na skórach lamparcich przy ogniu. Owinięci w wełniane dery rozmawiali półgłosem, a psy ich, duże, podobne do dzikich zwierząt, o długich pyskach, krótkiej sierci, drzemały przy ich nogach.

— Ładna wyprawa! — mruknął jeden z mężczyzn tonem melancholijnym.

— Nic cię do niej nie zobowiązywało, Wiliamie— odpowiedział drugi, rzucając w ognisko pęk gałęzi suchych, które zatrzeszczały i buchnęły białawym dymem i milionem iskier.

— Jakto nic mnie nie zobowiązywało?—odparł ten, którego nazwano Wiliamem. Nie mogłem przecie cofać się, kiedyście wy, jak szaleńcy, przedsięwzięli taką wyprawę pod pozorem polowania, dyamentów, kopalni złota, czy ja wiem czego tam jeszcze?

— Możesz wrócić do Europy.



— Dziękuję za łaskawe pozwolenie... ma ono jedną tylko wadę, że za późno przychodzi. Siedmdziesiąt sześć dni podróży samemu.... Nienawidzę samotności.

— Więc po co narzekasz?

— Że wybrałem się bez zastanowienia. — Przybyłem do Paryża... Idę do ciebie. Pytam twoją odzwiertną: „Pan Jan Vaillant? — Wyjechał wczoraj — Ba! a gdzie? — Do Londynu.“ Pędzę do Londynu. Zastaję cię za stołem w restauracyi na Sztrandzie. „Dzień dobry! — Dzień dobry. — Czy ty z nami? — To zależy! — Wyjeżdżamy. — Do Paryża? — Nie do Transwaalu. — Do dyabła. — Kiedy? — Jutro. — Z kim? — Z tem państwem...

Nastąpiły przedstawienia: jasno-włosa miss, wątła, ośmnaście wiosen, marząca, znudzona flirtem w zakładach kąpielowych morskich, tańcem, romansami czytanimi; spragniona miłości, poezyi, szerokich horyzontów, w poszukiwaniu serca dziewczęcego, któreby jej serce zrozumiało, w dodatku posiadająca sto tysięcy franków dochodu. A tego serca szuka w tym kraju, w tem absolutnem pustkowiu. Znalazła je, co ważniejsze, u jednego z naszych towarzyszy podróży, Cladiona Eudes, marsylczyka, postrzelonego, z małemi zajęczkami w głowie. Należy także do tej przekłętej podróży brat tej angielskiej, sir Harisson, baronet, rudy milioner, znudzony i nudny. Temu potrzeba wrażeń, jak ich nie ma, poziewa. Przyjemny towarzysz, niema co mówić... Nie mogę go znosić!

— Więc odjedź sobie — powórzył Jan Vaillant, wiedząc doskonale, — że przyjaciel nie skorzysta z rady.



— Mam odjechać! przyrzekniesz pisywać do mnie i nie dotrzymasz. Wiesz co! z pomiędzy was wszystkich, towarzyszy, jeden mnie tylko bawi. Ten yankes, dobry jak duży brytan, silny jak byk, łagodny jak baran, zbudowany jak herkules, ubrany jak ksiądz. I powiedzieć, że swemi grubemi palcami fabrykował sprężyny do zegarków... Serce wykwintne, przy powierzchowności lubieżnika, apostoł z manierami starego żołnierza. On nie szuka awantur, polowań, miłostek, on szuka swojej prawej żony, która uciekła z kochankiem.

Jan Vaillant spodziewał się, że gadatliwy towarzysz umilknie w końcu, lecz ten ani myślał, choć przyjaciel jego udawał, że zasypia.

— Wreszcie, ty! ty! — podjął gaduła, — po coś aż tu przyjechał?

— Ażeby mieć przyjemność ciebie z sobą zabrać.

— Powód pochlebny dla mnie, ale nie wystarczający.

— Powiedziałem: opuściłem ojczyznę dla...

— Dlaczego?

— Ależ, dla niczego! — odparł Jan Vaillant zniecierpliwiony...

— Hm! życie składa się z takich *dla niczego*.

— Słuchaj, Wiliamie Linden, daj mi pokój z twojami zapytaniami. Jestem tu *dla tego* i *dla tamtego*.

— Dziękuję za wyjaśnienie! Więc tak było... Decydujesz się... pakujesz manatki, siadasz na okręt. Ośmnaście dni drogi na pokładzie *Kifrans-Casite*. W Beaufert-West kupujesz prowizye woły, wozy, amunicye. Włóczysz się dwa miesiące i... cóżeśmy zyskali...



— Analizuj twoje uczucia i rezultaty tych uczuć, a mnie pozwól spać. Połącz praktyczny i ciężki zmysł alzateczyka z lekkością i błagą paryżanina, filozofuj, ile ci się podoba, lecz... dobranoc.

Jan Vaillant odwrócił się z postanowieniem spania, pomimo potoku słów przyjaciela.

Wiliam, nie mając do kogo, mówił do siebie półgłosem.

— Ja także rachowałem, że się prześpię pomrukiwał,—a tu jak na złość gałęzie palą się prędzej—niż słoma. Od godziny już szósty raz się podnoszę.

— Ba! jutro na innem posłaniu będziemy spali odezwał się Jan Villant, żeby go pocieszyć.

Lecz Wiliamowi Linden chodziło o logiczne wyjaśnienie tego, o czym zaczął, i mówił dalej:

— Sześć razy na godzinę! to czyni raz na dziesięć minut... Niepodobieństwo spać w takich warunkach.

Zamilkł wreszcie. Cisza przerażająca ciężyla dookoła, powiększając do niebywałych rozmiarów najbliższy szelest.

Słysząc było silne chrapanie kafrów, przerywane niekiedy ostrym krzykiem ptaka drapieżnego, lub dalekiem wyciem hyeny.

Jan Vaillant wsparł się na łokciu, utkwił oczy w zygzaki płomieni, potem odrzucił nogą derę i przypatrywał się swemu ubraniu.

Podróż, zmienna temperatura, wypadki pozostawiły ślady niezatarte na sukniach myśliwego.

Dolne ubranie pościągane było niemi przez krawca improwizowanego.



— Powinno jednak dobrze wyglądać, przy naprawkach! — mówił Wiliam, spostrzegłszy po raz pierwszy, że i jego część ubrania, tak niezbędna, niema nawet dziesięciu centymetrów materiału całego.

Kaftan z wołowej skóry uszyty przez Bura, wytarty już był i puszczał na szwach. Kieszenie skórzane ledwie się trzymały. Pończochy wełniane podarte od butów, których jedynie obcasy podkute oparły się kamienistym ścieżkom i grzązkiemu błotu.

Dwaj przyjaciele rozmyślali w ten sposób, kiedy naraz pies Jana Vaillant, zastrzygł uszami i podniósł głowę!

Machinalnie, żeby nie być widzianym, myśliwy wyciągnął się na ziemi i patrzył w kierunku, w którym pies wietrzył.

— Pst! Dax, — rzekł, głaszcząc psa.

Starał się przebić wzrokiem ciemności. Nagle spojrzął w miejsce, gdzie cień od wozów padał czarny na ziemię. Leżąc na brzuchu, wyciągnął rękę, dotknął ramienia towarzysza i zapytał go szeptem:

— Widzisz, tam, przy wozie miss Anny?

Wiliam Linden spojrzął z kolei.

Jakiś człowiek, z wielkimi ostrożnościami, przesuwał się od wozu do wozu, a tak lekko, że nawet sucha gałązka nie zatrzeszczała pod jego nogami.

Jan Vaillant w jedną sekundę zdecydował się: zaczolgał się jak wąż do najbliższego drzewa, a skoro upewnił się, że nie może być widziany, posuwał się na rękach i kolanach. Wiliam poszedł za jego przykładem i zaczolgał się także w gąszcz irysów; ukryci obydwaj





w krzakach, zanurzeni po szyję w wysokiej trawie i roślinach pnących, z twarzami, drapanymi cierniem, a nogami, krwawionymi kolcami kaktusów, zbliżali się szybko ku człowiekowi o ruchach podejrzanych.

Jan Vaillant i alzatezyk potrzebowali więcej, niż dziesięć minut tego marszu męczącego, żeby okrążyć polankę, nie wychodząc z krzaków.

Ujrzeni w końcu nocnego gościa, który, stojąc na pniu drzewa, rozpatrywał wewnątrz jednego wozu przez szparę, zostawioną w zasłonie płóciennej u wejścia do wnętrza.

Dwaj towarzysze stali na skraju zarośli, patrzyli i namyślali się, jak postąpić.

Przestrzeń szeroka niezarosła, dzieliła ich od człowieka szpiegującego. Musieli skryć się za wierzbę płaczącą i ztamtąd obserwować jego ruchy.

Nabijali strzelby i cicho udzielali sobie spostrzeżeń o tem niespodziewanem wydarzeniu.

— Może to jeden z naszych kafrów usłyszał jakiś szmer podejrzany!—szepnął Jan Vaillant.

— Byłby w takim razie dał nam znać!—odpowiedział Wiliam.— Jaka szkoda, że nasz znudzony anglik śpi, zamiast być z nami.

Zamilkli. Nieznajomy zbliżał się do nich. Wsunął się na środek polanki, z kąd mógł objąć okiem całe obozowisko, a w tej chwili księżyc przedarł się przez chmury i oświecił twarz jego, pomimo że szybkim ruchem naciągnął na głowę derę, którą miał złożoną na ramionach, Linden miał czas poznać go; szepnął do ucha przyjaciela:



— Górnik Hopkins.

— Domyśliłem się — odparł Jan poprostu. — Trzy dni jak nas opuścił; to więcej niż potrzeba na obmyślenie czegoś dla nas złego.

— Górnik angielski, spotkany w pustyni, to może być tylko bandyta. Można mu jeszcze przyznać, że zachował formy. Czekał, aż przestanie być gościem naszym, ażeby nas okraść.

Jan Vaillant uchwycił za rękę towarzysza, ażeby mu nakazać milczenie.

Hopkins stanął na miejscu.

Zdawał się nasłuchiwać w stronę dwóch myśliwych i wahał się...

W końcu jednak się uspokoił.

Psy znały go i zachowywały się cicho: ogniska przygasaly powoli!..

Ludzie, śpiący na ziemi, nie budzili się...

Spokój uzuchwalił nędznika: powrócił do wozu, pokrytego szarem płótnem w szerokie czerwone pasy, co mu nadawało pozór elegancyi, rzadko dający się widzieć przy tych ciężkich wehikułach, ciągnionych przez całe szeregi wołów.

Wóz ten stał w środku półkola innych wozów. Uczucie wysokiej delikatności, nie rzadko napotykanego u ludów na pół dzikich, oddaliło służbę, zulusów i powożących burów, którzy rozłożyli się dosyć daleko z wołami i psami.

Jeden tylko stróż spał pod ciężkim wozem, którego koła głęboko zagrzęzły w wilgotnym gruncie; nie



myślał o niebezpieczeństwie i zanim usnął, położył broń obok siebie.

Gornik nachylił się i szybkim ruchem porwał pistolet i fuzję śpiącego.

Wyprostował się, potem wdrapał na jedno z kół i bez szelestu wszedł do wnętrza wozu, zapuściwszy za sobą płótno, zasłaniające wejście.

Jan Vaillant ukląkł w krzakach i wycelował do górnika, lecz ten znikł w chwili, kiedy paryżanin miał cyngiel nacisnąć.

— Przekleństwo!—rzekł Jan,—czego ten bandyta szuka u miss Anny?

Ależ, mój drogi, przyjęliśmy go, żywili, dogadzali, on zaś korzysta do końca z naszej gościnności...

— Myślałem przez chwilę, że zamorduje Harissona.

— Czemu ja go nie ubiłem!

— Miss Anna byłaby umarła ze strachu.

— A teraz?

— Kobiety odważniejsze są wobec niebezpieczeństwa rzeczywistego, niż urojonego! — odpowiedział alzatzczyk sentencyonalnie.

Jana nie było już przy nim. W trzech susach przebył polankę, mówiąc:

— Zabiję, jak psa tego Hopkinsa, nie pozwolę mu przerwać marzeń zachwycającej kobiety, uspioonej i bezbronnej. Taka piękność mogłaby skusić górnika!

Hopkins rzeczywiście miał przed sobą cudny obraz. Nocna lampka oświecała wnętrze wozu.

Miss Harisson uroczo-piękna z falą rozrzuconych złocistych włosów, spała na skórkach zwierząt najrzadszych.



Do koła niej rozwieszono były łupy, zdobyte przez myśliciów w pośród niebezpieczeństw, o jakich trudno mieć pojęcie.

Od kabłąków, na których rozpięte było płótno budy, zwisała się broń kosztowna i rogi łosiów, świeżo zabitych.

Młoda dziewczyna, pogrążona w śnie głębokim, leżała jak posąg nieruchomy, uśmiechała się do marzeń złotych.

Hopkins zadrżał. Usta mu się wykrzywiły, pięści zacisnęły nerwowo, jak gdyby już trzymały tę postać delikatną i wątłą.

Wtem młoda dziewczyna otworzyła oczy i chciała krzyknąć, ale bandyta rzucił się do niej jak dzikie zwierzę, zatkał jej usta jedną ręką.

Naraz uniosło się płótno u wejścia do wozu.

Ukazał się Jan Vaillant.

— Nędzniku! — krzyknął.

Lecz zanim paryżanin zdołał ująć za broń, górnik rzucił się na niego z nożem, w górę wzniesionym.

Wtem strzał się rozległ; Hopkins wydał krzyk ostry, zachwiał się i padł jak kłoda, obryzgując krwią obrońcę miss Anny. Bo to ona tymczasem pochwyciła rewolwer, pozostawiony obok niej przez bandytę, i w pakowała mu kulę pomiędzy łopatki.



## III.

## Dobry przedewszystkiem.

Wystrzał poruszył całe obozowisko. Przez chwilę zapanowała prawdziwa panika. Nikt nie mógł zrozumieć, co się stało, wyjąwszy brata miss Anny, który jednocześnie z Wiliamem Linden wskoczył do wozu.

Niezwykły widok przedstawił się ich oczom.

Młoda angielfka z włosami rozpuszczonemi, jak śmierć blada, zemdląła po czynie nadludzkiej energii, jaką natchnął ją widok niebezpieczeństwa, grożącego jej młodemu obrońcy. Leżała o kilka kroków od górnika, nieruchoma, sztywna, w kałuży krwi, zalewającej podłogę wozu.

Wiliam wyjaśnił pocichu, co się stało, podczas gdy inni podróżni nadbiegali wraz ze służbą.

Sir Fryderyk, klęcząc przy siostrze, starał się ją przywrócić do przytomności, a Jan Vaillant opowiadał o wypadku.

Horacjusz Brooklyn rozepchnął towarzyszy i wpakował się do wnętrza wozu. Ściągnął kaftan z górnika i, pochylony nad nim, z uchem przy jego piersi, szukał znaku życia.

— Jeszcze żyje, na szczęście! — oświadczył swoim grubym głosem i wielką ręką obrócił Hipkinsa, jak dziecko, ażeby zbadać jego ranę.

— Jakto na szczęście? Trzeba dobić tego psa.



— To byłoby nieludzkiem — zauważył yankes. — Człowiek ten do mnie należy, może uda się jeszcze powrócić go na drogę cnoty. Spróbuję wyjąć nabój.

Amerikanin wyprostował się.

— Pozwolić umrzeć temu człowiekowi byłoby zabójstwem. Można zabijać lub zlinczować winnych, tylko takich, którzy są osądzeni przez komitet doraźnej kary. Otóż, nie możemy być jednocześnie sędziami, stronami i wykonawcami wyroku „*Igness*“!

Prosty, opięty w surducie aż po brodę, Horacyusz wyglądał, jak kaznodzieja, kazący na placach publicznych w miastach angielskich.

— Dyabelski amerykaninie — krzyknął Clodion uśmiechając się pomimo woli — złożymy sąd.

Byliby się długo kłócili, gdyby się Jan Vaillant nie wmixał.

— Trzeba koniecznie pozbyć się tego osobnika — zauważył. — Nie jestem zdania, żeby go dobijać. Znaleźliśmy go, umierającego z głodu, odżywiłmy łoża, pielęgowali. Dla okazania wdzięczności, chciał spełnić potworny występki. Lecz nie mógł go dokonać, dostał kulą, od której może umrze. Mojem zdaniem, zostawić mu ją, bo na to zasłużył, wywieźć i zostawić o kilka mil od tego miejsca, bez broni i bez żywności. Albo dzikie zwierzęta rozprawią się z nim, albo Opatrzność dostarczy mu żywności i wyleczy go... Zdajmy się na sąd Boski...

— Co będzie miało tę korzyść — potwierdził William — że wsadzi nam na kark wszystką policję Rzezypospolitej.



Tylko jeden Brooklyn próbował protestować w imię ludzkości.

— Wszystkieśmy bracia! — wykrzyknął...

Już nikt go nie słuchał, a że kula osunęła się po łopacie i utkwiała w płucach, więc dał jej pokój; jednak obandażował starannie rannego i, pochyliwszy się nad nim przy opatrunku, wsunął mu w kieszeń pieniądze, myśląc w duszy:

— Jeżeli się wylize, to musi jeść przecie... — pomyślał.

Clodion przysłał dwóch kafrów, którzy za całe ubranie mieli w uszach koła metalowe, to samo na szyi, rękach i nogach, i króciutkie tiuniki czerwone, podarunek od żołnierzy angielskich.

— Hiroka — rzekł Jan Vaillant do jednego z kafrów — położysz tego człowieka w poprzek na twoim koniu i, z pomocą Koriana, wywieziesz tak daleko, żebyśmy go więcej nie widzieli.

— Dobrze, *landhorst!* — rzekł czarny o członkach muskularnych i z pomocą swego rodaka uchwycił bandytę i wyciągnął z wozu.

Miss Anna przychodziła do przytomności. Wtedy wszyscy opuścili wóz, oprócz Harrissona, który podziękował kiwnięciem głowy. Asystowano odjazdowi zulusów.

Jeden urodzony w Crignaland, drugi w Natalu, dali obydwu dużo dowodów wierności tak, że można było, bez obawy zdrady, powierzyć im wywiezienie bandyty.



Osiadłano konie. Ciało Hopkinsa przywiązano silnie za siodłem Hiroka, który odezwał się do swojego rodaka:

— Jeżeli się poruszy, przekłuć sagają, prawda Korianie?

Horacyus zbliżył się z ręką podniesioną i uroczyście wyrzekł sentencję z biblii:

„Kochajcie jedni drugich“.

Nie sprawił wszakże żadnego wrażenia na czarnych, którzy ruszyli galopem, tą samą drogą, którą w przeddzień przybyli.

Konie z trudem pięły się na wzgórza chropowate, ślizgając się po schodkach gwałtownych, lub olbrzymich złamach granitowych.

Dwaj murzyni pędzili jak szaleńcy przez wąwozy prawie prostopadłe, to wznoszące się w górę i kamieniste.

Przejrzysta światłość nieba rozjaśniała teraz drogę przez pastwisko bujne, przypominające roślinność Antylów. Pozostawiali za sobą ферmy, otoczone obszernymi parkami lub *kraalami*, gdzie tysiące bydła są pozamykane; przebywali pola uprawne, dawne kopalnie złota lub niklu opuszczone dla *claims* więcej renomowanych.

Zdawało się, że kafrowie dążyli do wybranego celu i kierowali się do okolicy już znajomej.

Niebawem musieli zwolnić biegu.

Ścieżka zwężała się pomiędzy dwoma wzgórzami, gdzie rosły gęste zamie, te drzewa wybujałe z koroną liści, w kształcie palmy. Aloesy kolezaste i olbrzymie kaktusy utrudniały koniom drogę.



Hopkins dotąd jeszcze się nie poruszył.  
Koriana nie spuszczał z niego oczu.

Głowa rannego podskakiwała z jednej strony siodła, a z drugiej nogi chwiały się na wszystkie strony. Za każdym ruchem gwałtowniejszym krew silnie z ust buchała i spływała po skórze zwierzęcia. Można było iść śladem murzynów po krwi, czerwieniejącej na zielonej trawie.

Na skrócie drogi, długa gałąź *accacii horrida* rozdarła skórę na twarzy nieruchomego górnika, a jednocześnie ubranie czepiało się o krzaki cierniowe. Strzępy ubrania i ciała pozostawały na kolcach krzaków.

Nowe to cierpienie przywróciło Hopkinsa do życia.

Otworzył oczy i zamknął je natychmiast, wstrzymując jęk boleści.

Dawał dowód żelaznej woli, nie pozwalając sobie ani na skargę, ani na westchnienie, pomimo śmiertelnych we wszystkich członkach bólów, które wykrzywiały mu usta konwulsyjnie.

Chociaż ruchy rannego były prawie niedostrzegalne, Hiroka zauważył, że jest zmiana w pozycji jeńca, bo tenże, czując straszny ból w grzbiecie, próbował na bok się obrócić.

— Zdaje się, że on się poruszył! — rzekł zulus do swego towarzysza.

— Ba! dobrze przysnurowany! — odparł Koriana.

— Chcesz pić? — zapytał Hiroka Hopkinsa.

Hopkins nie odpowiedział.



Przyszedłszy do przytomności, Hopkins zdał sobie sprawę z położenia, poczuł bowiem sznury, wrzynające mu się w piersi. Nie pojmował dokładnie zamiaru swoich stróżów, lecz to pojmował, że murzyni byli wykonawcami wyroku, który wydano na niego wspólnie.

Pracował długo razem z murzynami tej samej rasy w kopalniach dyamentów na Przylądku, wiedział zatem, że na zimno nie cofną się przed żadnem okrucieństwem, dla zadowolenia swoich panów, i że jedynym sposobem rozczulenia ich jest zawrócenie głowy bogatym podarunkiem, lecz Hopkins nie posiadał.

Postanowił zatem udawać nieżywego, obojętnego na cierpienia.

Murzyni jechali teraz brzegiem Modi River, głównego dopływu Transwaalu dolnego. Górnik, z oczyma ciągle zamkniętymi, słyszał wyraźnie plusk wody po kamienistym dnie strumienia.

Hiroka zatrzymał się na skraju niewielkiego lasu..

— Gdybyśmy go tu pozostawili? — rzekł, zwracając się do Koriana.

— Tak! — odpowiedział ten ostatni. — Może tu spokojnie umrzeć.

Zulusi zsiadli z koni i rozwiązali sznury.

W jednej sekundzie Hopkins obmyślił plan. Gwałtownym ruchem muskułów znalazł się na siodle i zanim jego pilnowacze przyszli do siebie ze zdziwienia, koń, pobudzony biciem pięt o boki, puścił się w las galopem.



Górnik, gotów na wszystko, wyciągnął pistolel z olstry. Lecz powoli zaczął coraz słabiej słyszeć odgłos kopyt konia Koriana, który puścił się za nim w pogoń. Potem siły go opuściły, nie słyszał, nie widział. Opadł na szyję wierzchowca, czepiając się ostatnim wysiłkiem grzywy zwierzęcia zaplątanego w krzaki i drzew gałęzie.

---

#### IV.

### Opatrzność nad złoczyńcą.

W jakiś czas po zemdleńiu Hopkinsa, koń potknął się o pień drzewa i upadł. Górnik przeleciał przez łeb zwierzęcia i byłby niechybnie rozbił głowę, gdyby trafem nie było się znalazło na jego przyjęcie jedno z tych mrowisk Afryki południowej, które wznoszą się do dwóch metrów wysokości.

Gwałtowność upadku spowodowała otwarcie oczu. Piasku miał pełne usta, nozdrza i oczy. Wszystko dookoła niego wirowało, tańczyło piekielną sarabandę.

Koń leżał o kilka kroków. Hopkins zabrał rewolwer, zdecydowany drogo sprzedać swe życie ludziom czy dzikim zwierzętom.

Zbadał następnie horyzont, żeby wybrać sobie drogę i zawlókł się do kępy drzew, rosnących o jakie sto metrów. Zataczając się jak pijany, z szumem w głowie, dotarł do stawu, którego w zmroku nie zauważył, ukrytego w zieleni i krzakach.



— Jestem ocalony! — mruknął słabo.

Znał dobrze zwyczaje kraju, wiedział, że każdy staw wody słodkiej czy słonej wskazuje sąsiedztwo fermy holenderskiej, lub obozowiska burów, albo kraalu kafrów, tych rozległych przestrzeni, otoczonych palisadą, w której zamykają trzody owiec, stada wołów, jakie udało im się kupić lub ukraść.

Wiedział, że pierwszym staraniem osadnika, zanim nawet zbuduje jakieś schronienie, jest znaleźć, lub stworzyć *pan* — staw — słowo, które literalnie znaczy piec i staje się ogniskiem domowym osadnika. *Pan* albo *fontein* (fontanna) są dwa wyrazy, które następują po nazwie miasta lub wsi.

Oto dlaczego widok wody, która w nocy miała odbłysek stali, dodawał rannemu nadziei i siły. Był w pobliżu fermy, istot żyjących. Znajdzie u tych mieszkańców, jakichkolwiek bądź, dwie rzeczy, jakich nie odmawiają nigdy na mało zaludnionem terytoryum Transwaalu: wódkę i łóżka.

Lecz nie wziął w rachubę silnej, tłustej roślinności na gruncie wilgotnym; był to rodzaj trzciny błyszczącej, w której nogi grzęzły mu do kolan, owijały się w zielska wodne. Potrzebował nadludzkich wysiłków, żeby się wyplątywać z tych ciągłych przeszkód, i w końcu wyczerpany, obłany potem, palony pragnieniem, upadł na obydwie kolana.

Lecz skoro rękami dotknął wilgotnych traw, rwał je garściami całemi, niósł do ust spieczonych i przeżuwał z widocznem zadowoleniem. Poznał ten rodzaj trzei-



ny, pospolitej na bagnach, trzciny cukrowej, słodkiej w smaku i jednocześnie orzeźwiającej.

Jak długo siedział tak skulony jak zwierzę i żując trzcinę, także jak zwierzę?

Godziny ubiegały z niepojętą szybkością dla ranego; kiedy udało mu się znów podnieść, dzień już świtał.

Przy pierwszym białawem świetle słońca Hopkins ujrzał na płaszczyźnie w otoczeniu drzew kilka wozów z budami płóciennymi.

Było to obozowisko burów koczujących.

Sześć wozów z płótnem, na budach podartem, wystrzępionem, spalonym od deszczu i słońca, ustawione były równolegle, tworząc linią obronną dokoła trzech szałasów niskich, okrągłych.

Chatki te, zrobione z prętów łoży, oblepione były i umazane gliną. Dachy wyprowadzone w górę pokryte gałęziami i zgniłą słomą.

Przed temi pierwotnymi mieszkaniami zostawiono rodzaj podwórza. W jednym kącie leżała kupa zwierzyny, świeżo zabitej, pomieszanej ze skórami, już przygotowanymi do wyprawy, i z kośćmi, zbielełymi od słońca.

Dalej stał warsztat do obrabiania drzewa. Po szałasami na paśniku, otoczonym kolczastymi krzakami, pasły się woły, barany i konie.

Hopkins podszedł nieśmiało; ujrzał kilka kobiet w sukniach z materyi bawełnianej, drukowanej w pstre desenie, i w czepkach niegdyś białych. Jedne ciągnęły wodę ze studni, inne obierały cebulę i rzucały do



olbrzymiego garnka glinianego. Kilkoro dzieci brudnych i obdartych tarzało się w odpadkach wszelkiego rodzaju.

Ukazanie się rannego zrobiło widoczne wrażenie w obozowisku. Dzieci uciekły; psy zawyły; kobiety przerwały zajęcia. Kubeł pełen wody opadł na dno studni, cebula potoczyła się aż do stóp górnika.

Hopkins dęsał, nogi się pod nim uginały; naprzeciw niego wyszła ohydna megera, przerażająco brzydka i brudna.

Twarz miała czarownicę, nieumytą, wykrzywiła wargami, pokazując czarne pieńki w dziąsłach sinych. Oczy małe i niezwykle srogie mrugały skośnie a nos haczykowany, podobny był do dzioba ptaka drapieżnego. Broda wystawała śpiczasta, w ten sposób, że wąskie blade usta nikły pomiędzy brodą i nosem. Z pod brudnego czepka wymykały się kosmyki siwych włosów, które z wiekiem nabrały koloru żółtawego, jak odzienie, zepsute wilgocią.

Bruzdy na twarzy pergaminowej służyły za ścieki dla potu po policzkach spalonych.

Ujęła się pod boki i zapytała ludowem holenderskim narzeczem:

— Czego chcesz?

Hopkins odpowiedział po angielsku, lecz baba go nie zrozumiała.

Gotowa do walki z intruzem, przybrała groźną postawę i wrzasnęła:

— Będziesz ty mówił?

Ranny nie mógł już wytrzymać...



Stargane rude włosy i broda, krwią pozlepiane, zakrywały mu zupełnie twarz, na której skorupy pozasychały.

Nowe cierpienie przybyło do straszego bólu ran dawnych.

Dosyć było kilka minut mieć głowę, zagrzebaną w mrowisku, gdzie go koń zrzucił, ażeby być całemu pokrytym mustykami i mrówkami białymi.

Hopkins napróżno używał po kolei języków angielskiego, francuskiego i *hambundo*.

Wyrzekł się w końcu prób, wobec wznastającej pasyi starej kobiety.

Zaczął szukać w kieszeni, ażeby jakim podarunkiem tę złość ułagodzić.

Ku wielkiemu zdziwieniu znalazł gwineę, którą Horacyusz, filantrop, tam wsunął. Gotów był uwierzyć w cud Opatrzności nad sobą, skoro zobaczył, jak na widok złota rozjaśniła się twarz starej czarownicy.

Inne kobiety uśmiechały się także, zdaleka kiwając głowami w milczeniu: popiersie królowej Wiktorji ocaliło jednego z jej poddanych, bo pomiędzy biednymi nienawiść do Anglii nie rozciąga się aż na gwinee.

Stara megera chciwie pochwyciła złoto i wsunęła za stanik, jednocześnie przywołała chłopca małego i coś mu rozkazywała.

Dzieciak podobny był do wszystkich dzieciaków w Rotterdamie i Hadze, z tą tylko różnicą że cie-



mne włosy zdradzały, iż należy do rasy osadników afrykańskich, przezwananych *czarnymi Holendrami*.

Pomimo tej anomalii, chłopiec był czystej krwi holender; okrągły, różowy, wesoły i ciężki, nie mógł się wyprzeć pochodzenia saksońskiego, jakie etnologowie będą mogli odnaleźć niepomieszane w Transwaalu, jeżeli jaki hataklyzm zniweczy nagle matkę-ojczyznę, Niderlandyi.

Za chwilę mały Krysztof z wytrzeszczonemi niebieskiemi oczami położył przed górnikiem, który ledwie się już trzymał na nogach, dużą dere, żeby się na niej rozciągnął, wody do obmycia i opatrzenia ran, *brandywina* rodzaj wódki z brzoskwiń i kawy oraz trochę mięsa piezonego, pływającego w tłuszczu baranim.

Kobiety przypatrywały się ciekawie, jak Hopkins obmywał zaschłe rany na twarzy i piersiach: zaczynały się oswajać.

Jedna z nich, najmniej brzydka i najmłodsza, ośmieliła się do tego stopnia, że podała rannemu, zamiast szarpi, trochę tej substancyi bawełnistej *amadine squausmifrous*, którą wróble afrykańskie składają w głębi gniazd swoich.

Górnik, który uczuł nieco ulgi po ugaszeniu pragnienia, myślał wybadać kobiety i upewnić się o ich dyskrecyi, na wypadek, gdyby dawni jego towarzysze ścigali go jeszcze.

Przeszkodził mu do tego hałas, który odżywił jego obawy.

Słychać było wyraźnie chód kilkunastu koni po gruncie, spieczonym od słońca.



Zaledwie zdążył wyszukać oczami kryjówki, w której myślał się zabarykadować i bronić, kiedy siedmiu mężczyzn pod wodzą starca wjechało w podwórze.

Kobiety ich obstały, mówiąc wszystkie razem.

Hopkins odetchnął swobodniej.

Nowoprzybyli byli to burowie koczujący, właściciele zagrody.

Uzbrojeni w strzelby i obładowani zwierzyną, ubitą w nocy, zsiadli z koni, a nakazawszy milczenie swoim kobietom, starzec zbliżył się do rannego.

Hopkins dobywał ostatnich sił, żeby się podnieść, wiedząc, jak szanowany jest zwyczaj uściśnięcia ręki gospodarza, którego ma się o co prosić, lecz siły go zawiodły.

— Tyś górnik? — zapytał starzec.

— Tak, z Przylądka.

— Zkąd przyszedłeś?

— Z najbliższego pola dyamentów, z tamtej strony Vaal.

Hopkins odpowiadał bez wahania, rozumiejąc, że niezręczna odpowiedź może go zgubić.

— Nazwa *field*? (pola) — zapytał starzec podejrzliwie.

— *Doit's Pan!* — odpowiedział Anglik śmiało.

— Znam je. Chociaż jesteś Anglikiem, witam cię...

Patryarcha wyciągnął rękę do bandyty, po tem powiedzeniu, w którym wybuchnęła cała głucha nienawiść, jaką każdy bur, w epoce naszego opowiadania, żywił dla Anglii, pomimo uległości pozornej kraju dla urzędników rządu brytańskiego.



Hopkins nie obraził się wcale.

— Jesteś u siebie! — zakończył starzec, kiedy już siedmiu mężczyzn po kolei uściśnęło rękę rannego.

— Gdzie ja jestem? — zapytał tenże, pragnąc zasięgnąć wiadomości o położeniu schronienia niespodziewanego.

— W Osten-farm, nad Mooi, o kilka godzin na południu od Potchefstroom.

Dowiedziawszy się, jak był daleko od drogi, którą ciągnął Jan Vaillant ze swoim towarzyszem, górnik w końcu poddał się cierpieniu i stracił przytomność.

Upadł wznak z twarzą tak strasznie wykrzywioną, że stary bur, przywykły w życiu na pół dzikiem nie rozrzucać się nad cierpieniem ludzkim, pochylił się nad Hopkinsem i rozerwał na nim ubranie.

— Cierpisz? — rzekł.

— Tak — wykrztusił bandyta, którego dusiła krew napływająca z płuc do gardła.

— Ukąszenie? upadek?

— Nie, kula.

Widząc zdziwienie, malujące się na twarzy swego gospodarza, górnik podjął:

— Spotkałem bandę maruderów z pustyni Kalahari, obdarli mnie, a kiedy uciekałem, jeden z nich strzelił za mną.

Wyjaśnienie było możliwe. Anglik wiedział, że wszyscy burowie obawiają się najbardziej wielkich przestrzeni piasku krzemienistego na zachodnich kresach Transwaalu.



W tem dużem terytoryum niezamieszkałem grasuje szarańcza zielona, czerwona i czarna, przelatująca jak chmury, pożerająca wszystko, co jest na gruncie, a po niej pozostaje tylko głód i miliardy poczwarek nasiennych.

Z tą klęską łączy się obecność *toetse*; ta mucha, wzbudzająca przestrah w podróżnikach afrykańskich, zabija prawie nagle lub od jej ukąszenia *konaja* powoli przez długie dnie, konie, woły, a czasem nawet osły, nie napada tylko ludzi i psów.

Dodać jeszcze należy murzynów, cheiwych rabunku i okrutnych, którzy czatują na wyjście z pola dyamentów górników, przyciągniętych po za rzekę Vaal obfitością kopalni złota i urodzajnością gleby.

Łatwo tedy pojąć, jak burowie, żyjący w oazach, w obawie napadu dzikich, odrazu uwierzyli wypadkowi, wymyślonemu przez Hopkinsa.

Opowiadanie bandyty potwierdzało straszne legendy o ponurych przestrzeniach pustyni Kalahari. Żaden z burów nie miał ochoty zaprzeczać Hopkinsowi.

Zaniesiono nędznika do szałas i położono na sienniku. Za każdym odetchnięciem, powietrze gwizdało mu w płucach.

Z oczyma wściekłemi z bólu wewnętrznego, ranny, choć spokojny o swój los tymczasowy, miał tylko jedną myśl w mózgu: zemstę.



## V.

## Z e r w a n i e.

Zemsta!

Koriana i Hiroka, dwaj zulusi, zupełnie takie same mieli uczucie dla swojego jeńca, który im uciekł.

Ta namiętność niewyrozumowana, szalona, jest cechą rasy dzikich.

Kafrowie nie są wyjątkiem z ogólnego prawidła, choć stoją daleko wyżej od murzynów hotentotów. Podczas kiedy Buschman ma kości policzkowe wystające, czoło, w tył podane, nos płaski, włosy wełniaste, zulus przypomina typ kaukazki pomimo skóry brzozywej, z powodu nosa orlego, białych zębów równo osadzonych, rysów przyjemnych, proporcjonalnych członków, wysokiego wzrostu i długich wijących się włosów. Taka sama różnica istnieje pod względem moralnym, pomiędzy tymi dwoma szczepami krajowców Afryki południowej.

Kafir, spokojny i łagodny, jest wogóle inteligentny, uczciwy i trzeźwy.

Lecz, pomimo słodczy wrodzonej, dwaj służący Jana Vaillant nie mogli przebaczyć Hopkinsowi ucieczki.

Powrócili do obozowiska po długiem poszukiwaniu zbiegłego. Przepatrzyli wszystkie zarośla dokoła, starając się dopatrzeć krwi na ziemi, coby ich na ślad naprowadziło.



Lecz w bujnej trawie kopyta nie zostawiły znaków, a krew, ciekąca po ubraniu rannego, zostawała w sierci końskiej.

Musieli zatem zulusi zawrócić z powrotem, choć nie odnaleźli Hopkinsa.

Opowiedzieli wypadek w obozowisku podróжным, którzy wstali o świcie, dziwili się długiej nieobecności kafrów i robili przygotowania do ruszenia z miejsca.

Zebrałi się dokoła tlejącego jeszcze ogniska i przypatrywali najpiękniejszemu wschodowi słońca.

Powoli kula słoneczna, unoszą się po nad doliną w przejrzystym powietrzu, na tle lazurów nieba. Wierzchołki drzew i krzewów przybrały barwę różową.

Polanka, zasiana kwiatami złocistemi, podobnemi do europejskich pierwiosnków, pochylonemi na długich, twardych łodygach, na tle zielonych traw, wyglądała uroczo.

Miss Anna, podziękowała tym, których nazywała swymi zbawcami, potem usiadła, znużona, nieco błada.

Paryżanin, grzeczny jak w salonie, kręcił się koło niej, układał kołdry jedna na drugiej, ażeby uczynić siedzenie wygodniejszym.

Wątku miss, która dała dowód wielkiej krwi zimnej i odwagi, zapomniała już o przebytem niebezpieczeństwie.

Śluchała z roztargnieniem paplania marsyleczyka, który bił się w piersi, wyrzucając sobie „cape de Dion“, że nie był podczas awantury, ażeby zdusić bandytę.

Wydawał się okrutnie wzruszonym sceną, w której nie mógł wziąć udziału, a oczy jego ciskały strasz-



ne błyskawice, gasnące jednak gdy się zwracały na wdzięczną twarzączkę angielfki.

Fryderyk zaś, spokojny, flegmatyczny jak zawsze, ziewał już, żałując może, że awantura za prędko się skończyła i pozbawiła go wrażeń oczekiwanych.

Wiliam Linden, praktyczny zawsze, radził się mapy Afryki Południowej, nakreślonej przez Jeppe, podług wskazówek uczonego geologa niemieckiego von Mauch, który pierwszy oznaczył dokładnie pokłady złota, niklu, srebra, miedzi, ołowiu i węgla, odkryte przez siebie w Transwaalu.

— Wyruszamy już? — zapytał alzateczyk.

Clodion Endes spojrział gorąco na młodą miss, podczas gdy Jan Vaillant odpowiedział, dając znak do pochodu, następnie zbliżył się do Wiliama, mówiąc:

— Pójdziemy ścieżką wytkniętą?

— Ma się rozumieć, to najkrótsza droga, ponieważ biegnie w prostym kierunku do Klip-River i Pretoryi.

Pięć dni monotonna droga krzemienistą, po której często dwanaście par wołów, zaprzężonych do jednego wozu, nie chciało naprzód postępować.

W takich razach kafrowie rozrzucali w trudnych przejściach nawóz, zebrany z tyłu za karawaną, i woły szły, przekonane, że droga była do przebycia, skoro inne woły przeszły.

W końcu podróżnicy pozostawili po za sobą Smith i Engelbrecht, dwie osady, złożone z domków płóciennych, namiotów skórzanych i dużych krzaków.



Liczyli, że przebędą Klip, pod Olifant, nim noc zapadnie.

Miss Anna i Clodion odłączyli się od małego orszaku i jechali konno obok siebie, za ostatnim wozem, który znikł na gwałtownym zakręcie drogi.

Popołudnie było przyjemne, ciepłe; jeden z tych przejrzystych dni Transwaalu, gdzie rzadko bywają nadmierne upały i zimy ostre, jak gdyby natura chciała obdarzyć wieczną wiosną tę część Afryki. Gdzie nigdzie rozsiane po dolinie kępy drzew niewysokich, to znów grupy wysokich drzew stały jak strażnice armii nieznanej.

Młoda angielfka nie wydawała się zdziwioną tem sam na sam, jakie w zbliżeniu się podczas długiej podróży musiało się często powtarzać.

Dzięki zupełnie swobodnemu wychowaniu jasnowłosych miss angielskich, przejażdżka ta po przestrzeniach kraju mało zaludnionego wydawała jej się mniej godną nagany, niż gdyby była przy wyjściu z *tundny-lecture* w mglistym Albionie.

Kobieta, w całym znaczeniu tego wyrazu, chwilami dziecinnie naiwna, pomimo wrzekomej znajomości świata, panna Harrison nie potrafiłaby wyżyć bez flirtu.

Po co żyć — myślała — jeżeli nie dlatego, żeby kochać!.. Miłość, wreszcie zamiana słodkich myśli, wspólne odczuwanie i wspólne wspomnienia to jest szczęście, które bierze się od życia, nie dbając o posiadanie brutalne, o namiętność bez poezyi.



Kokietka wyrozumowana potrafiła odrazu zebrać hołdy wszystkich towarzyszy podróży, nie faworyzując żadnego;<sup>5</sup> jednak bezwiednie uczuła żywszą sympatyę dla południowca, którego ożywienie i natura zapalna oddziaływały na nią. Ruchy żywe i zakłęcia, godne trubadura, przysięgi, ogniem ziejące, powoli lecz stanowczo stopiły lody tego młodego serca, urobionego na mdłych romansach angielskich.

„*Young Ladies School*“ nauczyła ją widzieć wszystko i nic, a swoboda na balach u wód, nauczyła ją, żeby pozwolić wszystkiego żądać od siebie, a nic samej nie dać, wszystko obiecywać a niczego nie dotrzymać.

Clodion odrazu i uczciwie stanął w roli aspiranta na męża; przyjęty został po długich tygodniach starania się o tę łaskę, podczas których miewał napady uniesień bezsensownych, dzięki z zazdrości, a także godziny upojenia niebiańskiego.

Jednak od wyjazdu z Wonderfontein, południowiec stał się ponury, melancholijny.

Bo miss Anna od chwili wypadku z Hopkinsem, mniej była ożywioną, mniej swobodna ze swoim adoratorem.

Z rozmowy jej, z postępowania, chłód wiał, zamknięcie się w sobie, na co serce, głowa, wszystkie nerwy marsylczyka buntowały się wewnątrz.

Potrzebował użyć wszystkich zasobów rozumu, prosić, błagać miss Annę, ażeby odłączyła się od towarzystwa i zechciała z nim osobno jechać.



Wyjaśnienia pomiędzy południowcem i córą północy nie mogły się liczyć do najczulszych; ona była ironiczna, on błagający.

— Zaklinam panią — mówił Clodion — wytłomacz się, ja tak dłużej żyć nie mogę.

— Tak się panu zdaje?

— Z pewnością! Wiesz, jaką gorącą pełną szcunką miłość...

— No, już pan zaczyna bredzić...

— Przyznaję! — odparł smuutno młody człowiek, który wszystkich sił używał, aby pozostać spokojnym, wobec tego nowego zawodu. — Bredzę! Dlaczego nie? jeżeli szaleństwo jest słodkie i jeżeli rozum jest niedorzecznością!

— Gmatwanina, mój drogi, ani ty siebie, ani ja ciebie nie rozumiem — rzekła siostra młodego baroneta, porwana chęcią szalonego śmiechu, pomimo uroczystości chwili.

— Co pani chce? Kocham cię... a twoja pogarda, twoje kaprysy, o szaleństwo mnie przyprawiają.

— Przyjemny przyszły mąż, niema co mówić! — rzekła impertynencko młoda dziewczyna.

Clodion nie mógł wytrzymać, zbrakło mu w końcu cierpliwości i z ust jego popłynęły skargi i wymówki:

— Ah! miss Anno — mówił gwałtownie — po co grałaś komedię z biednym chłopcem, którego mogłaś być poprostu zostawić w spokoju z jego marzeniami i poezją prowensalską? Dlaczego, dawszy mi zakoszto-



wać nieba, spychasz w prozę życia bez celu, bez ideału, bez jasnego promienia w dniach smutku, bez nadziei w przyszłości?

Angielka uśmiechała się. Mowa ta przypominała jej pewnie urywek z romansu.

Endes nie widział tego i mówił dalej:

— Czyż nie kocham cię wyłącznie, z szacunkiem? Czyż nie błagałem cię na klęczkach, żebyś pozwoliła mówić z bratem o naszych zamiarach? Dlaczego wy magałaś, żebym z dnia na dzień odkładał? Czyż nie upoważniłaś mnie do nadziei? Czyż nie daliśmy sobie słowa? Więc po co oddalasz dzień mojego szczęścia, i twojego także, jak mi zaręczałaś parę zaledwie dni temu? Dlaczego ta nagła zmiana, której nie mogę pojąć? Czemu unikasz mnie od ostatniego postoj, od tej nocy strasznej, kiedy, niestety, nie mogłem stanąć w obronie twojej?

Dziewczyna zadrżała.

Z tego potoku zapytań zatrzymała tylko ostatni frazes. Miała głowę spuszczoną, lecz skoro południowiec przypomniał jej znów wypadek, którego omal nie stała się ofiarą, trzęsła się i wyjąkała, rzucając wzrokiem przełęcznionym dokoła.

— Boję się na tej pustej drodze!

— Boisz się? Ty! — wykrzyknął Clodion z goryczą. — Anno, Anno, pozwól sobie powiedzieć, że ta rozmowa cię nudzi.

— Ależ nie! Daję słowo, boję się! — odparła angiелka.

— Stanowczo zmieniłaś się zupełnie.



— Wcale nie! Mam zawsze zaufanie do ciebie, jak do najlepszego przyjaciela.

— Przyjaciel! A wczoraj byłem prawie twoim narzeczonym!...

Podczas milczenia, jakie nastąpiło po tym wyrzucie, rozległ się w dali huk grzmotu.

Gwałtowna burza, jaka często wybucha w okolicach górzystych, nadchodziła z szybkością nieobliczoną. Niebo zaciągało się ciemnymi chmurami, pędzonymi wichrem ze wszystkich stron widnokregu.

W chwili gdy młodzi wjeżdżali na wąską ścieżkę w lesie, ściemniało nagle, błyskawica przerznęła obłoki, oślepiając prawie konie.

— Ah! jak ciemno! — rzekła angielfka bojaźliwie.

— Nie tak ciemno jak w mojem sercu! — odparł zakochany.

Potem dodał ze smutkiem:

— Nie chcesz odpowiedzieć, miss Anno, już mnie nie kochasz?..

Lecz ona nie słyszała: koń jej spłoszony burzą, pędził jak wściekły.

Błyskawice latały po niebie we wszystkich kierunkach; szakał wylł gdzieś w lesie, odpowiadając na przerażające bicie piorunów, jeszcze straszniejsze w ciągłej nad ziemią ciszy. Prawdziwe potoki deszczu spadały na las, woda wyrывała drzewa z korzeniami, kładła pomostem krzewy, druzgotała gałęzie. Grad, duży jak orzech włoski, zabijał ptaszęta, ukryte w gałęziach.

Clodion smagnął konia spicrutą i puścił się w po-goń za mist Anną.



Naraz usłyszał krzyk rozdzierający i przy świetle pioruna ujrzał konia miss Anny, ciskającego się w bok, i amazonkę na ziemi... Koń, uwolniwszy się od ciężaru, podniósł głowę, zarżał przeciągle i puścił się jak strzała...

Siostra sir Fryderyka padła ciężko na grunt rozmiękły.

W jednej sekundzie, Clodion był przy niej. Drżący ze wzruszenia i obawy, unióśł młodą dziewczynę, która na szczęście spadła na grunt miękki.

Marsyleczyk schwycił ją w ramiona i przeniósł ostrożnie w gęste zarośle, osłaniając ją siodłem i ubraniem ze skóry od ulewy.

Clodion czuwał z troskliwością matki nad temi skarbami, które niespodziany wypadek dał mu w ręce.

Podtrzymywał i oparł na piersiach tę postać uwielbianą, której nie byłby śmiał dotknąć nawet oddechem; rozgrzewał ją delikatnie, szalejąc z miłości, upajając się zbliżeniem...

Młoda dziewczyna przysła do siebie, marsyleczyk złożył delikatnie na ziemi słodki ciężar, i uciekł jak winowajca o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie Anna spoczywała czysta, niewinna jak dziecko.

Miss Anna otworzyła oczy szeroko, starała się zebrać myśli, wspomnienia; a że Clodion się znów zbliżył, zobaczyła, że ukląkł i mówił z miłością:

— Kocham cię! Anno! Kocham cię!..

Twarz dziewczyny wyrażała przestrah. Może przyszła jej na pamięć ohydna twarz górnika, blisko jej



twarzy; może napad gorączki... bo rękami odepchnęła swego wielbiciela, mówiąc głucho:

— Nigdy! Nigdy! Ratujcie!

Wysilek, jaki zrobiła, otrzeźwił ją do reszty, poznała Clodiona, osłupiałego, skamieniałego; uśmiechnęła się słabo.

— To ty? — zapytała.

— Tak, ja! — odpowiedział marsylczyk. Ja, Clodion, który kocham cię nad życie.

— Biedny przyjacielu! Burza trochę więcej niż zwykle zmysły ci pomieszała, a mnie zrobiła tchórzem! Teraz ze słońcem, jedźmy dalej, i z całej tej awantury, żałujmy tylko tego, żeśmy się spóźnili.

Potem dodała, już zupełnie zdrowa:

— Moja suknia więcej ucierpiała, niż ja... bo ja zupełnie dobrze się czuję, i jeżeli chcesz, to śpieszmy się do naszych towarzyszy, którzy pewnie są niespokojni!..

— Mój Boże, tak się bałem! — westchnął zacny chłopiec. — Lecz ten twój upadek, omdlenie, majaczenie...

— Majaczenie? — zapytała angelka niespokojnie.

— A tak!

— A co mówiłam?

— Odpychałaś mnie, krzyząc: Nigdy!..

— Ach! — rzekła Anna z niepojętym akcentem.

Clodion napróżno błagał, aby trochę odpoczęła, ponieważ burza przeleciała, a splakany lazur nieba stał się przezroczyściejszym jeszcze, Anna chciała jechać natychmiast.



— Mamy tylko jednego konia na dwoje! — rzekł południowiec.

— A mój? — zapytała piękna miss.

— Musi być pewnie przy taborze...

— Ach! mój Boże, co my pocniemy? Niedługo noc nadejdzie, a ja nie chcę tu nocować.

— Jedno nam tylko pozostaje...

— A tak, wsiądę na twojego konia, prawda? a ty będziesz szedł przy mnie piechotą, jak paż przy swojej księżniczce, ty, Trubadurze, z urodzenia...

Tym razem południowiec znalazł pomysł jak najprozaiczniejszy.

— Nie dotrzemy do Klip przed nocą, idąc za twoją radą, choć ja prędko chodzę. Lepiej będzie, gdy wsiądziesz na konia, połączysz się z naszymi przyjaciółmi jak najprędzej, a przyślesz konia naprzeciw mnie...

Tak się stało; młody człowiek pomógł usiąść miss Annie na siodle, następnie ze strasznym niepokojem zapytał:

— Czy mogę dziś wieczór rozmówić się z sir Harrisonem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

Potem z rodzajem wahania, jak gdyby zdjęta liścią dla tego dużego dziecka, zapytała:

— Dlaczego pragniesz wiedzieć?

— Bo ta niepewność mnie zabija — odpowiedział.

— Czy mam powiedzieć prawdziwą prawdę?

— Tak, całą prawdę.

— Bezwzględnie?



— Oh, tak!

— Nawet gdyby...

— Nawet choćbym miał umrzeć, gdy ją usłyszę! — odrzekł marsylczyk.

— Dobrze! — ciągnęła angielfka — miłość twoja za- nadto jest zacna, żebym cię miała w błąd wprowadzać; dusza moja, wobec nieskończonej i wielkiej natury, nie potrafi cię oszukiwać; Clodionie, będę twoją siostrą, lecz nigdy żoną; nie wyjdę za męża...

— Dlaczego? Dlaczego? — jęknął w rozpacz.

Młoda dziewczyna zaczerwieniła się, zacięła konia krzycząc do nieszczęśliwego młodzieńca:

— Dlatego... że... kocham...

Clodion stał jak ogłuszony. Nie rozumiał, nie chciał rozumieć tej prawdy, o którą błagał, bez- względnie.

Kilka mil od miejsca, gdzie zostawiła swego towa- rzysza, miss Anna spotkała brata z Wiliamem Linde- nem i służącymi, którzy poszukiwali zaginionych.

Angielka uspokoiła ich, opowiadając o spadnięciu z konia, i zaprowadziła ich tam, gdzie zostawiła Clo- diona.

Lecz ten znikł bez śladu.

Do samej nocy kafrowie, przywykli do polowania na ludzi, biegali we wszystkie strony, lecz napróżno.

Tak jak Hopkins, tak samo południowiec prze- padł bez wieści.

Napotkali tylko wóz, ciągnięty przez cztery muły. Rodzina burów jechała na *Rademaat*.



Tak nazywają pielgrzymkę pobożną, którą fermerzy miejscowi raz na rok odprawiają.

Ponieważ kościoły rzadkie są w tych okolicach mało zaludnionych, koloniści protestanci przenoszą się do wsi, posiadającej pastora, chociażby do innej sekty należał.

Przez cały tydzień rodzice i dzieci, po nad lat piętnaście, uczęszczają na nabożeństwa a potem przez cały rok obywają się bez praktyk religijnych, oprócz codziennego czytania Biblii, które uskutecznia ojciec rodziny, po skończonym posiłku wieczornym.

Osadnik, który udawał się na *Rademaat*, ażeby ochrzcić najmłodsze dziecko, choć był wysokiego wzrostu, jak wszyscy burowie, wyglądał więcej na anglika, niż na holendra. Ogolony był i nosił tylko krótkie faworyty.

Zamiast świątecznego surduta, jak wszyscy osadnicy niderlandzcy, ubrany był w żakiet, formy wice-munduru oficerów angielskich. Towarzyszyła mu żona, wychudła od zmęczenia, lecz piękna pomimo lat czterdziestu.

Oboje oświadczyli, iż nie spotkali na drodze żadnego cudzoziemca.

Nasi podróżni powrócili zatem nad rzekę Klip; wozy czekały, niepodobieństwo bowiem było przebyć rzekę, wezbraną po ostatniej burzy.

Miss Anna milcząca była i zamyślona. Miała tajemne przecucie nieszczęścia, a nie mogła pomimo to żałować [szczeroci wobec wielbiciela, wesołego z natu-



ry, co nie pozwalało przypuszczać rozpaczliwego kroku z jego strony.

— To nie moja wina! — mówiła do siebie. — To był bardzo dobry chłopiec, lecz wolę umrzeć, niż zapomnieć tamtego...

Tamtego!...

Pochyliła głowę w niemej rozpacz; naraz wstrząsnęła się mimowoli i szepnęła cichutko:

— Ach! to wstyd, doprawdy!

## VI.

### Żona... lecz nie matka!

Postanowiono czekać do jutra na nieobecnego. Clodion się nie pokazał.

Angielka myślała o prawdopodobnym końcu tego romansu, którego znała tylko przedmowę, lecz, nie żałując nigdy tej ostatniej i stanowczej rozmowy, która właśnie może spowodowała katastrofę.

Możnaby sądzić, że odpowiedź, daną człowiekowi, którego była prawie narzeczoną, poddyktowało jej wspomnienie straszne tej nocy ohydnej, w której o mało zwierzęcość nie odniosła nad nią zwycięstwa! Wystraszona, drżąca jeszcze na wspomnienie niebezpieczeństwa, mogła być obrzydzić sobie wszystkich mężczyzn, wyłączając ich ze swego życia, lub przynajmniej odebrać im miłość swoją.

Skończył się piękny sen miłości!



Miss Anna pozostała tajemnicza i nieprzenikniona dla swoich towarzyszy.

Wody Klip opadły, również szybko, jak przybrały. Zjawisko to nie rzadkie w Transwaalu. Ziemia, rozpalona słońcem, wsiąka w tej chwili częste wylewy tych rzek, których źródeł nie podsycają topniejące lodowce i śniegi górskie. Skoro tylko deszcz ustaje, bieg rzeki wolnieje, dzięki parowaniu, spadziści poziomu i suszy.

Jednak rzeka zachowała wygląd bystry, w nurtach jej płynęły szczątki wozów i trupy wołów, przebywających rzekę wbród w chwili, gdy burza wybuchła.

Potrzeba było rozwinąć możliwe ostrożności, ażeby zaprzag i wozy nie zostały pociągnięte wirem wód, groźnie płynących.

W końcu cały tabor dosięgnął przeciwnego wybrzeża, gdzie droga z Olifant idzie do Albertze i zbiego się w tem miasteczku z drogą do Pretoryi i Natalu.

Horacyusz Brooklyn oparł się, żeby tego dnia dalej jechać.

— Chrystus powiedział — wykrzyknął z rękami, do nieba wzniesionemi: — „Czyń drugim to, co byś chciał, żeby tobie czyniono“. Otóż ja byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby na mnie zaczęto jeszcze dwadzieścia cztery godzin, gdybym to ja się zgubił; więc moim obowiązkiem jest podarować jeden dzień Clodionowi Endes, ażeby z nami się połączył.

— Bardzo logicznie! — wyrzekł alzacyjnyk.



Dzięki tej sentencyi jak świat starej, przerwano podróż do jutra rana.

Mist Anna spodziewała się jeszcze powrotu swego wielbiciela. Noc całą spędziła w śmiertelnym niepokoju, zasnęła dopiero nadedniem. Spała jeszcze, kiedy piekielny hałas ją zbudził.

Wóz, który napotkała, towarzysząc bratu w poszukiwaniu marsylczyka, wjechał w rzekę w chęci przeprawy na drugie wybrzeże. Na skutek uderzenia jednego koła o złom granitowy, wehikuł o mało się nie przewrócił. Muły strachliwe rzuciły się w bok po przejście możliwe i ciągnęły wóz na głębie w wiry straszne. Wtedy, przerażony niebezpieczeństwem, mężczyzna w kostymie angielskim i żona jego z dzieckiem na rękach, zaczęli krzyczeć rozpaczliwie.

Amerikanin usłyszał i zbliżył się nad brzeg rzeki. Jednym rzutem oka rozpoznał, w jakim ci ludzie są niebezpieczeństwie, i w jednej sekundzie zrzucił ciężką kurtkę skórzaną, ażeby być swobodniejszym w poruszeniach.

— Utopisz się, niema wątpliwości — wołał na niego Wiliam Linden.

Lecz yankes skoczył w wzburzone fale. Uchwycił wóz za jedno koło tylne, podczas gdy anglik na jego rozkaz, ciągnął muły i poganiał do zwrotu na szlak bezpieczny.

Dzięki herkulesowej sile, Horacyusz nakierował niebawem wóz na drogę, którą kafrowie wytknęli słupami w łożysku wód. I, wskoczywszy na kozioł wehikułu, wziął lejce, kierował zaprzęgiem aż do wybrzeża.



Lecz on, który dotąd nie uważał na właściciela wozu, chciał złożyć uszanowanie żonie anglika, którego ocalił.

Kobieta na klęczkach, ze łzami w oczach składała mu podziękowania.

Od pierwszego wejrzenia na nią, amerykańnin skamieniał.

— *Mississ Brooklyn igness* (Pani Brooklyn, zdaje mi się) — wyrzekł w końcu.

Przy tych słowach twarz kobiety pokryła się wyrazem przerażenia śmiertelnego, podczas gdy jej mąż, lub ten, którego można było uważać za takowego, miał minę, jak gdyby się chciał rzucić na swego zbawcę.

Lecz amerykańnin, w przewidywaniu napadu, uchwycił oficera angielskiego, choć on się szarpał, zawiązał w kołdrę i zawiązał go w nią mocno.

— Teraz — rzekł do tej, która nosiła jego nazwisko — ośmielam się prosić panią o chwilę rozmowy.

Na pół przytomna ze strachu, pani Brooklyn weszła do wozu, a za nią jej prawy małżonek, po uwiązaniu mułów do pala, wbitego w wodzie.

— Uważaj, proszę cię — krzyknął yankies do Jana Vaillanta, który czekał na wybrzeżu — ja tu załatwiam sprawę rodzinną.

On, który przybył z tak daleka w poszukiwaniu niewiernej, nie zdradzał żadnego wzruszenia w głosie, żaden muskuł nie zadrżał w jego twarzy.

— Minęło więcej, niż sześć lat, jak pani szukam — zaczął, siadając na desce, wspartej o bok wozu.



— Litości! litości! — powtarzała wiarołomna żona, przyciskając do łona dziecko, które miała ze swoim współnikiem.

— A pani miałaś litość nad mężem? litość nad ojcem?

Kobieta spuściła głowę.

— Ja jednak będę miał litość nad panią — podjął olbrzym głosem powolnym — najpierw dlatego przebaczam urazy innym, ażeby Bóg przebaczył mi jeżeli go obraziłem i zapomnę, jeżeli mi do tego pomożesz.

— Oh! dzięki! Horacyuszu, dzięki!

— Szukałem pani; nie dlatego, ażeby cię ukarać — mówił Brooklyn. — Nie mam prawa sam sobie sprawiedliwości wymierzać, a Sędzia nas wszystkich od da każdemu, co mu się należy. Lecz jeżeli zapomniałaś o obowiązkach żony, chcę zażądać od ciebie rachunku z obowiązków matki.

Na te słowa nieszczęśliwa zbladła przerażająco. Zbudziły się w niej wszystkie dawniejsze obawy.

— Coś zrobiła z moją córką? — zapytał amerykańczy groźnie.

Milczenie.

Występna matka wahała się, czy ma się oskarżyć.

— Czy odpowiesz? — krzyknął Brooklyn, tracąc krew zimną.

Kobieta milczała ciągle.

Wtedy Horacyusz stał się błagającym. On, hercules muskularny, który mógł jednym dotknięciem zdusić występna, znalazł słodkie słowa, żeby zmiękczyć



serce tej, która go zdradziła i która, jako szczyt prowokacyi, tuliła do łona z czułą pieśczołą, dziecko drugiego, tego drugiego, dla którego uciekła z pod dachu mężowskiego, nie dbając, jaką boleść pozostawia za sobą.

Małżonek oszukany upokarzał się ciągle:

— Betrie — mówił z rozpaczą — w imię naszej dawnej miłości, odpowiedz, błagam! Wspomnij na przeszłość, kiedyś była w Washingtonie u ojca, taka biedna, nieszczęśliwa. Wspomnij, żeśmy się kochali i że nigdy nie przyszło mi na myśl, chociaż to było możliwe, nadużyć twojej nędzy i twojej niewinności, ażeby uniknąć z tobą małżeństwa, które cię uczyniło bogatą. Pamiętaj, że, znalazłszy cię teraz, kazałem umilknąć furji, co mi piersi szarpała, kazać mówić tylko sercu, zawsze pamiętającem szczęście nasze przeszłe, pierwsze lata małżeństwa, miłość wzajemną, słodkie marzenia przyszłości dla tego dziecka, którego się dopominam, tej córki, która jest prawdziwie moją i którąś zabrała odemnie. Zrozumiej mnie, mogę zapomnieć o przeszłości, pozostawię cię wolną, szczęśliwą; lecz ona, to dziecię, ona więcej do mnie, niż do ciebie należy... ja chcę Mary...

W ostatnich trzech słowach tyle było posępnej ironii, że pani Brooklyn zadrżała.

— Życie moje jest bardzo nędzne! — westchnęła.

— Czy nie usłałem ci życia kwiatami? Czy nie spełniałem najmniejszych twoich fantazyj? Czy pragnęłaś kiedy czego i nie otrzymałaś, żądałaś i nie wzięłaś? Dlaczegoż więc mnie porzuciłaś?

A że milczała, on mówił dalej:



— Dlaczego? Bo nieznajomy przechodzień, to nowa miłość, co się rodzi. Bo piękny złocisty mundur więcej wart, niż skromny surdut *kwakra*. Bo biały pióropusz *horreguarda* świetniejszy, niż zimny rozsądek biednego filantropa, idącego wojować z nieprawością ludzką. Lecz co mnie obchodzi, że jedyne moje marzenie przypadło? Nie skarżę się i ciebie nie obwiniam. Przychodzę tylko żądać mojego dziecka. Byłaś dobrą, nie mogłaś zrobić się złą. Ulitujesz się nade mną, jak ja lituję się nad tobą. A ponieważ niebo dało ci innego przyjaciela do kochania, inne dziecko do pieśczoł, zostaw mnie w mojem opuszczeniu, lecz oddaj moją córkę. Gdzie ona jest? Powiedz gdzie?..

— Powierzyłam ją pewnej starej kobiecie — odpowiedziała pani Brooklyn.

— Nawet nie matka! — rzekł półgłosem amerykanin.

Krwawy ten wyrzut rozwiązał język Betrie, która choć w części pragnęła się usprawiedliwić.

— Byliśmy tacy biedni, tak wszystkiego pozbawieni, Harry i ja — rzekła. — Rozłączyłam się z dzieckiem, ażeby chleba nie zabrakło. Wiesz o tem, Horacyuszu, że w salonach nowoyorskich poznałam młodego anglika, młodszego syna w rodzinie. Dzięki naszym obyczajom, pozwoliłeś mi zostać jego *spiritaty wife* (żoną duchową), w dniu, w którym mieliśmy się odnaleźć w lepszym świecie, gdzie łączą się dusze, stworzone, ażeby się rozumiały. Kiedyśmy pojechali do Londynu w 1872 roku, spotkałam znów Harry. Niestety! zanadto zostawiałeś mi swobody...



— A *spiritaty wife* nie miała cierpliwości czekać lepszego świata — dokończył dawny mąż. — Rozumiem, Betrie, moja wina i obyczajów wolnej Ameryki.

— Odjeżdżał — ciągnęła pani Brooklyn — odjeżdżał do Zululandu, z orszakiem, aby asystować...

— Wiem, wiem — przerwał Horacyusz — na koronację króla Cettiwayo, w obecności całego jego ludu, przez sir Theophilusa Sheptone, sekretarza spraw krajowych kolonii Natal.

— Odjeżdżał! — powtórzyła kobieta, nabierając odwagi.

— Wiem, wiem, pojechałaś z nim! — westchnął amerykańczyk — a ja musiałem przeglądać wszystkie książki wszystkich towarzystw żeglugi morskiej, żeby odgadnąć, dla jakiego celu poświęciłaś Anglię. Nazwisko Robert Stewart, stało się dla mnie promykiem światła, jest temu kilka miesięcy. Lecz poruszyłem góry z posad, zbadałem listy pasażerów, jedno po drugim. Dla słabej poszlaki przybiegłem aż tutaj, lecz jest Opatrzność dla ludzi uczciwych i odważnych, ponieważ traf postawił cię na mej drodze. Lecz moja córka?.. — powtórzył z rozpaczą.

— Mary jest w Pretoryi, jechałam ją zobaczyć — rzekła pani Brooklyn.

— Szczęśliwy jestem z tej resztki miłości macierzyńskiej. Jest to okoliczność łagodząca złe, jakieś mi wyrządziła.

Nastąpiło chwilowe milczenie; jak gdyby niewierna małżonka nie miała odwagi ciągnąć swojej spowiedzi.



W końcu zaczęła głosem spokojniejszym, widząc, że się twarz męża rozjaśnia.

— Od siedmiu lat prowadzę życie tułacze... Nie chciałam, żeby Mary cierpiała trudy i głód nieraz... ona za słaba, za delikatna, ażeby znosić to, co ja znosiłam.

Westchnęła ciężko i gwałtownie, jak gdyby kamień przygniatał jej piersi, opowiedziała całe swoje życie, biedny romans miłości występnej, złamanej nędzą i niepowodzeniem.

Kochanek zabrał ją z sobą, kiedy dostał rozkaz wyjazdu z pułkiem do Zululandu. Rząd brytański postanowił wypowiedzieć wojnę królowi kraju Cettiwayo, rządzącemu na miejscu Panda, brata potwora Chaha, którego imię jest postrachem kafrów. Anglicy zrazu użyli pomocy przeciw Burom nowemu królowi, który pod formą protektoratu angielskiego, zachęcał instynkty wojownicze swego ludu, które miał niebawem zwrócić przeciw swoim protektorom.

Rzeczywiście, jak tylko anglicy odkryli swój plan stanowczy przyłączenia Rzeczypospolitej południowoafrykańskiej Transwaalu, do kolonij Przylądka, król kafrów pokazał zęby. Przed zrzuceniem zupełnem maski służbiowości uniżonej, Cettiwayo zaczął od prześladowania żołnierzy, których Albion mu narzucił. Zaczęło się od rzezi w różnych punktach i rabunku ferm angielskich. Robert Stewart w ten sposób został zniszczony i uciekł do stanu Oranii, żeby tam szukać szczęścia, nie czekając do wybuchu tej wojny z roku 1879, podczas której młody książę francuski, przeznaczony zo-



stał na zroszenie krwią swoją tej Afryki Południowej, zaludnionej, wykarczowanej, zubożonej rękami francuzów.

Wtedy zaczęła się pokuta dla żony wiarołomnej. Stawiając po tysiakkroć mężnie czoło śmierci, udało jej się w końcu dostać do Transwaalu, a kochanek jej ciężką pracą, wśród cierpień niesłychanych, zdołał zebrać mały kapitałik, trudniąc się sprzedażą bydła.

Dwoje zakochanych, których namiętność ostudził czas i cierpienia, posiadali tedy obecnie we wschodnim Transwaalu małą fermę, z której żyli od biedy, zmuszeni często tać swoje pochodzenie przed sąsiadami Holendrami i Francuzami, nauczyli się powoli języka Burów i przyswoili ich obyczaje.

W taki to sposób Horacyusz spotkał swoją żonę, udającą się do Nademal.

Wprawdzie pani Brooklyn zgodziła się na ucieczkę z kochankiem i opuszczenie Horacyusza i jego majątku, lecz nie mogła zdecydować się na opuszczenie ślicznej dziesięcioletniej córeczki, którą miała ze swoim mężem. Urowadziła ją z sobą wieczorem do Southampton gdzie miała wsiąść na okręt, kiedy uciekała z *private hotel* przy Jermyn street w Londynie.

W chwili gdy zaczynała się dla niej *struggle ofr life* (walka o byt) spotkała w Durbanie, najstarszem mieście nadmorskiem w Natalu, starą kobietę, francuskę, która jej zaproponowała, że podejmie się opieki nad dzieckiem.

— W którym to było roku? — spytał amerykanin.



— W tysiąc ósmset siedmdziesiątym piątym.

— Więc Mary miała wtedy trzynaście lat za ledwie.

— Tak — wyjąkała matka, spuszczać głowę.

— A teraz jest temu lat cztery?.. A od tego czasu?

— Walczyłam o chleb powszedni, bez wytchnienia, nie wiedząc nigdy rano, gdzie złożę głowę wieczorem.

— Więc nic nie wiesz?

— Dowiedziałam się tylko od Burów koczujących, że pani Champ, stara francuska, żyje i utrzymuje *public house* (szynk) w Pretoryi.

Niepokój ojca dochodził do szczytu.

— I Mary jest w Pretoryi? — zapytał.

— Była tam przed trzema tygodniami.

— Dzięki pani, i niech ci Bóg przebaczy!..

Zabierał się w końcu wyjść z wozu, gdzie jego pobyt długi dziwił towarzyszy podróży, zebranych na wybrzeżu Klip.

— Jesteś nieszczęśliwa — rzekł — nie chcę, żeby twoje drugie dziecko umarło z głodu!..

Zamyślił się i dodał z wahaniem:

— Pozostawię rozporządzenie pewnemu bankierowi, którego ci wskażę, ażeby nędza was nie zabiła... Bądź o tyle szczęśliwą, o ile ja byłem nieszczęśliwy, kiedyś mnie porzuciła.

I nie słuchając podziękowań żony występnej, wyszedł z wozu.



Jan Vaillant wzywał go głosem i rękami. Lecz amerykańnin, obojętny ciągle i spokojny, rozwiązał najpierw swego rywala, następnie puścił lejce mułom, które wyciągnęły wóz z rzeki.

Skoro tylko stanęły na lądzie, yankes zeskoczył na ziemię.

Patrzył za wozem, oddalającym się powoli, lecz nagle jakby sobie coś przypomniał, pobiegł za nim, wskoczył na drąg z boku i krzyknął nad uchem Roberta Steward, swego następcy:

— Panie, nie zabiłem cię dzisiaj, lecz jeżeli kiedykolwiek opuścisz tę kobietę, życie twoje niepewne, do mnie będzie należało. Co więcej, jeżeli noga twoja postanie w Pretoryi, odbiorę rentę, jaką ustanawiam dla twojego dziecka. Żegnaj!..

Oficer nie zdążył słowa wymówić.

Brooklyn widział, jak wóz schował się w zarośla. Lecz zamiast jechać na północ, angiik skrzył na prawo, na drogę do Heidelberga, na południe od stolicy transwaalskiej.

Groźba poskutkowała.

Amerykanin westchnął ciężko. Wszystkie wspomnienia młodości, spotkanie niespodziane, uciekały na zawsze.

Powrócił do towarzystwa.

— Czy już wyruszamy? — zapytał.

— Bardzo panu pilno! — rzekła miss Anna. — Endes może nas jeszcze dogonić, jeżeli tylko zabłądził w lesie.



Horacyusz patrzył na młodą pannę tak uparcie, że spuściła oczy, podczas gdy słodkim głosem yankes mówił:

— Jeżeli kiedyś będziesz pani matką, zrozumiesz moją niecierpliwość.

Jan Vaillant dał znak wyjazdu, a jadąc konno na czele wozów, Brooklyn opowiedział całe swoje życie towarzysom: nędzę pierwszych lat młodości, naukę z łaski szlachetnego pastora metodysty, następnie wejście swoje do domu komisowego Blackmeat-Sweel et Comp., którego znaczenie społeczne stało się prędko, (dzięki pracowitości i inteligencji skromnego urzędnika), najbardziej znane w Europie ze wszystkich domów handlowych amerykańskich.

W końcu, o szybkim zdobyciu majątku, dzięki wynalazkowi maszyny, która oszczędzała pracę ręczną; swoją podróż do Washingtonu i małżeństwo z biedną dziewczyną, która stała się jedną z najbogatszych kobiet w Stanach Zjednoczonych. Opowiadał o złamaniu wiary małżeńskiej i ucieczce Betrie, nieśmiało, bez goryczy, bez nienawiści. Mówił o dziecku opuszczonem i objawił w końcu mocne postanowienie nieopuszczenia Pretoryi, przed odnalezieniem swej córki.

Czas w podróży wydawał mu się długi nieskończenie, woły powolne jak nigdy; podniecał je, łajał przewodnika, który ogromnym biczem zacinał biedne zwierzęta.

Ciągnęli prosto aż do Alberty, a ztamtąd zwrócili na północ, i po dwóch dniach forsownego marszu, karawana przebywała wreszcie te grunta, przesyco-



ne miedzią i ołowiem, jakie otaczają Pretoryę na południe.

Dobili do miasta bardzo późnym wieczorem.

Trzeba było szukać mieszkania, schronienia dla wozów i zwierząt, znaleźć dom dla pomieszczenia dzieściu osób służby, których naczelnikami byli Hiroka i Koriana.

Jan Vailland, Sir Fryderyk Harrisson i jego siostra, Wiliam Linden i amerykańkanin, znaleźli łatwo mieszkanie za cenę funta sterlingów na dobę od osoby (bez wina) w *Europeau Hotel*, na Marhe-Street, na placu Targowym. Jeden z Burów wynajął podróżnym szopę, stajnię i domek z desek, gdzie znów kafrowie urządzili się wygodnie.

Nasi przyjaciele zatem, mogli bez wielkiego kłopotu oczekiwać chwili wyprawy na wielkie polowanie, pozostawiając południowcowi, który znikł w taki nieprzewidziany sposób, dosyć czasu na połączenie się z karawaną, a Horacyuszowi swobodę przeszukania miasta i odnalezienia Mary.

---

## VII.

### Ojczyzna i policya.

*Europeau Hotel* w Pretoryi był bezsprzecznie jednym z najwspanialszych gmachów miasta, które dla swych rozmiarów stało się stolicą kraju, zastępując Potschefstrom, dawną stolicę Transwaalu.



Pretoryę założył w roku 1843 Adryan Pretorius. Ten wódz Boerów, najodważniejszy ze wszystkich, zdobył pomalą terytorum na tych wszystkich pokoleniach dzikich, które zalewały ich i otaczały jak obręczą żelazną, puszczając hordy na rabunek.

Pretorius, gdyby żył w roku 1879, mógłby słusznie dumnym być ze swego dzieła; dzieło to prowadzono dalej, z odwagą i uporem nie mającym równego sobie w dziejach, pomimo kafrów, pomimo anglików.

Następcy zbierali plon jego pracy.

Najpierw został pomszczony Peter Retief, zabity przez zulusów w morderczej bitwie w kraju, który stał się następnie kolonią angielską Natal.

Potem pierwsi holendrzy i osadnicy francuscy byli pociągnięci przez swoich wodzów po za łańcuch gór Dragon, z których uczynili żelazną granicę przed pokoleniami kafrów.

Następnie marzenia o niepodległości zaczęły nawiedzać wyobraźnię tych pierwszych nieustraszonych, i powoli te marzenia przyoblekły się w rzeczywistość dzięki rozumowi wodza.

Po śmierci wodza, powrócili anglicy, a z nimi nienawiść.

Bogata bowiem rzeczpolita Transwaalu, z pochodzenia holenderska i francuska, pielęgnowała w swem łonie gorącą miłość ojczyzny i gwałtowne pragnienie autonomii, podczas kiedy w Zululandzie i Wolnym Stanie Oranii, umacniała się przewaga Anglii, której ogniskiem są Natal i Przylądek.



Dodajmy, że dla narzucenia swej zwierzchności, przewrotny Albion posługiwał się szeroko sposobami, zwykłymi sobie.

Potscherfstrom, dawną stolicę Transwaalu, zamieszkawali Burowie i Holendrzy, w chwili kiedy królowa Wiktorya, oświadczając, że nie może pozwolić poddanym swoim Burom, zakładać Stanu na wybrzeżu morskiem, zajęła małą republikę transwaalską Natal.

Po dokonaniu tej aneksyi, Burowie cofnęli się dalej, aby uniknąć zetknięcia ze swymi ciemniejszymi, którzy próbowali protektoryat swój wzmocnić stanowczo w Transwaalu; wtedy Pretoria i Wondesfontein stały się środkiem czynnej propagandy patryotycznej.

Podczas kilkotygodniowego pobytu Jana Vaillant w mieście wraz z towarzyszami podróży, czuć było ciągle w powietrzu, jak gdyby groźbę wyzwania, niewiary, co poprzedza zwykle burzę w narodzie.

Horacyusz Brooklyn nic tego nie spostrzegął, a jednak pokoik jego nr. 11, który zajmował w *Europeau Hotel* widział codzień defiladę niezliczoną odwiedzających, należących do różnych ras, do różnych stanów tego społeczeństwa mieszanego, z jakiego składa się ludność miast Afryki Południowej.

Gubiono się w domysłach nad długimi konferencjami amerykanina z krajowcami.

Tak samo tego poranku, zaledwie godzina piąta wybiła, mężczyzna, [kafr, w swoim kostyumie pierwotnym, szedł na palcach nóg bosych, cicho, po białej podłodze długiego korytarza, podsunął się pod drzwi



numeru 11 go i zaskrobał palcem w sposób, widocznie umówiony.

Prawie natychmiast drzwi się otworzyły, ukazał się Brooklyn, okryty długim szlafrokiem z szarej flaneli, w czapeczce na głowie tej samej barwy, co go jeszcze śmieszniejszym czyniło niż zwykle.

— Wejdz — rzekł szeptem.

Człowiek brązowy był posłuszny.

Podczas kiedy amerykańnin kładł się napowrót do łóżka, on stał przy nim.

— No, jest co nowego? — zapytał Horacyusz.

— Bardzo dużo.

— Znalazłeś ją?

— Nie, na nieszczęście.

— A cóż mnie reszta obchodzi! — rzekł yankes gwałtownie.

— Bardzo dużo.

Mówiąc to, Korianą zbliżył się do amerykańnika, pochylił do jego ucha i prawie niedosłyszalnie szepnął:

— Widziałem Hopkinsa!

— Zdrow? Wyleczył się? — zapytał Brooklyn, nie zdając sobie sprawy, dlaczego jego czarny sługa w tajemniczy sposób robił mu to zwierzenie.

— On także jej szuka! — odparł kafr wolno.

Tym razem, pomimo wielkiej władzy nad sobą, amerykańnin zadrzał i zerwał się.

— Zkąd wiesz?

— On mi to powiedział.

— Ale dlaczego, dlaczego?



— Dla tamtego!

— Nędznik!.. — krzyknął Brooklyn, wyskakując z łóżka.

Ubierał się gorączkowo.

— A pani de Champ? — rzekł, zanurzając głowę w obszerną miednicę, z której woda popłynęła na podłogę.

— Wyjechała!

— Wyjechała! — powtórzył amerykańnin, pokazując twarz podobną do psa zmokłego. — Była więc tutaj i nie mogłeś jej odszukać?

— Odszukałem ją zapóźno.

— Ażeby dowiedzieć się, że opuściła Pretorję?

— Tak.

— Jesteś tego pewny?

Horacyusz mówił głosem niepokoju pełnym.

— Odnalazłem jej dom.

— I?...

— Pusty. Ale...

Dodając słowo *ale*, Koriana się wahał.

W naturze dzikich znajdują się instynkty delikatne, jak u zwierząt przywiązanych. Obawiał się zrobienia nadziei niepodobnej do ziszczenia temu ojcu, poszukującemu córki.

— Ale, co? — krzyknął Horacyusz, tupiąc nogą.

— Ale Hopkins nie wierzy, że pani du Champ wyjechała, a Hopkins wie dużo.

Po raz drugi *clergyman* (duchowny), podszyty żółtym, zadrzał; mruknął potem:



— To dziwne, lew mnie nie przeraża, a zmija wstręt we mnie budzi i rodzaj strachu nieprzewycięzonego.

— Co trzeba robić? — zapytał kafr.

— Szukać! — odpowiedział amerykanin.

Ubrał się już. Wyszedł z Korianem, z którym rozstał się u drzwi *European Hotel*.

— Każdy w swoją stronę — rzekł, oddalając się wielkimi krokami, podczas kiedy kafr poszedł w stronę przeciwną.

Stolica Transwaalu miała tego dnia pozór nadzwyczaj ożywiony. Moznaby mniemać, że tak samo jak w uprzednim roku, w tym samym czasie mieszkańcy w obawie zuchwałego najścia Zulusów zbierali ze wszystkich stron wieści lub zachętę.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy, przebiegali stolicę, ocierając się jedni o drugich, pytając o wiadomości.

Z wyższej części miasta, gdzie Anglicy, zbudowali dla siebie ogromne koszary, tłum płynął spadzistemi ulicami, i pomimo zajęcia wszystkich myślą wyłączną, wybuchały głośne śmiechy, kiedy jaki urzędnik angielski, sztywny, poważny, nadęty, sunął chodnikiem.

Przed domami, porządnie zbudowanymi i czystymi, lecz wogólności o jednym pięttrze, kobiety zbierały się, i rozmawiały z ożywieniem w cieniu drzew i ogrodów.

Powiew gorącego wiatru, niósł na tłumy cudną woń kwiatu pomarańczy i cytryny, drzew granatowych



figowych, i wszystkich tych podzwrotnikowych roślin, o jakich mieszkańcy północy pojęcia nie mają. A twarze, ubrania najrozmaitsze, płynęły szerokimi ulicami, wysadzonemi olbrzymiemi drzewami, brzoskwiń i eukalip-tusów.

Były to krzyki, popychania, w mieście, które wy-daje się raczej wielką wsią, usianą w wille z ogrom-nemi przestrzeniami dokoła, gdzie pasły się konie i woły.

Co tu takiego zaszło?

Nowy gubernator angielski postanowił raz jeszcze rozpuścić panikę pomiędzy ludnością.

Wojsko ściągnięto, a zręczni agenci rozpuścili głu-che wieści, że Burowie, podburzeni przez osadników francuskich, postanowili palić i rznąć wszystkich.

Byłto zwykły manewr dla tamowania robót w po-lu i w kopalniach, odkąd Anglia narzuciła się Trans-waalowi, pod pozorem, że Anglicy tu mieszkają i że ziemia należy prawie do terytorynm brytańskiego.

Zdobywcy bezlitośni nałożyli kiedyś cenę na gło-wę Andrea Prétoriusa, ponieważ pobity w Boons-Plaets wróg ten nieprzejednany potrafił zorganizować Stan Oranii i Rzeczpospolitą Transwaalską; Anglicy niedługo potem przeszkodzili Prétoriusowi II-mu do przyłączenia Oranii do Transwaalu i stworzenia w ten sposób wiel-kiej Rzeczpospolitej południowo-afrykańskiej, która za-czyniała w końcu korzystać z idei niepodległości, cler-gymana Burgers, następcy Prétoriusa, i rozsiewali po-między osadnikami nienawiść nieprzeblaganą.



Anglicy spożytkowali tę zawiść pomiędzy osadnikami, ażeby w kwietniu 1877 roku, dokonać aneksyi, którą M. Troblape nazywa gwałtem, o jakim świat dotąd nie słyszał.

Lecz Burowie reklamowali; Holandya, Belgia, ślały do Londynu protestacye i manifesty. Trzeba było usunąć okupacyę ostateczną, aby ten kraj bogaty nie wpadł w ręce lorda Beaconsfielda.

W oczekiwaniu przybycia posiłków, sir Owen Jamson, trzydziesto sześcio letni pułkownik, K. C. B. (*Knight commander of the Bath*), gubernator, któremu Anglia urządziła przyjęcie entuzyastyczne w roku poprzedzającym przez wszystkich mieszkańców anglofilów, sir Owen Jamson tedy wynalazł podstęp dla odwrócenia uwagi Europy.

Rozsiewał panikę w mieście.

Jednego dnia Zulusi, niewolnicy oswobodzeni, mieli wyrznąć dawnych swych panów, Burów; drugiego dnia, to mieli być Burowie, którzy chcieli podnieść bunt przeciw obaleniu niewolnictwa, i z bronią w ręku mieli rzucić się na wszystką ludność czarną, która ciągnęła z pól do miasta, żeby tu sprzedawać owoce, drób i ryby.

I za każdym razem kompletne powodzenie wienoczyło podstępne działanie młodego gubernatora, jak można było przekonać się łatwo na widok zaburzeń, jakie obejmowały w tym niespokojnym czasie ładne miasto, zbudowane przez Prétoriusa II-go.

Horacyusz Brooklyn spostrzegł odrazu ten ruch niezwykły.



On, który od dwóch tygodni widział liczne, *public-houses*, bary i tawerny miejskie, nie widział nigdy tylu ludzi odrazu na ulicach.

Z głową podniesioną, oglądając wszystkie domy, czytając wszystkie afisze, potrzebował całej siły w nogach herkulesowych, ażeby nie dać się pociągnąć potokiem ludzkim. Stojąc na nogach kolosalnych, zagłębiając się w rozmyślaniach, nie uważał zrazu na potrącanie. Lecz w końcu, popchnięty gwałtownie, znalazł się przyciśniętym do gęstego płotu z róż wijących, który otaczał dokoła ładny biały domek.

Zaczął tedy obserwować, co się koło niego dzieje. Ludzie grupami, zaferowani i przerażeni, rozmawiali głośno, a w tem zbiorowisku wszystkich narodowości możliwych, wszystkie narzecza się spotykały, mieszały i tworzyły wielkie brzęczenie, jak kiedyś rój pszczół się wyroi.

— Dokąd ci ludzie idą?—pytał siebie Brooklyn, patrząc kilka minut na przeciąganie czarnych w piórach na głowach; kobiety kafryjskie, nagie prawie, w zapaskach skórzanych, jeżeli zameżne, z frendzlą na biodrach jeżeli panny; Burowie w ubraniach skórzanych; Zulusi w żakietach, z których kieszeni wyglądały szyjki butelek; europejczycy, kupcy, zachowujący stale mody paryskie, niemieckie, włoskie lub ruskie; anglicy w białych czapkach i motłoch wszystkich narodowości kuli ziemskiej, poubierany w fantastyczne stroje, kupione, pożyczone lub wyłudzone.

Amerikanin nie był człowiekiem, któryby stał z gębą otwartą wobec faktu niezwyčajnego i nie



próbował mieć wyjaśnienia. Czekał więc, szukając wzrokiem, kogo by zapytać.

Niedługo potrzebował szukać.

Młody człowiek w kurtce skórzanej i w kapeluszu miękkim z szerokimi skrzydłami przerzynał tłum w kierunku przeciwnym, kierując się do górnej części miasta, podczas gdy tłum dusił się na miejscu. Ze zrzęczością, pomimo dużej i silnej postawy, wciskał się w luźniejsze miejsca, pomiędzy tłumami. Wreszcie *roer* dużego kalibru przewieszony przez plecy i ładownice z nabojami na piersiach, wzbudzały widoczny szacunek nawet w najupartszych i najordynarniejszych przechodniach. Usuwano się prawie przed nim, pomimo szalonego strachu, jaki obejmował tę żywą falę.

Horacyusz szedł na jego spotkanie, a kiedy był już przed nim, stanął.

— Zapomniałem kalendarza, *iguess*,—odezwał się. Czy mógłbyś mi powiedzieć co to za święto?

— To nie żadne święto! — odpowiedział nowo przybyły po francusku.—To strach!

— Strach? — wykrzyknął Horacyusz, powstrzymując z trudnością uśmiech pogardliwy dlatego tłum, który rozbijał się, jak fala o skałę, o dwóch rozmaiwających.

— Tak! strach, — ciągnął jego interlokutor.—Ci *werdoemens Engelsmen* (przekłęci anglicy) nabili im głowy, że my będziemy ich mordować.

— Nie jestem anglikiem, lecz amerykańnikiem! — rzekł yankes pośpiesznie, zobaczywszy rodzaj wyzwania



w epitecie nie łaskawym, jakim poczęstował młody człowiek podwładnych Wielkiej Brytanii.

— Tem lepiej dla pana,—powiedział Bur spokojnie.

— Oświadczenie pana jest co najmniej nieostrożne w tym tłumie—zauważył Brooklyn,—uderzony tą zuchwałością młodzieńczą.

— Ba! to trzoda tchórzów! — odparł myśliwy z gestem pogardy, odpychając brutalnie wielkiego Buschmana, który zanadto do niego się przyciskał. — Wybaczy pan! — dodał, zabierając się iść dalej — lecz czekają na mnie.

Horacyusz wyciągnął do niego swoją ogromną rękę.

— Doprawdy! pan mi się podobasz! — zawołał;— do widzenia, prawda? *Europeau Hotel* pokoju Nr. 11.

— Do widzenia! — odparł myśliwy.

Yankes patrzył za nim chwilę; widział, jak znikł w furtce w płocie z róż pnących, do którego to płotu przycisnęło go przed paru minutami.

— Gdyby mieszkał w tym domu — pomyślał amerykańczyk — byłby mnie zaprosił, żebym odpoczął, raczej niż by miał uchybić gościnności patryarchalnej, jaką ofiarują wszyscy mieszkańcy tego kraju.

Zatem on tu nie mieszka, to jest logiczne, jakby powiedział nasz przyjaciel Wiliam Linden.

Byłby ciągnął dalej swój monolog, gdyby nie był zobaczył znikającego tą samą drogą drugiego osobnika, ubranego tak samo, jak jego interlokutor. Za tym, nastąpił trzeci, potem czwarty. A za każdym razem jak



się zamykała furka, dźwięczał dzwonek, umieszczony wewnątrz.

Przez prostą ciekawość amerykańnin zbliżył się do płotu, w chwili gdy piąty osobnik wchodził do tajemniczego domu.

Horacyusz oparł się o krzaki, zakrywające przed wzrokiem przechodniów wnętrze domu.

Przy tym ruchu rzucił bezmyślnie wzrokiem na chodnik przeciwny. Uwagę jego zwrócił człowiek w ubraniu brudnym, który, skoro na niego Brooklyn spojrzął, uczynił poruszenie, jak gdyby się chciał ukryć w tłumie. Yankes miał jednak czas zrobić sobie uwagę:

— Oho! tę twarz już gdzieś widziałem, *iguess!*

Machinalnie poszedł za tą osobistością, starającą się przejść niepostrzeżenie.

— Kto to jest u diabła?—pytał się w myśli Horacyusz, radząc się pamięci.

Wyrwało go z zamyślenia powtórne szarpnięcie dzwonkiem.

— To już szósty! — powiedział do siebie.

Zdarza się często w dużym zbiorowisku ludzi, że po hałasie robi się chwilowa cisza, i amerykańnin usłyszał wyraźnie rozmowę po za płotem, o który się opierał.

— Pani du Champ?—pytał nowo przybyły.

— Na pierwszym piętrze,—panie Joubert!—odpowiedział głos stary, trzęsący się.

— Du Champ! du Champ!—powórzył Horacyusz. Ależ to ona! znalazłem ją. Moja córka tam być musi...



Nasz herkules mówił głośno, gestykulował, odepchnął o kilkanaście metrów dwóch krajołow, stojących pomiędzy nim a furtką, otworzył i znalazł się w ogrodzie.

Zastąpił mu starzec, którego zapewne głos słyszał.

— Czego pan chce?

— Widzieć się z panią du Champ.

— Na pierwszym piętrze, proszę pana..

Amerykanin miał już wejść do domu, kiedy furtka znów się otworzyła, siódmy przybysz się ukazał i zapytał:

— Pani du Champ?

— Na pierwszym piętrze, panie Bonnot, — odpowiedział ogrodnik.

Yankes puścił przed sobą nowo przybyłego. Wtedy dopiero zobaczył dziwną jego postawę. Owinięty aż do oczu w derę, niestosowną zupełnie do ciepłej pory roku, człowiek ten miał oprócz tego kapelusz tak nasunięty, że widać było tylko oczy.

— Jeszcze jedno oblicze podejrzane! — pomyślał Horacyusz.—Ale! ba! w miejscu publicznem nie można być wybrednym.

Usunął się, a potem szedł za dziwacznym nowo przybyłym.

Ku wielkiemu jego zdziwieniu, ten nie wszedł na pierwsze piętro. Poszedł ciemnym korytarzem, na który wychodziły drzwi od kilku pokojów, aż do sali w głębi, gdzie był kontuar i stoliki, obstawione krzesłami.



Horacyusz zaczynał mieć nadzieję.

— W głowie mi się pali — myślał. — Jestem z pewnością w *public-house*. Lecz kto by to pomyślał, patrząc na przyzwoitą powierzchowność domu? Czekajmy, jeżeli Mary usługuje klientom, to niebawem się ukaze.

Izba była duża, jasna, pomimo szyb matowych w oknach. W każdym kąciку czystość i porządek.

Podłoga z czerwonej polerowanej cegły błyszcząca, tak samo jak naczynia miedziane, ustawione na kontuarze.

Brooklyn niecierpliwy, byłby już pukaniem w stół oznajmił swoją obecność, gdyby mu w tem nie przeszkodziło dziwne zachowanie się gościa, okrytego dera, który oparł się o drzwi w głębi sali, uchylił je i z uchem, przyciśniętem do szpary, zdawał się być bardzo zajęty tem, co słyszał. Do amerykańszyna dochodził tylko szmer głuchy, słowa niezrozumiałe.

— Ten człowiek jest bardzo niedyskretny — myślał Brooklyn — bo co go może interesować rozmowa młodych ludzi, zapijających brandy i cognac?

Nie przeszkadzając, przypatrywał się dalej temu człowiekowi. Naraz tenże zamknął drzwi, odsunął się szybko i usiadł przy kontuarze.

Jednocześnie Horacyusz usłyszał głośny huk obcósów na schodach drewnianych i młody człowiek, z którym rozmawiał na ulicy, wszedł do sali, za nim stara kobieta i młoda dziewczyna niezwykle piękna.

Ten, którego nazwano panem Bonnot, wstał ceremonialnie na widok dwóch kobiet, podczas gdy yankes



czuł, że mu wszystka krew zbiegła do serca. Musiał użyć nadludzkiego wysiłku, żeby nie upaść. Niepokój straszny go ogarnął. Czyż tu nie o szczęście całego życia jego chodziło?

Rano jeszcze nie miał żadnej nadziei odzyskania córki. Przeszukał wszystkie zakłady publiczne w mieście, dopytywał się wszędzie o panią du Champ, a wszędzie odpowiadano, że znikła gdzieś w przeszłym roku, ta kobieta, otoczona szacunkiem wszystkich burów, ponieważ należała do wielkiego faktu w dziejach burów, w roku 1834, wtedy, gdy uciekając przed jarzmem Anglii, pod przewodnictwem osadnika pochodzenia francuskiego Pietera Retief, holendrzy i francuzi posprzedawali lub opuścili pola i fermy, grożąc przez tę emigrację wyludnieniem całej kolonii Przylądka.

Opowiadano mu, z jaką energią pani du Champ, młoda wdowa w owej epoce, wołała, pomimo swoich dwudziestu dwóch lat, uciekać, spakować na wóz ruchomości i dzieci swego męża, i pójść za swymi współrodakami, jak w czasach biblijnych, opuścić ziemię, zdobytą i krwawym potem zlaną. Śród band koczujących szli na los szczęścia, poprzedzani niezliczonymi trzodami, dziesiątkowani znużeniem, epidemią, głodem, napadami dzikich zwierząt. Ona niczego się nie uległa, była przy krwawej walce swoich współrodaków przeciw Mazulehatze, wodzowi plemienia Matabelów. Z nimi razem przebyła góry Drakensberg i weszła do ziemi obiecanej, do Natalu. Zamieszana była we wszystkie koleje ponurego dramatu, którego Pieter Rietif padł ofiarą.



Kiedy wódz, patryarcha, Mojżesz tego zastępu emigrantów oświadczył towarzyszom, iż uda się na schadzkę, jaką naznaczył mu Dinguan, dziki król Zulu, pod pozorem nadania ziemi emigrantom, jedna kobieta padła wtedy do nóg Bura, błagając go, żeby nie narażał się na śmierć i żeby strzegł się zdrady.

Pieter uśmiechnął się i w gronie sześćdziesięciu dziewięciu towarzyszy, ufnym obietnicy króla podstępnego i okrutnego, poszedł do Kraalu królewskiego, w pobliżu d'East-Court, na Blaukranz - Spruit.

Przez dwa dni król wyprawiał uczy, tańce, igrzyska. Lecz kiedy burowie opuścili Zulu, wymordowano ich wszystkich z rozkazu Dinguaana, a jednocześnie sześćset dziesięć osób, kobiety, dzieci, biali i hotentoci, zostali wyrznięci na brzegach rzeki, którą nazwano potem Moord - Spruit (rzeka śmierci).

Pani du Champ, wdowa i stara już teraz kobieta, była jedną z tych, którzy przeżyli tę rzeź dziką. Ona to z kilkoma towarzyszami zdołała się przedostać do Natalu.

Zaprzysięgła anglikom i kafrom nienawiść nieubłaganą, które to uczucie zdawało się jedynie poruszać tę postać wychudłą, pokrzywioną, zmaląłą od ciężaru lat i cierpień.

Od roku rozeszła się wieść, że wyjechała. Przystano widywać ją w kościele, a kiedy pytano zwykłych gości zakładu starej francuski, odpowiadali niezmiennie:

— Wyjechała.

Wyjechała? Dokąd?



Oto była zagadka, której nikt nie mógł rozwiązać, chociaż dowcipniejsi oficerowie królowej Wiktoryi utrzymywali wieczorem w Royal-Club, że stara znikła w samą porę, żeby ująć aresztowania i wsadzenia na okręt z wyższego rozkazu, z powodu propagandy antiangielskiej, której poświęciła życie swoje. Oświadczyli także, że przytrzymanie byłoby się odbyło tak zręcznie, iż Burowie nie mogliby obronić swojej czarownicy, ani ukryć jej przed sprawiedliwością Wielkiej Brytanii, szybko w swoich działaniach.

Widzieliśmy panią du Champ, ukazującą się pewnego wieczora na zebraniu ligi południowo-afrykańskiej, w Wonderfontein.

Policya angielska nie zupełnie się myliła, ale pani du Champ powróciła.

Tak więc, traf sprowadził Horacyusza do tej kobiety poszukiwanej; lecz nie śmiał zacząć z nią o tem, co go najwięcej obchodziło, w obawie, żeby pani du Champ, jednym słowem nie zniweczyła jego nadziei.

A jednak tej to szlachetnej kobiecie Opatrzność powierzyła Mary młodziutką, zaledwie mającą lat dwa-naście.

Pani Brooklyn prawdę powiedziała. Spotkała panią du Champ w Durbanie, a ta podjęła się z ochotą matkowania dziewczynce; zrobiła z niej bohaterkę, w kierunku patryotycznym, na dzień, w którym wszyscy patryoci powstaną, ażeby zrzucić znienawidzone jarzmo angielskie.

Dziecko urodzone było z rodziców amerykańców.

Lecz co to szkodziło?



Czyż rasa burów nie jest rasą nową, wyszłą z pnia francuskiego i niderlandzkiego, ażeby stworzyć nowy typ w ludzkości: *Afrykanderów*, który, naprawdę, nie jest ani holenderskim ani francuskim, pomimo swego pochodzenia, lecz tworzy inną rasę, różną od ras, z jakich powstała.

Mary dla pani du Champ była Burką, Afrykanderką, Południową - Afrykanką, od dnia, kiedy podjęła się urabiania jej serca i umysłu.

Dziś stara kobieta byłaby klęczała przed arcydziełem, jakie urobiła — stworzyła prawie.

W ciągu pięciu lat udało się jej wykształcić Mary, zrobiła z niej kobietę skończoną do dzieła, do jakiego ją przeznaczyła. Jeździła dzielnie konno, nie znała zmęczenia; przywykła do polowania, tak samo jak do gospodarstwa, była prawdziwie kobietą cudowną, obdarzoną największymi zaletami, z odcieniem odwagi męskiej, która jej nie szpeciła pośród natury południowo-afrykańskiej, tej natury wielkiej, na której tle wszystko, co wielkie, dobrze się odbija.

Nabożna jak purytanka, odważna jak prawdziwa bohaterka, uczona jak pastor, śmiała jak bur, pracowita jak holenderka, miła i zachwycająca jak paryżanka, z domieszką swobody w ułożeniu, pozostałości pochodzenia amerykańskiego.

— Dzień dobry, panie du Plessis — zawołał nieznajomy, zakryty po oczy.

— Dzień dobry — odpowiedział obojętnie młody człowiek, ten, z którym Brooklyn rozmawiał na ulicy.



Rozmowa byłaby się urwała, gdyby nie to, że yankes uznał za stosowne odezwać się:

— Cieszę się, że pana znów spotkał! — rzekł, wyciągając rękę do młodego strzelca.

Strzelec odpowiedział najpierw pocichu na zapytanie, jakie mu zadała właścicielka zakładu, potem zwrócił się do amerykańnika.

— Jak pan tu trafił? — zapytał zupełnie innym tonem.

Brooklyn, który nie spuszczał oczu z Mary, czytał na twarzy młodej dziewczyny wielki niepokój. Nie mogąc sobie zdać sprawy, dlaczego cierpiał z tego powodu za tę, o której myślał, że jest jego córką, pośpieszył odpowiedzieć, ażeby ją uspokoić.

— Wszedłem tu, ażeby rozmówić się poufnie z panią du Champ.

— Więc pan ją znasz — zapytał du Plessis.

— Nie, lecz słyszałem wymawiane jej nazwisko przez osoby, które tu wchodziły, a ponieważ mam ją prosić o jedno objaśnienie, niezmiernie dla mnie ważne, nie wahałem się zatem wejść do tego domu.

Stara kobieta zbliżyła się:

— Panie — rzekła — nie wiem, kto jesteś. Znajdujesz się u prawie wyjętej z pod prawa — najmniejsza twoja niedyskrecya zgubić mnie może, sprowadzając na mój ślad policję angielską. Jestem du Champ.

Uczyniła niebezpieczne wyznanie, zanim Mary zdążyła jej w tem przeszkodzić.

W tej samej chwili człowiek, okryty derą, podniósł się, a idąc do okna, potknął się, oparł o stół, prze-



wrócił go tak niezgrabnie, iż jednym kantem stłukł szybę w oknie.

Jak gdyby ten wypadek był umówionym sygnałem, trzech ludzi z zewnątrz wpadło oknem, które jeden z nich otworzył, wsunawszy rękę przez stłuczoną szybę.

Mary krzyknęła.

Horacyusz, zrozumiawszy, że córce jego grozi niebezpieczeństwo, ujął za szyję jednego z ludzi, który wkroczył, ścisnął, potem roztworzył rękę.

Człowiek padł ciężko na ziemię, nie wydawszy krzyku, uduszony.

Stało się to z zadziwającą szybkością, a jednak nie dość jeszcze prędko. Jeden z napastników rzucił się na amerykańcina z wielkim nożem w ręce, podczas gdy du Plessis, przyparty przez Bonnot i drugiego zbrodniarza, z trudem się bronił.

— Kto nożem wojuje, od noża zginie! — mruknął amerykańcin, wyciągając z za pasa ogromny *bowie-knife*.

I trzymając przeciwnika w przyzwoitej odległości, cofnął się krok w tył i stanął obok młodego Bura.

— Dwóch przeciw trzem! — rzekł Horacyusz — partya nie równa.

Naraz poznał wrzekomego Bonnot:

— Hopkins! — wrzasnął. — Nie umarł, *igness*.

Jednocześnie ujął krzesło i rozbił je na głowie jednego z trzech napastników.

— Drugi! — krzyknął. — Teraz szansa przy nas.



Lecz Hopkins, ocalony cudownie, nie czekał, żeby go atakowano. Wyskoczył oknem, za nim ostatni towarzysz, uszkodzony już bardzo ostrzem *bowie-knife*.

Horacyusz zamknął swój nóż.

— Woleę, że tak się stało — mruknął — nienawidzę bowiem rozlewu krwi.

Mary powróciła, umieściwszy wpierw panią du Champ w bezpiecznym miejscu.

Wobec młodej dziewczyny, ojciec stracił krew zimną, łzy mu napłynęły do oczu a potem nastąpiła patetyczna scena poznania ojca z córką.

Lecz kiedy Brooklyn zaproponował swej córce żeby z nim poszła, odmówiła:

— Czyż mogę opuścić moje dwie matki? — odpowiedziała z łkaniem.

— Co to znaczy? — mruknął Brooklyn.

— Nie mówię o tej, co mnie porzuciła; mówię o pani du Champ i mojej nowej ojczyźnie.

— Wszystko dla innych! — westchnął yankes zmartwiony.

— Lecz po nad rodzinę! mój panie, jest ojczyzna! — zawołała sędziwa kobieta, podniecona przebytem niebezpieczeństwem.

— Niech się stanie! — rzekł Horacyusz — wychylę do dna kielich goryczy; moja córka już do mnie nie należy!

— Oh! ojcze! — wyrzekła Mary, rzucając się na szyję amerykańcowi. — Ojcze, nie posądzaj mnie o niewdzięczność, nieczułość. Kocham cię za tę radość, którą dajesz mojemu sereu, stęsknionemu za tobą; kocham



cię do tego stopnia, że porzuciłabym dla ciebie wszelką miłość osobistą; lecz Boga i ojczyzny nie odstąpię, pozostanę im wierną...

Łzy płynęły z oczu amerykańнина, nieodznaczającego się zwykle zbytnią czułością. Pomimo to, serce jego ojcowskie dumą wzbierało, słuchając tego szlachetnego wyznania wiary, przy którym zbladł Hektor du Plessis. Rozumiał, biedny zakochany, iż Horacyusz może mieć jeszcze nadzieję. Lecz on, uwielbiając Mary, czuł, iż tylko trzecie miejsce będzie miał w jej sercu, oddanem innym uczuciom.

Bliższe jednak niebezpieczeństwo nie dało rozpałtywać smutków obecnych.

— Spodziewałem się, że gubernator knuje jakieś podłości na dzień dzisiejszy — rzekł du Plessis do pani du Champ. — Chciał skorzystać z ogólnej paniki, żeby panią pochwycić. Nie udało mu się, lecz tylko w połowie.

— Rzeczywiście, wiedzą, gdzie się ukrywam — mówiła sędziwa kobieta — będą jeszcze próbowali, i to może otwarcie, aby mnie się pozbyć.

— Więc trzeba szukać innego schronienia.

— Uciekać, ciągle uciekać! — wyrzekła stara patryotka, z rodzajem buntu wewnętrznego.

— Zawsze? nie, matko! — zawołała młoda dziewczyna. — Bliskim jest dzień, w którym Anglicy będą wypędzeni przez naszych przyjaciół.

— Cicho bądź, nieszczęsne dziecko! — mruknął amerykańnin, zasłaniając sobą okno otwarte.



W ogrodzie cicho było, policyjanci uciekli przez płot.

— Mogę być aresztowaną, wiem o tem! — zawołała pani du Champ — lecz znajdzie się pomiędzy naszymi dzielniemi Burami dziesięciu ludzi odważnych, co ujmą za broń, żeby mi wolność przywrócić. Jeżeli umrę w jednym z więzień angielskich, męczeństwo moje posłuży do umocnienia tych, co się jeszcze wahają.

Potrzeba było całej logiki Brooklyna i jego cytaty biblijnych, żeby przekonać sędziwą kobietę; uległa w końcu.

Hektor du Plessis zaproponował, że zabierze ją razem z Mary do swego ojca, jednego z bohaterów oporu na Przylądku. Przyjęła propozycję.

Poszły obiedwie robić szybkie przygotowania do podróży.

Młody człowiek sam został z Horacyuszem w sali ogólnej.

— Znałeś pan pana Bonnot? — zapytał du Plessis.

— Pana Bonnot? — rzekł Horacyusz, nie pojmując zrazu, o co chodzi.

— Tak! Judasza, który był tu z nami i który nas sprzedał.

— Aha! — Hopkinsa, górnika! — wykrzyknął yan-kes. — Znałem go temu sześć tygodni, lecz myślałem, że już nie żyje.

Opowiedział usiłowanie napadu na Miss Annę, jakiego dopuścił się ten nędznik, podjęty z litości w drodze.



— Twarde życie u tego łotra — zauważył Hektor. — Lecz przy pierwszej sposobności zrobię z nim obrachunek. Ten bandyta wkręcił się do nas do Wonderfontein, przed paroma dniami. Przyprowadził go Bur, który przedstawił go nam jak brata, jak zbiega od anglików...

„Zdrajca, wcisnął się w nasze szeregi, zdradził nas zapewne i odbierze za to nagrodę jaką gubernator przyznaje ludziom tego, co on, gatunku.

Horacyusz przypomniał sobie wtedy, z jaką pilnością ten policyant podsłuchiwał z uchem, przyklepionem do drzwi w głębi:

— Ten łotr może nas zgubić, popsuć nasze plany! — mruknął du Plessis, jakby sam do siebie mówił. — Pomyślę nad tem — wyrzekł w końcu ze zmarszczonem czołem, co nie dobrego nie wróżyło bandycie, który cudem uniknął kuli miss Anny.

— Czemu, u diabła, nie zabiłem go, gdy miałem go w rękach przed chwilą? — westchnął Horacyusz.

Gwałtowne szarpnięcie dzwonkiem przerwało jego dyalog. Młody du Plessis rzucił się ku drzwiom w głębi, krzycząc na amerykańcina:

— W imię twojej córki, błagam pana, nie puść ich przez dziesięć minut.

— Rozumiem! — odpowiedział Brooklyn i, nie żądając tłumaczenia, odwinął rękawy i nabił rewolwer, po podniesieniu klapki bezpieczeństwa.

Usiadł pod drzwiami w głębi, prowadzącymi prawdopodobnie na pierwsze piętro.



Trzech ludzi o podejrzanym minach weszło do sali. Spojrzeli dokoła i skierowali się swobodnie do amerykańczyka. Ten się nie ruszył, rewolwer w ręce prawej trzymał pod stołem.

— *Allor!* — odezwał się zartobliwie. — *A bottle of ale, ignees!* (Może butelkę piwa!)

— Tak, daj nam piwa i brandy — odpowiedział jeden z nowo-przybyłych.

— Przykro mi, lecz to niepodobieństwo! — rzekł Horacyusz, nie ruszając się z miejsca.

— Odmawiasz?

— Tak! i przykro mi, powiadam!

— Dlaczego?

— Ponieważ sam *ten toller* (propagator herbaty) mam nadzieję nawrócić was na drogę wstrzeźliwości i trzeźwości, chociaż jesteście zatwardziałe pijaki. To też, piję tylko wodę, herbatę lub kawę... A spojrzycie-no na to!

Wyciągnął lewą rękę a kiedy ścisnął pięść, wystąpiły mięśnie i żyły jak postronki, w sposób trudny do uwierzenia.

Trzej Angliki cofnęli się, lecz najodważniejszy odezwał się:

— Mam takie same na twoje usługi! — rzekł. — Dosyć gadania, przepuść nas...

— I to jest niepodobieństwem! — odparł Amerykanin. Na górze dwie damy się ubierają, a nie przystoi przeszkadzać paniom przy ubieraniu.

Mówił zupełnie spokojnie; obojętny, nie spuszczaając oczu z przeciwników, gotów na każdą niespodzian-



kę, od czasu do czasu jednak spoglądał ukosem na zegar.

— Jeszcze siedm minut! — mówił w duchu. Mógłbym nawet Hektorowi du Plessis pięć minut podarować.

Agenci angielscy niespodzianie porozumieli się. Ten, który wydawał się wodzem, zdjął z siebie kurtę, i cisnął ją na głowę Brooklyna, spodziewając się, że tym sposobem go ogłuszy. Lecz Brooklyn zerwał się, ciężka kurta skórzana zaledwie dosięgła jego piersi, prawą ręką zagroził napastnikowi rewolwerem.

Agenci zachwiali się, wobec lufy wymierzonej. Horacyusz oddychał już swobodniej, kiedy naraz usłyszał po za sobą głuchy szmer na schodach.

— Przekleństwo! — ryknął wściekle — dziewięć minut dopiero upłynęło, a ja obiecałem dziesięć...

Chciał otworzyć drzwi, o które się opierał. Zamknięte były zewnątrz. Wtedy odsadził się i całą siłą uderzył w nie ramieniem. Deski zatrzęszczały, w całej długości, zrobiła się luka, amerykańnin rękami odrzucił na bok wióry i przeszedł otworem.

Tak to się szybko stało, że trzej agenci angielscy nie mogli go ściagać przez to improwizowane wyjście.

Brooklyn wpadł na schody, i kierując się odgłosem walki, wszedł do pokoju, w którym du Plessis dokazywał cudów waleczności i zręczności, ażeby zasłonić panią du Champ, zemdloną w objęciach Mary.

— Przepraszam za moją niedokładność! — rzekł do Bura — ci ludzie lepiej znają miejscowość.



Rzucił się na najstraszniejszego z bandy i walczył z nim na siłę, dobył swój *bovie-knife* i ostrzem parował ciosy długiego jego noża, z zimną krwią niezmacną, podczas kiedy du Plessis stawiał czoło dwom innym zbirom.

Trzech policyantów, którzy ścigali amerykańsina, wpadło do pokoju, z pomocą swoim towarzysom. Yan kes spostrzegł, że du Plessis słabnie.

Nie puszcżając swego anglika, pomimo to zbliżył się do kobiet.

— Gdzie są drzwi? Uciekajmy! — rzekł.

Potem dodał:

— Mary, mogłabyś unieść panią du Champ.

— Tak! Jestem silna — odparła młoda dziewczyna.

— To dobrze! Stań za du Plessisem i zamną. A teraz! *Go ahead!* Hura Transwaal! — krzyknął Horacyusz.

I z nieporównaną wściekłością, uderzył na sześciu anglików, przyparł ich do okna, potem chwytając jednego z nich za nogi, przyciągnął ku sobie; anglik poślizgnął się i padł jak kłoda, drugi popchnięty tym upadkiem, przewrócił się i obydwaj zostali wyrzuceni za okno.

Du Plessis zrozumiał, o co chodzi, i naśladował swego towarzysza!

Dwaj ostatni policyanci wyskoczyli, nie czekając wyrzucenia.

Jednocześnie dowódzca bandy czuł lufę rewolweru na skroni.



— Oddaj broń! — krzyknął Bur.

Sam z ostatnim swoim pomocnikiem, wobec dwóch strasznych przeciwników, agent angielski nie dał się prosić.

Du Plessis i Brooklyn ujęli go pod pachy i pchali przed sobą, a Mary szła za nimi, podtrzymując panią du Champ, którą niebezpieczeństwo otrzeźwiło. Drugi agent został zamknięty na podwójny spust w szafie ściennej.

Zeszli ze schodów i zapuścili się w korytarz, prowadzący do ogrodu.

Naraz jedne z drzwi na korytarzu otworzyły się, padł strzał a jednocześnie jęk stłumiony dał poznać Yankesowi, że jego więzień został śmiertelnie raniony... Pchając go przed sobą, zrobił sobie z niego tarczę.

— Biedak — mruknął jednak miłosierny Horacyusz.

Drzwi zamknęły się z powrotem. Lecz Horacyusz i du Plessis zrozumieli, że będą musieli torować sobie drogę pomiędzy policją.

Szybko powzięli postanowienie.

Yankes porwał Mary, bur panią du Champ i obydwaj wpadli do małego ogródka. Pięć kul świsnęło im koło uszu, lecz żadna nie dosięgła. Przeszli przez ulicę i weszli do sąsiedniego domu.

— Joubert — krzyknął młody człowiek, wpadając do obszernego salonu — zaprowadź te panie do mojej matki; my zatrzymamy w przyzwolonej odległości zbirów Wielkiej-Brytanii.

Wyszedł zaraz na ulicę razem z Horacyuszem.



Tak zręcznie rozpuścili panikę przedstawiciele jej łaskawości królowej Anglii, że, na odgłos pierwszych strzałów, ulica w mgnieniu oka opustoszała.

Dwóch świeżych przyjaciół bez przeszkody wsuwało się w gęstwinę róż pnących. Policya nie opuszczała domu pani du Champ.

Sześciu ludzi pod dowództwem Hopkinsa wszystko tam burzyli, łamali. Policya angielska, po nieudanem ujęciu pani du Champ, mściła się na sprzątach.

Hektor przez zaciśnięte zęby mówił:

— Bandyci! Wandale!

Powoli jednak zaczęto się gromadzić przed domem pani du Champ; nadeiagnęła także duża ilość burów. Nagle, nie słuchając roztropnej rady swego towarzysza, Hektor poszedł do swoich współrodaków:

— Tam są anglicy! — krzyknął. — Trzeba ich uwędzić jak mięso z bawołów.

Afrykanderzy przyjęli propozycję z uniesieniem, jak tylko usłyszeli wymówione nazwisko pani du Champ.

Wycięto toporami płot z róż pnących; domek został goły i biały na tle rzadkiej trawy.

Du Plessis zbliżył się do samych okienek piwnicy. Zobaczył, że tam zeszli anglicy dla pocieszenia się koniakiem, po śmierci jednego z kolegów.

Bur wsunął się do domku, z kąd wyszedł na chwilę, wznosząc w górę klucz ogromny.

— Nieprzyjaciół zamknięty — krzyknął. — Podpalać! Podpalać!



W jednej sekundzie nagromadzono wiorów pod zielone gałęzie, okienkami wepchnięto je i cała piwnica napełniła się dymem duszącym.

Ogień miał pomścić dużo ofiar, kiedy naraz jakiś zulus krzyknął:

— Kawalerya!..

Był to rzeczywiście szwadron konnicy, przysłany przez gubernatora. W pełnym galopie wpadł na tłum; jeden tylko starzec nie usunął się na czas i został stratowany.

Ogrodnik pani du Champ...

Podczas kiedy kawalerya otoczyła dom, gasiła pożar i ratowała policyantów na pół uduszonych, du Plessis podnosił trupa nieszczęśliwego starca.

— Nie żyje! Zemsta! — krzyknął do burów, którzy zgromadzili się przy nim.

— Zemsta! — powtórzył tłum.

W jednej chwili fuzye i pistolety wycelowano na konnicę angielską.

Lecz wysoki mężczyzna przebił tłum, za nim Mary, usiłująca go powstrzymać.

— Cierpliwości! — krzyknął głosem rozkazującym.

Broń opadła jak pod zaklęciem czarodziejskiem. Wszyscy ci ludzie o twarzach marsowych i w uzbrojeniu wojennem, poklękali dokoła trupa ogrodnika, Achilles du Plessis, ojciec Hektora, otworzył Biblię i czytał z niej.

Anglicy, jak w ziemię wrośli, patrzyli na to.

Naraz jeden głos wznosił się po nad wszystkie:



— Kto mieczem wojuje, od miecza zginie! — rzekł Horacyusz, wyprostowany, biorąc niebo na świadka zbrodni anglików, którzy stratowali bezbronno starca.

Tłum burów powtórzył jednym głosem:

— Kto mieczem wojuje, od miecza zginie!

— Cierpliwości! — powtórzył jeszcze Achilles du Plessis.

I delikatnie, wolno, przy śpiewie psalmów zaintonowanych przez głosy męskie i silne, orszak ruszył w stronę kościoła, powiększany co krok przez spotkania afrykanderów, strasznych, pełnych groźby.

Kawaleria angielska, nie czując się na siłach, pozwoliła ciągnąć procesyi po przez ulice, które kobiety usypywały kwieciami i liśćmi przed orszakiem żałobnym.

---

## VIII.

### Dwa przeciwne bieguny.

Miss Anna, nie tracąc nadziei, że jej adorator południowiec, nie zginął, uczuwała ulgę prawdziwą, że odjęła mu wszelkie złudzenia, o świetlanej przyszłości, jaką sobie wymarzył, ozłoconej wspólną miłością.

Miss Anna zmieniła się do gruntu. Czła wstręt do brzydszej połowy rodzaju ludzkiego i nie już nie lubiła, tylko marzyć bez końca.

Twarzyczka jej pobladła, oczy dziwnie, jakby w jeden punkt ciągle były zapatrzone.



W ciągłym zetknięciu z towarzyszami podróży, miewała chwile jakiegoś przestachu, obejścia zupełnie dawniej nieznanego.

Niespodziane spojrzenie przerażało ją, za dotknięciem najłżejszem czerwieniła się; skromna była, dzika, wszystko obrażało jej wygórowaną pruderyę, najmniejszy żarcik obrażał jej skromność. Przyszło do tego, że nie chciała tańczyć, ażeby męskie ramię jej nie obejmowało, męski oddech nie owiał jej twarzy.

Towarzysze zauważyli tę zmianę nagłą, tem więcej, że młoda miss była z nimi dawniej dziecinnie swobodna, co jej bardzo było do twarzy.

Pełna życia, młodości, zapału przed kilkoma tygodniami, teraz była omdlewająca, nikła w oczach.

Ileż razy Jan Vaillant badał ją! Wtedy miss Harrisson uśmiechała się dziwnie i z gorączkowym ogniem w oczach, spieczonemi wargami odpowiadała:

— Nic mi nie jest, tylko nuda mnie zabija.

Mam spleen, tak samo jak Fryderyk...

Żadna rozrywka na nią nie oddziaływała.

Na długich konnych wycieczkach w okolice Prétoryi pozostawała obojętna, jak ciało bez duszy.

Zamarzona pośród towarzystwa rozbawionego, które co jakiś czas zbierało się u źródeł, w tych rozkosznych oczach, ocienionych wierzbami, w młynie z kądem oko sięgało w daleki horyzont zielony od pastwisk, których nie przerzynają ani wzgórza ani drzewa; na wybrzeżach rzeki, gdzie wybór towarzystwa prétoryańskiego pędził na koniach wśród okolicy cudownie pięknej, równającej się najwspanialszym okolicom Peru i Kordylierów.



A jednak tam były najulubieńsze wycieczki miss Anny, która odłączała się zawsze od towarzystwa i błędziła wzdłuż rzeki, ocienionej drzewami stuletniami, a której nurty raz pieniące się to znów senne płynęły w głębi doliny.

Zdawało się, że życie jej wraca, jak tylko wyjeżdżano z miasta. Oddychała całą pierśią na tych wyżynach od czterech do ośmiu tysięcy stóp po nad poziom morza, gdzie powietrze jest bardziej odżywiająca.

Mały orszak dążył ścieżkami zaledwie widocznymi, wijącemi się po górach prostopadłych, dawnych wulkanach wygasłych, których szczyty wyniosłe ginęły w obłokach.

Na stokach tych gór jeżyły się lasy dziewicze, ciemną ich zielen przerywały białe linje potoków z gór spadających. Potem wjeżdżało się w głęboki cień drzew marula, o liściu podobnym do liścia gruszy europejskich, z trójkątnym owocem pestkowym o smaku kwaśkowym, co w dnie upalne jest jedynem orzeźwieniem myśliwych.

Miss Anna jechała z bratem.

— Co tobie jest, Anno? — zapytał sir Fryderyk Harrison.

— Ależ nic, zaręczam! — odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Więc dlaczego mizerniejesz w oczach?

— Jeżeli jestem blada, to pewnie ze zmęczenia i od wzruszeń.



— Wzruszenia! — wyrzekł sir Fryderyk. — Szczęśliwaś, moja droga, że możesz je odczuwać, i jeżeli to jest twoją chorobą, to wieszuję i zazdroszczę.

Przez dziwne skojarzenie myśli, miss Anna ciekawa była, co się stało z górnikiem Hopkinsem, a potem Clodionem Endes. Kazała ich poszukiwać jednemu z agentów policyi angielskiej w okolicy Klip.

Agent powrócił z oznajmieniem młodej miss, iż nie znaleziono żadnego trupa na kilka mil wokoło tego miejsca, z kąd marsylczyk zginął: żadnego trupa świeżego, ma się rozumieć, bo wszystkie drogi w Transwaalu usiane są szkieletami ludzi, pożartych przez dzikie zwierzęta.

Opuszczając Pretoryę, miss Anna przyobiegała agentowi wysoką nagrodę pieniężną, jeżeli dostarczy wiadomości.

Jechała więc na koniu, zatopiona w myślach, starając się wyperswadować sobie, że Clodion nie zginął, że pod wrażeniem zawodu i rozpaczki postanowił nie dotrzymać jej towarzystwa, ażeby uniknąć dalszych wyjaśnień. Lecz pomimo to nie uspokoiła się o los swego wielbiciela, który sam, bez pieniędzy z małą ilością nabożów, puścił się na los szczęścia w dalekie strony, mało zaludnione, obfitujące w drapieżne zwierzęta, gady i bandy rabusiów.

Byłaby o wiele więcej jeszcze przerażona, gdyby tego wieczora, kiedy wyjeżdżano ze stolicy transwaalskiej mogła była słyszeć rozmowę prowadzoną pocichu, przez dwóch ludzi podejrzaney powierzchowności, przed



domem, w którym pani du Champ znalazła schronienie.

W obszernym salonie, skromnie umeblowanym, gdzie zebrała się rodzina du Plessis, młoda, dwudziestoletnia panienka, usiadła do fortepianu, akompaniowała sobie i śpiewała jeden z tych starych romansów francuskich, które są jak echem dalekiem ojczyzny.

Mary siedziała w kąciku pomiędzy ojcem i sędziwą kobietą, co ją wychowała i słuchała, nie rozumiejąc żelosnej melodyi kołyszącej jej marzenia.

Jan Vailland, który nie opuszczał Horacyusza, pod pretekstem, żeby ten nie zaplątał się w jaką awanturę, co opóźniłoby podróż, rozmawiał o polowaniu z ojcem i synem du Plessis.

Wybiła godzina powrotu do hotelu.

Amerikanin ze łzami w oczach całował córkę, która obiecywała mu, że wyjedzie nazajutrz z bogatą rodziną burów do fermy odosobnionej, gdzie jej matka przybrana będzie bezpieczną.

— Ojcie — mówiła — możesz jechać bez obawy; za cztery, pięć miesięcy, wszystko będzie uregulowane, odnajdziemy się wolni w kraju wolnym.

Luisa du Plessis skończyła śpiewać romans.

Zastukano do drzwi.

— Stephanus Schoeman! — zawołał głos z zewnątrz.

Wspaniały starzec, patriarcha tej rodziny, sam poszedł otworzyć.

Do salonu wszedł bur, którego twarz ginęła w czarnym gęstym zaroście.



Uściskał rękę Achillesa, następnie po kolei wszystkich obecnych.

O ile bur Stephan miał pozór dziki, ostry, o tyle młody du Plessis był dystyngowany, a w twarzy malowała się łagodność.

Tak samo jak ubranie Stephana, obszerne, źle przykrojone świadczyło o pogardzie mody, tak samo w przeciwieństwie, syn pana domu w kurtce skórzanej i takichże spodniach, w miękkich butach z dużymi ostrogami, wyglądał elegancko i szykownie.

Wszyscy usiedli, nałożyli fajki, kafr przyniósł węgiel rozżarzony i podał dokoła.

— Co nowego? — zapytał du Plessis ojciec.

— Dom jest otoczony! — odparł Stephanus.

— Idź, zobacz! — rozkazał starzec synowi.

Hektor przekonał się, czy ma nóż myśliwski za pasem, otworzył okno z przeciwnej strony drzwi, przekroczył je i wślizgnął się do ogrodu.

Pomimo ogólnych protestacyi Jan Vaillant poszedł za Hektorem tą samą drogą.

Obadwaj mężczyźni, stąpając cicho po piasku okrążyli dom, i dzięki wielkim drzewom, cień rzucającym, stanęli na czatach w gęstych krzakach, tuż za plecami dwóch osobników, rozmawiających po cichu, nie tracąc na chwilę z oczu mieszkania du Plessisów.

Jan Vaillant i jego towarzysz nastawili uszu i w ciszy nocnej pochwycili wyraźnie urywek następującej rozmowy:

— Starą zabrali przyjaciele — mówił jeden. — Ona tam zostanie.



— Chyba że każemy zburzyć dom całemu pułkowi żołnierzy.

— Niepodobienstwo, z tymi du Plessisami i Joubertami. Mielibyśmy na karku 50,000 burów z Transwaalu.

— Więc na co się zdecydujemy?

— Na strzeżenie domu, żeby z niego nie wyszła, a jutro rano jeden z nas pójdzie z raportem i po rozkazy.

— A jeżeli rozkażą, żebyśmy ją przyaresztowali?

— Będziemy posłuszni.

Nastała chwila milczenia, podczas której jeden z agentów szukał widać w głowie, w jaki sposób powiedzieć to, co mu usta paliło. Jan Vaillant i du Plessis wstrzymywali oddech, aby nie obudzić czujności policyantów.

Wreszcie jeden z nich mruknął:

— Słuchać! zawsze słuchać! W naszym rzemiośle więcej jest strzałów, niż gwinei.

— Ba! to zawsze jest sposób, żeby nie zdychać z głodu.

— Zdychać tak, czy owak; kula nie więcej warta, niż kurecz żołądka, a w tem gorsza, że daleko prędzej działa.

— Nie widzę innego wyjścia z naszego położenia, jak tylko kupienie *claim* (kawała ziemi).

— *Claim!* to nęcać — rzekł drugi.

— Tak! — lecz kosztuje, a pieniędzy brak...

— Można by je znaleźć!



— Ah! — odparł zatwardziałym tonem, dowodzącym jak mu się ta propozycja uśmiecha — jeżeliby była jakakolwiek szansa urzeczywistnienia...

Znowu cisza, kusiciel pozwolił towarzyszowi rozważyć dowoli to uczciwe zakończenie życia, które nigdy nie było uczciwem.

Drugi zapytał niebawem:

— Powiadasz, że masz sposób?

— Tak.

— Słowo daję, tyś mądry, mój chłopcze.

— Zawsze taki byłem.

— I to w tej podróży do Wonderfontein znalazłeś kapitały?

— Zgadłeś.

— Opowiedz mi to...

— Ah! nic prostszego. Pieniądzy tam nie brak, lecz trzeba je zarobić.

— Tak! Zaczynam rozumieć: zły czyn, za który będę miał udział w nagrodzie. Dziękuję ci, stary; wolę sam pracować. Nie obawiam się wtedy niedyskrecyi, nie trzeba się dzielić...

— Stanowczo! — rzekł drugi z pogardą — ciasną masz głowę. Ja tak samo jak ty, mam ręce i nóż, i w potrzebie mógłbym się obejść bez twojej pomocy, żeby obedrzeć górnik lub podróżnego.

— Więc o co chodzi?

— Chodzi o znalezienie człowieka zaginionego.

— Umarłego napewno.

— Nie! zaginionego poprostu.

— Dlaczego w takim razie sam nie powraca?



— Cisnął młodą dziewczynę a, że nie jest z naszych, nie boi się kary za zerwanie małżeństwa.

— I to panna każe go szukać? głupia!

— Widzę z przyjemnością, że zaczynasz poemować.

— Anglik?

— Nie! Frenchman (francuz.)

— I?

— I, jeżeli go znajdziemy, dostaniemy dwieście liwrów nagrody.

— Byłoby za co kupić kilka *claimów*.

— I szybko zrobić majątek. To pozwoliłoby nam być uczciwymi *przez jakiś czas*.

Policyant angielski, któremu robiono tę propozycję, zastanawiał się parę minut, następnie zapytał obojętnie:

— A gdyby, na nieszczęście, ten człowiek nie żył?..

— To niemożliwe.

— Masz pewne dane, że francuz zabłąkany żyje jeszcze?

— Być może!

— Ah! jeżeli masz przedemną tajemnicę, jakże chcesz, żebym kładł w tę sprawę moją małą inteligencję?

Po chwili milczenia, policyant, który szukał pomocnika i potrzebował go widocznie, zdecydował się na położenie kropki nad *i*.

— Podział na dwóch, prawda? — zapytał najpierw.



— Ma się rozumieć!

Dwaj zbiry uścisnęli się za ręce na znak porozumienia, a ten, który wydawał się główną osobą w tem dziwnem spółnictwie, wdał się w opowiadanie szczegółów, jakie jednocześnie oświeciły Jana Vaillant o losie jednego z przyjaciół.

— Mój francuz nazywa się Clodion Endes.

— Ależ ja go znam — rzekł drugi ze zdziwieniem.

— Jakim sposobem?

— Oh! kolega szkolny — odparł agent angielski obojętnie, żeby uspokoić towarzysza.

Jan Vaillant wstrzymywał oddech. Poznał ten głos i nazwisko cisnęło mu się na usta.

— Jeżeli go znasz, zadanie będzie łatwiejsze — mówił policyant.

— Dobrze! przyjmuję połowę zadania — rzekł drugi. — Mam do uregulowania rachunek z tym panem. Czy pieniądze nie ominą, jeżeli znajdziemy go żywego lub umarłego?

— Nie wyszczególniono.

— Tem lepiej!

Te słowa z taką intonacją wymówione zostały, że Jan Vaillant wyprostował się, rozchylił gałęzie, żeby zobaczyć policyantów.

— Jakiś szelest? — zapytał agent.

— To pewnie ptak nocny.

Policyant, który odpowiedział, obrócił się i przepatrywał krzaki.

— Hopkins! — mruknął Jan Vaillant.



Dwaj anglicy przeszli na drugą stronę ulicy, po usłyszeniu szelestu, którego nie mogli odkryć przy czyny.

Jan i Hektor powrócili do domu tą samą drogą, to jest oknem.

— Coście widzieli? — zapytał du Plessis.

— Na tę noc niema się czego obawiać — odpowiedział Hektor.

— Wreszcie — rzekł starzec — drzwi i okiennice mocne, a na pierwszy wystrzał, pięćdziesięciu naszych przyjaciół, ukrytych w sąsiednich domach, przyjdzie nam na pomoc... Możecie zatem odejść bez obawy. Stephanus będzie na straży, a rano zobaczymy...

Pomimo obaw o córkę, Horacyusz musiał posłuchać i odejść za swoim towarzyszem, Janem Vaillant, który nie powiedział przyjacielowi, o podsłuchanej rozmowie pomiędzy agentami angielskimi.

Przeszli koło policyantów, którzy na ich widok ukryli się, jak mogli w cieniu krzaków. Amerykanin poszedł prosto do miejsca, gdzie stali, pomimo perswazyi paryżanina.

— Nie lubię — rzekł — straży z tyłu podczas nocy. Idźcie naprzód. W pierwszą napotkaną ulicę będziecie mogli skręcić i tu powrócić, jak ja odejdę.

Była chwila wahania, lecz Hopkins, przypomniawszy sobie siłę herkulesową Brooklyna, oddalił się ze swoim towarzyszem.

— Drogo mi to zapłacisz! — mruknął.



— Jeżeli każdy płaci swoje długi na tym świecie — odpowiedział yankes — obawiam się, że ty zbankrutujesz.

Amerikanin i Hektor wrócili bezwzględnie do *European Hotel*, bo tam od wczoraj skończone były przygotowania do wielkiego polowania.

Kiedy przewodnicy, budząc Jana Vaillant o trzeciej godzinie rano, zapytali którą drogę wybrać:

— Drogę na Lydenburg! — odpowiedział.

— Idziemy zatem do kopalni? — zapytał Wiliam Linden.

— Tak! dla obejrzenia!

Postanowił bądź cobądź dotrzeć do *claim'ów*, przeszukać je, ażeby odnaleźć Clodiona.

Co do miss Anny, czy mogła nie domyślać się niebezpieczeństwa, grożącego jej wielbicielowi, kiedy za duże pieniądze wysłała dwóch bandytów w pogoń za południowcem?

Mały orszak, idąc z biegiem rzeki Crocodile's River, zagłębił się w okolice obfitujące w łosie, tygrysy, hipopotamy i kaimany.

Pewnego wieczoru, gdy Koriana zwoływał psy, spostrzegł, rachując, że dwa zginęły. Zawiadomił Jana Vaillant, który jechał znużony pomiędzy alzaczykiem i Horacyuszem.

Horacyusz nie czuł zmęczenia fizycznego, lecz cierpiał moralnie, iż musiał opuścić Mary, swoje drogie dziecko.

— Ona tego chciała! — powtarzał po raz setny, ażeby dodać sobie nieco odwagi.



— Pies zginął! — krzyknął Jan Vaillant; — to niepodobieństwo!

— Byleby tylko krokodyle go nie pożarły — odparł zulus spokojnie.

To miało tłumaczyć zniknięcie ulubionego psa Jana. Rzeczywiście, widywano co dzień, na odłamach skał śród rzeki, krokodyle, suszące się na słońcu. Sir Fryderyk Harisson, z próżniactwa posłał im nawet kilka kul, które ośliznęły się po skorupie potworów. Wtedy kaimany wypływały, żeby drażnić baroneta otwartymi paszczami, uzbrojonymi w potworne zęby.

Korian jednak nie wydawał się zadowolonym z tłumaczenia, jakie sam wynalazł. Zauważył rzeczywiście, że jeden z psów przez cały dzień dawał oznaki niepokoju i poszedł w stronę prawą od drogi, którą szły wozy od rana.

\* \* \*

Około trzech mil po za małą karawaną, jechał wóz, powożony przez kafra, a eskortowany przez dwóch konnych w ubraniach Burów biednych.

— Tomie Brown — mówił tęższy do swoich towarzyszy — jak myślisz, czy zmienił mnie dostatecznie brak brody i faworytów, ażeby ci ludzie mnie nie poznali?

— Na pierwszy rzut oka nie poznają — odpowiedział drugi — lecz po pięciu minutach będą wiedzieli wybornie, kto ty jesteś.

Policyant skrzywił się.

— Muszę się zdecydować i nie pokazywać się.



— Przyjdzie to z łatwością, gdyż musowo stracimy ich ślad niebawem.

— Co prawda, jadą prędzej od nas, — przyznał policyant; — lecz przez noc odzyskamy, to cośmy w tyle pozostali.

Tom Brown wsunął się do woza.

Hopkins poczekał, aż zaśnie, potem przykazał kalfrowi, żeby go obudził, skoro usłyszy trzy wystrzały w równych odstępach czasu, a sam dał ostrogę koniowi i puścił się jak wiatr drogą przed siebie.

Hopkins zwolnił konia dopiero wtedy, kiedy zobaczył wozy Jana Vaillant.

— Ona jest tam! — wyrzekł głosem stłumionym.

Zwrócił konia w część doliny zarośniętej, rachując, że w ten sposób okraży małą karawanę.

Postępował wolno pod drzewami, gdyż co chwilę musiał się schylać, żeby nie zranić czoła o gałęzie.

Naraz wyprostował się na odgłos wystrzału; zeskoczył na ziemię, uwiązał konia u pnia drzewa i puścił się biegiem w kierunku wystrzału. Traf znów mu się przysłużył.

Wiliam Linden kolekcjonował owady obfite w Transwaalu i usiadł o pół kilometra od obozowiska, kiedy ujrzał nadjeżdżających ku sobie dwóch ludzi w wieku dojrzałym w towarzystwie dwóch młodzieńców od lat ośmnastu do dwudziestu. Wszyscy czterej siedzieli na wspaniałych wierzchowcach, a każdy z nich trzymał na lasso drugiego konia. Na widok dystyngowanych postaci tych burów, alzatezyk, rad ze spotkania twarzy ludzkich, zerwał się na równe nogi.



— Pan jesteś francuzem? — zapytał du Plessis ojciec, Wiliama Linden.

— Tak! — odpowiedział alzateczyk. — Francuzem po dwakroć...

— My także! — odparł starzec. — Należymy do rodziny du Plessis-Mornay, która schroniła się do południowej Afryki od roku 1685. Lecz pozostaliśmy francuzami.

— Pomimo panowania angielskiego? — zapytał Wiliam Linden...

— Właśnie z powodu tego panowania! — odpowiedział głowa rodziny.

Stephanus Schoeman i Hektor du Plessis posiadali na trawie.

Alzateczyk nie spuszczał oczu z twarzy najmłodszego z jeźdźców. Ten zaś nie mógł długo zachować incognito, zdradzały go bowiem, pomimo spodni i kurtki, oczy szafirowe, w fiolet wpadające, twarz bez zarostu, świeżość płci cudowna i rysy wykwintne klasycznej piękności.

Młody człowiek zdjął naraz kapelusz, grube warokocze złocisto blond opadły na ramiona tego niby myśliwca.

— Moja córka — rzekł starzec — moja córka Luisa!

Wiliam skłonił się nisko.

— Czy pan się domyślił? — zapytała Luisa z ukłonem na pół męskim.

— Miałem nadzieję! — odparł alzateczyk poprogu — gdyż w tym rajy ziemskim brakowało tylko bosini.



Młoda dziewczyna zmarszczyła gęste brwi czarne i z trochę niecierpliwości odparła:

— Dziękuję panu za komplement; na nieszczęście, my, dzieci natury, tak mało do tego jesteśmy przyzwyczajone, że pochlebstwa w ambaras nas wprawiają. Bądźmy przyjaciółmi, dobrze?

— My tutaj, jesteśmy na pół chłopcy — rzekła, odsłaniając zęby zachwycające.

I żeby zmienić rozmowę, wymierzyła z karabina do małego ptaszka na gałęzi o sześćdziesiąt kroków i zabiła go odrazu.

— A teraz, panie, pozwól się zapytać, co porobisz w naszej samotni?

— Zamierzam polować na łosie.

— Sam?

— Nie! z przyjaciółmi.

Skoro wymówił nazwisko Jan Vaillant, du Plessis, jego dzieci i przewodnik okazali wielkie zadowolenie.

— Znacie państwo moich towarzyszków? — zapytał alzateczyk.

Opowiedzieli mu o wypadkach, o jakich się dowiedzieli, bez wymieniania nazwisk burów, zamieszanych w historię Horacyusza Brooklyn.

— Na koń, panowie! — krzyknął alzateczyk, strzelając w powietrze, żeby uwiadomić obóz myśliwych o swoim przybyciu.

Ten to drugi wystrzał usłyszał Hopkins, i z ukrycia obecny temu spotkaniu, pozwolił wszystkim się oddalić, a sam powrócił do swego wozu.



Paryżanin i amerykańnin przyjęli nowo-przybyłych z nieukrywaną radością.

— A moja córka? — zapytał Horacyusz.

— Ocalona, tak samo, jak pani du Champ! — odpowiedział Hektor. — Wóz ich jest o kilka mil po za nami. Udało nam się wywieść w pole policyę.

— Jednak — dorzucił ojciec — spotkaliśmy podrozdze wóz, którego właściciel ma minę szpiega.

— Lub złodzieja! — rzekł syn.

Stephanus Schoeman ofiarował się iść na spotkanie wehikułu, a kiedy przyjęto jego ofiarę, odjechał z eskortą zulusów.

Po kilkunastu minutach, burowie, pomimo swych uczuć anglożerczych, zdobyli sobie uprzejmością sir Fryderyka i jego siostrę.

Młody baronet, pierwszy raz od wyjazdu z Londynu, rozmawiał z zajęciem z Hektorem du Plessis.

— Co pan chce? — oświadczył młody człowiek w doskonałym angielskim języku — uznajemy dużo przymiotów w każdym poddanym królowej Wiktorji, wziętym z osobna. Zbiorowo zaś nie możemy ich znosić. Każdy oficer pojedynczo jest cudownie odważny, rycerski, grzeczny. W masie zmienia się do nie poznania. Słachcie się zaciera, pozostaje zdobywca. Otóż każdy zdobywca żyje zdzierstwem i podstępem. A jeżeli nie możemy znieść jarzma brytańskiego, to dlatego, że po tym zaborze, niemającym równego sobie w dziejach, myśleliśmy, że na kraj spadnie coś lepszego niż *brandy* w zastępstwie *brandywine*.



Harrison poruszył się nerwowo.

— Nie na to przyjechałem tak daleko, żeby mówić o polityce — oświadczył. — Rzecz sama z siebie nudna, w dodatku, kiedy o niej mówimy, pozbawia nas przyjemności, jakich Transwaal może nam dostarczyć. Pozwól pan, że pozostawię wam marzenia o niepodległości, moim ziomkom zaś marzenia o ujarzmieniu, a my mówmy o polowaniu, o wielkiem polowaniu, o tem, dla którego podjąłem ten spacer przez Afrykę południową. Ja szukam rozrywek, nie zaś rozpraw...

Hektor i Fryderyk porozumieli się niebawem.

Kwestye pałace zostały usunięte i pobratali się w zamiłowaniu, w namiętności wspólnej: tak samo jak Luisa zaprzyjaźniła się szybko z miss Anną, szczęśliwa ze spotkania młodej dziewczyny, której mogła powierzyć swoje wrażenia, i tajemne cierpienia swoje.

Angielka znów znalazła w końcu kobietę, trochę z męskim usposobieniem, lecz odczuwającą sercem młodem, z umysłem, w którym nie było nic męskiego, oprócz odwagi i energii.

Spacerowały pod rękę obie: miss Annie w powiewnej białej sukni, zdawała się, że wspiera się na ramieniu młodego i pięknego chłopca.

Zwierzenia szły jedno za drugim. Panna du Plessis opowiadała o swoim życiu szerokiem i swobodnem w niezmiernych fermach, jakie ojciec jej posiadał. Przedstawiała nowej znajomej to życie, wyswobodzone z tysiącznych pęt, jakie społeczeństwo wielkich miast na ludzi nakłada, narzucając im kłamstwo i udawanie.



Wyrosła pod troskliwą opieką matki i ojca. Matka, od kilku lat nieżyjąca, zrobiła ze swego dziecka, młodą pannę, pełną zalet, gospodynię niemającą równej sobie, panią domu ujmującą i gościnną.

Ojciec baczył nad rozwinięciem Luisy fizykiem. Jeździła konno jak prawdziwa amazonka, ścigała się, cały świat jej nie obchodził, skoro dosiadła *Charlie*, swego białego ogiera. Nie było dla niej przeszkody, przesadzała krzaki kolczate, rowy, mrowiska termitów, rozpadliny i złomy skalne.

Jednocześnie nabyła wprawę w celowaniu. O sto kroków pakowała kulkę w sztukę pięć szylingową, którą ojciec w palcach trzymał. Oprócz tego była przeznana i posiadała zimną krew, potrzebną do dania sobie rady w kraju, pełnym płazów, gadów i dzikich zwierząt.

Pomimo słodczy spojrzenia, świeżości płci, silna była i zręczna zadziwiająco.

Była przeciwstawieniem miss Harrisson, której wiotkość występowała bardziej jeszcze, kiedy chodziła uwieszona u ramienia tego niby chłopca, na którego patrzyła, jak na kochanka.

Dwie młode dziewczyny stały się nierozłącznymi.

Dzień minąłby rozkosznie, gdyby przewodnik du Plessissów nie wziął był starego ojca na stronę:

- Trzeba wyruszać natychmiast.
- Zobaczyłeś co niepewnego?
- Śledzą nas! — oświadczył Schoeman.
- Kto taki?
- Policjanci angielscy.



— Ilu? — zapytał pan du Plessis.

— Dwóch.

Starzec wzruszył ramionami i uśmiechnął się pogardliwie.

— Mamy obowiązek — ciągnął przewodnik — nie dać odgadnąć, gdzie się ukrywamy; interes naszych przyjaciół przed naszym własnym...

— Zdusiłbym z łatwością gołemi rękami tych dwóch agentów angielskich — wyrzekł powoli du Plessis.

— Czybyś ich zamordował? — zapytał Schoeman.

Du Plessis się zawahał.

— Nie! wszak prawda! — podjął Schoeman. — Nie masz zatem sposobu pozbycia się ich, gdyż zanadto są sprytni, żeby nas wyzywać a na pierwszą zaczepkę z naszej strony, złożą ręce błagalnie, rachując na swoją szlachetność rycerską. Wierzaj mi, pozwólmy im niech idą za nami. Dwa ich muły i dwa konie niedługo się wyczerpią. Ustaną w drodze. A my zachowajmy broń na szlachetniejszą sprawę.

Starzec, pomimo że krew w nim się burzyła, kazał zwinąć obóz.

— Oczekuję na jednego z moich kafrów! — odezwał się Jan Vaillant.

— Zulus znajdzie zawsze drogę! — odparł du Plessis. Wreszcie sir Harrissonowi pilno zapolować na łosie. Możemy dziś jeszcze dać mu do tego sposobność. Skoro tylko wozy wyruszyły, patriarcha przywołał czarnych i rozdał im role.

Stephanus z dwoma zulusami miał ukryć się u wejścia do wąwozu Elandspruit; drudzy murzyni otrzy-



mali rozkaz rozstawienia się linią w dół rzeki, podczas kiedy wszyscy towarzysze Jana Vaillant będą wdrapywać się na góry i spędzać łosie w głąb doliny. Schoeman i dwóch jego pomocników mieli spotykać u szyi wąwozu stada i strzelać tylko do samców.

Karawana aż do południa posuwała się spokojnie. Lecz zaraz po kawie i tradycyjalnej fajce, ojciec du Plessis dał sygnał polowania:

— *Staan op!* (na nogi!) — krzyknął.

Wozy pozostawiono straży Brooklyna, którego córka i pani du Champ zajmowały więcej, niż wszystko na świecie. Stephanus udał się na wyznaczone mu stanowisko. Jan towarzyszył du Plessissom.

Miss Anna oświadczyła, że zostanie przy wozach; lecz skoro ujrzała z jaką przyjemnością paryżanin i Luisa jadą obok siebie, skoczyła ma siodło i połączyła się z nimi, z miną nadąsaną.

Panna du Plessis, uśmiechnięta jak zwykle, mówiła o złomach kwarcowych, jakie co chwila zagradzały drogę.

— Kryją w sobie złoto! — powiedziała.

Wyjęła z torby myśliwskiej kawalek drogiego metalu, włożony tam podczas ostatniego polowania i zapomniany potem.

— Znalazłam go — mówiła — tam w dolinie poprzecznej na zachód Elanspruit, przy strumieniu, który spada w kaskadach, węzowymi skrętami przecina dolinę i ginie pod ziemią w grotcie, na zboczu jednej z tych gór...



Miss Anna spajrzała na kawałek złota, wazący około 250 gramów i mający prawie dokładny kształt żółwia.

— Niech pani schowa go na pamiątkę po mnie— powiedziała Luisa, śmiejąc się. — Mam ich więcej w domu. Robiłam z nich nawet kule, ale nie starczą za ołów.

Myśliwi potracali nogami niesłychane bogactwa.

Dwie duże doliny, przez które płyną rzeki Crocodile-River i Elanspruit, słyną jako najbogatsze w złoto w całym Transwaalu.

— Gdyby mój ojciec — zakończyła panna du Plessis, posiadał tu dwadzieścia pięć mil kwadratowych, zamiast tych stu, czy stu dwudziestu pięciu, które ma koło Inkomat, bylibyśmy bajecznie bogaci. Ale cóż kiedy dziadek mój, zdobywszy nam tę ojcowiznę w wojnach z kaframi, bardziej kłopotał się o paszę dla trzody, niż o gromadzenie gwinei.

Jan Vaillant słuchał z roztargnieniem.

— Zaczyna więc pan kochać Transwaal?

— Mniej podziwiam go, niż panią! — odparł.

Miss Anna skrzywiła się lekko, a potem uśmiechnęła wesoło, widząc, jak towarzyszka jej patrzy zukośsa na zbyt dworskiego kawalera.

Pogroziła mu szpicrutą i zawołała po angielsku, puszczając konia galopem:

— To nie, ukarzę pana później!

Jan Vaillant z miną obrażoną poczekał na resztę myśliwych.



Kawalkada posuwała się powoli wąską samotną ścieżyną pośród bagnistego gruntu. Vaillant umieścił się na samym końcu, a Hektor wyszukiwał najsuchszego miejsca do przebycia bagienka.

Nagle blok kwarcu zagroził drogę myśliwym.

Wszyscy szczęśliwie przebyli zaporę, która skrzyła się na słońcu, tylko koń Jana Vaillant odmówił skoku.

Jeździec chciał zawrócić i poszukać łatwiejszego przejścia, ale wpadł w oparzelisko, z którego nie mógł się wydostać pomimo wszystkich wysiłków.

A koń począł się zanurzać w rzadkiem błocie, miał go już po piersi, kiedy wybuch śmiechu obił się o uszy paryżanina.

To Luisa śmiała się, wracając galopem, wyprzedziwszy wszystkich myśliwych.

— A to pan wpadł w nielada kłopot! — zawołała do jeźdźca, którego koń przedepywał na miejscu, zapadając się coraz bardziej.

Kazała ściąć ogromny pęk gałęzi z sąsiednich krzaków. Kafrowie rozłożyli je przed nimi na gruncie ruchomym, a panna du Plessis zeskoczyła z konia, weszła na ten pomost i wyciągnęła rękę do swego welbiciela, całego w pocie i błocie.

— Dalej, Francuzie, skacz przez łeb swego konia.

Jan Vaillant upadł na ziemię, a Luisa w tej samej chwili zręcznym skokiem znalazła się w siodle jego konia i obróciła się na niem z niesłychaną zręcznością.



Ściągnęła konia, zmuszając go tym sposobem do postawienia przednich nóg na pokładzie z gałęzi, a potem uderzyła go szpicrutą po zadzie z taką siłą, że koń zarżał z bólu i z rozpaczliwym wysiłkiem wpadł czterema kopytami na zaimprovizowaną tratwę.

Córka pana du Plessis wprowadziła go na twardy grunt, a potem zsunąwszy się na ziemię obejrzała nogi zwierzęcia i zwróciła się do paryżanina, zawstydzonego bardzo i niemniej ubłoconego:

— Trzeba mu obmyć nogi w pierwszym napotkanym strumieniu, a miejsca, z których skóra jest poździe-rana, zwilżyć trzeba koniakiem z wodą. Dać mu ośm dni odpoczynku i koń zdrów.

Podąła uzdę Janowi i powiedziała z ironią, złagodzoną odcieniem czułości:

— Niech pan uważa na drugi raz. Nie zawsze znajdzie się na drodze afrykanka, która wyciągnie pana z kłopotu.

Jan Vaillant rozplýwał się w podziękowaniach.

Po tym tragi-komicznym wypadku, myśliwi przybyli bez przeszkody na wschodni stok drugiego łańcucha gór; miss Anna nie odzywała się wcale i jechała zamyślona za śmiałą Afrykanderką.

Wkrótce łosie, które, jak przepowiedział pan du Plessis, spostrzegły kawalkadę, zeszły z wierzchołków po za obręb strzału.

Strzelono kilka razy w powietrze, a zwierzęta myśląc, że je ścigają, ukryły się czempredziej w głębi wąwozu.



Kafrowie pobiegli za niemi, aby przeszkodzić im do rozpierzchnięcia się w kilko-milowych zakrętach, które opasują dolinę; popchnęli je tym sposobem ku wylotowi wąwozu, gdzie oczekiwał na nie Stephanus.

Du Plessissowie puścili się galopem po stoku urwistym, a Jan Vaillant, Wiliam Linden i sir Harrison zdążyli na ostatnie strzały, zwiastujące przejście stada.

Hektor wstrzymał rzeź po zabiciu pięciu olbrzymich samców.

— Kozioł ten stał się tak rzadkim w Transwaalu, że trzeba się wstrzymać od wytępiania go bezużytecznego — zwrócił się młody człowiek do siostry baroneta, która nie opuściła Luisy, narażając tysiąc razy życie, aby tylko dotrzymać jej placu.

Rozebrano łosie, podczas gdy myśliwi odpoczywali. Piękne te zwierzęta są tak duże, jak konie, grzbiet ich jasno-szary przecina wzdłuż krzyża pręga czarna aż do ogona, zakończonego pękiem włosienia, nozdrza i końce nóg mają czarne, a brzuch kremowy, rogi proste i mocne mierzą najmniej pół metra długości.

Kafrowie zanieśli do obozowiska wszystko mięso, jakie tylko do użytku było zdatne, a nazajutrz, na resztkach, posypanych strychniną, podróżni znaleźli srebnawe szakale, lamparty i psy dzikie, dosyć podobne do wilków.

Koriana komenderował czarnymi przy przenoszeniu skór do obozowiska, gdzie zmęczeni podróżni spędzali ranek na wesołej pogawędce; nagle przerwał robotę i przykucnął zdziwiony.



Oczami, utkwionemi w ziemię, badał długi szereg śladów stóp, wyciśniętych w gruncie błotnistym.

Wstał wreszcie i zapytał kafrów:

— Kto był u bagna?

Nikt nie odpowiedział.

Czarny otworzył okrągłe oczy we wzrastającym zdziwieniu i puścił się w milczeniu wzdłuż odkrytego śladu, a towarzysze jego za nim.

Z jednej strony ślady dochodziły do prochowni, gdzie mieszały się ze śladami, pozostawionymi od wczoraj przez drużynę Jana Vaillant, a potem rozpoczynały się znowu przy gałęziach i szły w stronę rzeki, gdzie zginęły raptem w gliniastym gruncie.

Koriana prowadził badanie z całą cierpliwością.

Wrócił do obozowiska i natychmiast zawiadomił du Plessis o swoim odkryciu.

— Ilu ludzi pozostawiło ślady przejścia? — zapytał Bur.

— Dwóch.

— Boso?

— Jeden miał buty. Widziałem wyraźny odcisk gwoździ w tłustej ziemi. Drugi miał nogi bardzo małe, jak kobieta.

— A więc — mówił Linden prawie do siebie tylko — europejczyk szedł tamtędy prowadzony, albo prowadząc kogoś nieznanego; to jasne; ale, skoro ślady giną przy Elandspruit, widocznie i ziomek i towarzysz jego utonęli. Ani jeden pływak nie ostoi się przed gwałtownością prądu, który jak szkło tłucze o skały zwierzęta, porwane wodą.



Miss Anna zadrżała, usłyszawszy o odkrytym śladzie, a kiedy William Linden rozbierał logicznie fakty, podane przez Koriana, nie mogła ukryć wzruszenia.

Ten ostatni dodał jeszcze:

— Nigdy kafr nie zapędził by się do prochowni, nie będąc pewnym, że znajdzie gałęzie na drodze, a więc, jeżeli mógł dojrzeć gałęzie, musiał iść w dzień. Ślady są świeże, musiał więc przechodzić tędy wczoraj, albo dziś rano i powinien był spostrzedz którego z nas.

— Może to policyant snuje się za nami — wykrzyknął Horacyusz, który klepał córkę po małych rączkach z miną delikatnego mastodonta.

— Chodźmy na poszukiwanie tajemniczych wędrowców! — zawołał Jan Vaillant.

Miss Anna pobladła i odetchnęła lżej wtedy dopiero, kiedy towarzysze jej przyłączyli się do zdania du Plessis, który oświadczył z całym spokojem:

— Ba, to policya, z pewnością, a lew nie troszczy się o szakala!

---

## IX.

### Polanka.

Jan Vaillant i towarzysze jego szli w kierunku Lydenburg, gdzie znajdują się główne pokłady złota Transwaalu, a drogę, wpośród cudownego pejzażu, roz-



weselało tylko polowanie i długie gawędy wieczorem, wokoło rozłożonych ognisk.

Taka spokojna egzystencja nie wolna była od jednostajności

To wieczne sam na sam z naturą, pod niezmierną przestrzenią nieba, na niezmierzonej przestrzeni łąk i lasów, robi człowieka mniejszym i ogranicza swobodny polot myśli.

Zdawałoby się, że spokój i kontemplacja przestworza odretwia mózg, który dla normalnego funkcjonowania potrzebuje zamętu, zajęcia i podniecenia codziennymi sprawami życia.

Jan Vaillant prowadził ciągle swój dziennik. Były to raczej wspomnienia z polowania, niż wrażenia, lub refleksje osobiste.

Dziś był dzień polowania na nosorożce; podajemy dosłownie sprawozdanie, zanotowane tegoż wieczora przez paryżanina:

„Wyruszyliśmy nazajutrz rankiem o wpół do czwartej; posuwaliśmy się cicho i ostrożnie, wyciągnięci w długi łańcuch na sposób indyjski; szliśmy tak wzdłuż rzeki, która podobnie jak i dolina rozszerzała się w miarę, jak postępowaliśmy naprzód.

„Po trzygodzinnym marszu przybyliśmy na polankę, gdzie zostawiliśmy nasze konie i psy pod strażą sześciu kafrów.

„Wiedząc, że nie tak nie rozdrażnia nosorożca jak szczekanie psów, posuwaliśmy się bez szelestu ku gęstwinie, którą nam wskazano.



„Du Plessis ojciec, który miarkował nasze kroki, kazał wdrapać się na drzewa dosyć mocne, aby wytrzymały uderzenia strasznych zwierząt.

„Nakazał nam zarazem głębokie milczenie i siedzenie bez ruchu.

„Sam zagłębił się w gąszcz w towarzystwie syna i ośmiu, czy dziesięciu kafrów, uzbrojonych w sagaje.

„Nieustraszona Luisa pragnęła towarzyszyć ojcu, ale oparł się temu stanowczo. Młoda dziewczyna, choć z przykrością, poddała się woli rodzicielskiej.

„Wdrapała się na grubopienne drzewo, usiadła wygodnie pomiędzy dwiema grubemi gałęzmi, wyspała podwójną miarkę prochu do karabinu i mnie, siedzącemu na sąsiednim drzewie, poradziła znakiem, abym zrobił to samo.

„Czekaliśmy w milczeniu więcej, niż trzy kwadranse. W ciemnym lesie rozlegał się tylko śpiew ptaków i szum kaskad, spadających w oddali w skaliste przepaście.

„Wreszcie usłyszeliśmy straszliwe chrapanie, połączone z trzaskiem łamanych gałęzi i dwoma wystrzałami.

„Luisa krzyknęła do mnie:

„— Teraz możemy mówić!

„I natychmiast dodała:

„— Jeżeli będzie przebiegał tędy, proszę mierzyć w oko. Skóra za gruba dla kul niewybuchowych.

„Zaledwie skończyła mówić, kiedy olbrzymi nosorożec wypadł z gęstwiny; pędził rozwścieczony w naszą stronę i wtenczas tylko przestawał ryczeć i chrapać, kiedy rył ziemię, wrywając z korzeniem krzaki.



„W chwili kiedy przebiegał koło drzewa panny du Plessis, ta ostatnia krzyknęła głośno, zmuszając go do zwrócenia się w jej stronę.

„Wyciągnęła z kieszeni czerwoną chustkę i zaczęła machać nią w powietrzu dla zwrócenia uwagi zwierzęcia.

„Nosorożec podniósł łeb.

„— Francuzie, patrz! — krzyknęła młoda dziewczyna.

W tej samej chwili wpakowała kulę w oko nosorożca, ranionego już poprzednio przez Hektora du Plessis.

„Po spełnieniu tego bohaterskiego czynu gwizdnęła w szczególny sposób. Natychmiast nadbiegli ojciec jej i brat.

„Zeszliśmy z drzew i po zwykłych powinszowaniach otoczyliśmy olbrzymiego zwierza.

„Ważył sześć do ośmiu tysięcy kilo.

„Burowie odjęli mu róg; objaśnili nas, że piłują go na cienkie taśmy i wyrabiają z nich laski i niesłychanie trwałe szpicruty.

„Kafrowie obdarli go ze skóry, z której farmerzy robią baty, zwane *shambocks*, a używane przeważnie na woły i zulusów.

„Wróciliśmy do obozu w wesołym nastroju, a że nazajutrz była niedziela; więc Burowie zaprosili nas na swoje nabożeństwo. Śpiewali pieśni, które wszyscy umieli na pamięć. Achilles du Plessis obdarzył nas krótkim kazaniem, a potem ceremonia zakończyła się mo-



dlitwą, którą powtarzaliśmy za ojcem Luisy. Wreszcie olbrzym wyrzekł *amen*, głębokim i pięknym basem.

„Zachowałem niestetyhanie pogodne wspomnienie tego spokojnego dnia. Uchem i sercem słyszę ciągle anielski głos Luisy, śpiewający piękną i świeżą pieśń pod sklepieniem błękitnego nieba i zielonego lasu.

„Ta scena, pełna powagi patryarchalnej, nadawała obrazowi nastrój majestatyczny i wielki. Drzewa o przepięknym zapachu, jak drzewo żelazne, różanne, sinkwood, mahoń, cytryna dzika, drzewo sandałowe, roztaczały precudowne wonie, a pnie ich posplatane były lianami olbrzymiemi, których kolce dochodzą do dziesięciu centymetrów długości.

„Po nabożeństwie towarzyszyłem pannie Luisie w jej przechadzce po lesie, bo postanowione było poświęcać każdą niedzielę odpoczynkowi i udawać się w dalszą drogę dopiero nazajutrz.

„Córka pana du Plessis pokazała mi osobliwość fauny miejscowej: drzewo krwawe. Przy głębszem nacięciu kory wytryskuje płyn, czerwony, jak krew.

„— Moznaby powiedzieć, że raniono je w serce — zauważyła Luisa.

„A ja mogłem tylko szepnąć w odpowiedzi:

„— Biedne drzewo!

„Ale młoda i wesoła dziewczyna, chcąc prawdopodobnie zmienić bieg myśli, które mi nasunęło krwawe drzewo, objaśniła mnie, że używane jest ono przez stolarzy w szczególności na forniry. Pocięte na cienkie deski i wypoliturowane przypomina marmur czerwony“.



Jan Vaillant sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak w dzienniku jego pośród notatek myśliwskich i wspomnień wszelkiego rodzaju, przebijało tajone uczucie dla młodej dziewczyny.

Luisa w jego opowiadaniu była niezmiennie bohaterką każdego polowania.

„Szóstego dnia — pisał w dalszym ciągu dowódca karawany — przybyliśmy do obszernej doliny, literalnie napełnionej antylopami rozmaitych gatunków.

„Był to czas wędrówki gnu, bawołów, gnagga, zebr. Wszystkie te zwierzęta zebrały się w stado, ściśnięte i pomieszane, z którego sterczały długie szyje żyraf.

„Cały ten tłum był tak zbity, że tamował drogę, jak szeroka, wolno płynąca rzeka. Nic nie pomagały strzały, puszczane w tę masę, reszta dlatego nie posuwała się przód.

„Kiedy już znudziło nam się strzelać, stanęliśmy i przypatrywaliśmy się pochodowi tych wdzięcznych zwierząt.

„Wreszcie zeszlismy w dolinę i porachowaliśmy zabite sztuki; ogółem było ich 810.

„Nie wiedzieliśmy, co z tą olbrzymią masą robić.

„Dobrą radę dał nam zawsze praktyczny William Linden.

„Posłał Koriana do farmera, mieszkającego o cztery mile od tej doliny, słynącej z obfitości zwierza.

„Kafr wrócił z nowymi wozami, które pomieściły w sobie wspaniałe nasze łupy.



„Chcąc zbyć korzystnie skóry, które nam tylko zawadzały, postanowiliśmy zbliżyć się do jakiego ogniska handlowego.

„Idąc przez parę dni wysokiem płasko-wzgórzem, doszliśmy do miasteczka Nazareth, gdzie handlarz kupił od nas zdobycz myśliwską, co pozwoliło nam odejść z powrotem zbyteczne wozy.

„Odpoczęliśmy przez parę dni w Nazareth, w hotelu, utrzymanym przez Bura, nazwiskiem Caetze, bardzo gościnnego, który spędzał chwile wolne przy bilardzie.

„Nie było to już to samo życie, wolne od wszelkiej troski, jakie było naszym udziałem na drogach samotnych, Luisa sama była jakby skępowana i mniej swobodna ze mną i wdychała już do chwili wyjazdu.“

Tak stopniowo rosła miłość paryżanina dla młodej burki, której nie zdradził ani spojrzeniem, ani słowem.

„Nasz przewodnik, wierny Hiroka, nie ma żadnej przyczyny do nudzenia się w Nazareth. On jeden tylko jest wesół. Miss Anna pochłonięta jest przez myśl jakąś, jak brat jej, baronet, przez spleen. Linden kolekcjonuje rośliny i owady. Horacyusz pieści swoją córkę, pogrążoną w marzeniach patryotycznych, starannie rozdmuchiwanym przez panią du Champ. Miewają długie narady z panami du Plessis i Stephanusem; im bardziej zbliżamy się do kopalni, tem bardziej niecierpliwość ich wzrasta. Tylko Hiroka jest zadowolony. Dostał dobrą gratyfikację za dostarczenie nam świeżych koni od farmera nazwiskiem O'Niel, który naraził się na duże ofiary, aby sprowadzić z Eu-



ropy dwanaście sztuk ogierów anglo-arabskich i oddać się całkowicie podniesieniu rasy końskiej.

„Przewodnik nasz namawia nas do oddania wizyty Joubertowi, który mieszka o trzy dni drogi wagonem od Nazareth.

„Przyjmuję propozycję z entuzjazmem.

„Tym sposobem każdej chwili dnia będę się mógł znajdować przy panie du Plessis.

„Postanowiliśmy, że, stosując się do krajowego zwyczaju, zabierzemy podarunki dla naszych gospodarzy. Kupiliśmy fajki, oprawne w srebro, kaftany ozdobne dla młodych ludzi. Wybrałem bardzo piękne siodło damskie, pokryte niebieskim aksamitem, z olstrami, przybranemi srebrem, i fantazyjną uzdę, nabijaną srebrnemi blaszkami.

„Czekam tylko pierwszej sposobności, aby siodło to ofiarować mojej amazonce.

„Cukierki, sztuki materyi, broń, skrzynki koniaku dopełniają naszych zapasów, które złożymy wzamian za gościnność, doznaną od Joubertów.

„Z przyjemnością oczekuję tego krótkiego pobytu w domu przyjaciół; zresztą oddali on jeszcze chwilę rozstania się naszego z du Plessisami, którzy mają zamiar pożegnać nas w Lindensbergu, jeżeli ojczyzna nie będzie ich natychmiast potrzebowała, jak mówi miss Mary...

„Podróż nasza trwała cztery dni w dolinie przepięknej, ocienionej olbrzymimi drzewami, a w ciągu tego czasu miałem sposobność ocenić zimną krew, odwagę i energię Luisy.



„Nawet potrosze życie jej zawdzięczam: gdyby nie ona byłbym napewno zginął w oparzelisku, w które wpadłem, dzięki nieznajomości okolicy.

„Wyszedłem z tej przygody, ubłocony od stóp do głowy, śmieszny, ale pełen wdzięczności dla pięknego zbawcy.

„Piątego dnia przyjechaliśmy do fermy Joubertów: zajmują dom wygodny i prosty, tchnący dobrobytem, czystością i porządkiem. Ledwie zdążyliśmy wejść w granicę ich posiadłości, już mogliśmy zauważyć, że oko pańskie czuwa nad każdym robotnikiem.

„Dwadzieścia dwa pługi orzą ziemię, każdy ciągniony przez dwanaście wołów o rogach olbrzymich.

„Wszędzie sterty siana, snopów, ruch robotników, zajętych pracą, zapach miły dla oka. Zdawałoby się, że to jakiś zakątek Beocyi, tylko zieleńszy, ruchliwszy i bogatszy.

„Ojciec Joubert z czterema synami wyszedł na nasze spotkanie. Wyjechali z Pretoryi przed nami, wybrali prostszą drogę, nie polowali i dlatego wyprzedzili nas w przybyciu do fermy o cały tydzień.

„Przyjęci byliśmy z otwartymi rękami. Przywieszzone przez nas prezenty przyjęte były wybuchami szczerzej i naiwnej radości, która lepiej trafiła nam do serca, niż banalne formułki podziękowania, używane w naszym niby cywilizowanym świecie.

„Aby uczcić nasz przyjazd, poczęstowano nas wódką z brzoskwiń, którą przyrządzają sami Joubertowie, nawiasem mówiąc, wyśmienitą.



„Zwyczajem wszystkich osadników oprowadzali nas potem, pokazując mieszkanie we wszystkich szczegółach. Jest nadzwyczajnie obszerne, otoczone polami i pastwiskami. Po za ogrodem warzywnym znajduje się mały lasek, pośród którego urządzono polankę.

„Miejscowość ta jest tak cudownie piękna, że nawet miss Anna, która tak jak i brat jej ochłodziła i zesztyniała od chwili wyjazdu naszego z Pretoryi, zachwycona była szczerze.

„— Przy takim oświetleniu księżycy, jakie bywa tylko w Afryce południowej, miejscowość ta musi być cudowna — powiedziała.

„Młoda dziewczyna zaczyna przejmować się cudami natury; to dobry znak. Bałem się, że wstrętny zamach, którego była ofiarą w Wonderfontein, pozostawi na niej niczem nie zatarte wrażenie.

„— To raj prawdziwy! — mówił pan du Plessis.

„Raj; znalazł odpowiednie określenie, ale z warunkiem, że Luisa będzie Ewą tego Edenu; zdaje mi się, że Wiliam Linden powiedział to już, pomimo całej swej praktyczności.

„Panna du Plessis, jako wychowana prawie w tym domu, miała polecone, aby na niczem nie zbywało w przeznaczonych nam pokojach.

„Zwiedzając je po kolei, zauważyłem, że na mój udział przypadł najpiękniejszy z całego domu. Czyżby to była specjalna uwaga dla mnie tej, dla której przeznaczyłem niebieskie siodło?

„— W tym pokoju nocował prezydent rzecypolitej, kiedy przyjeżdżał do nas z wizytą, objaśnił



mnie jeden z Joubertów. Jest on dalekim kuzynem żony pana du Plessis.

„Powiedziawszy to, zamknął drzwi, a ja zabrałem się do mojej toalety z niezwykłą starannością.

„Co to za rozkosz ogolić się, zdjąć ciężkie buty po długiej podróży!

„Ubrałem się w nowiuteńki kostyum z czarnego aksamitu, spodnie z białej skóry, długie buty lakierowane ze złoceniem ostrogami. Dla dokończenia przeobrażenia mojego w bura w stylu Ludwika XIV-go, włożyłem na głowę czarny filcowy kapelusz, ubrany szarem strusim piórem. Jedna strona runda podniesiona była do góry i przytrzymana srebrną pętlą, zakończoną głową dzika.

„Prawdę powiedziawszy, mógłbym w tym kostymie figurować w „Hugonotach“ na scenie Opery Komicznej, ale przebranie to w Transwaalu nie wzbudza uśmiechu, tak jak frak czarny, lub czerwony.

„A zresztą zmieniło to trochę moją fizyonomię.

„Dzwonek obiadowy położył koniec moim dzieciądom; poproszono mnie, abym przeszedł do sali stołowej.

„Olbrzymi stół zastawiony był soczystemi potrawami, i ozdobiony wielkimi bukietami kwiatów, po większej części nieznanymi w Europie, a przed nakryciem, przeznaczonem dla mnie, stał piękny wazon ze starej porcelany flamandzkiej z pękiem niebieskich kwiatów.

„Niebieskie kwiaty! Czyżby zgadła, dla kogo przeznaczyłem niebieskie siodło, schowane obecnie



w skrzynce, starannie gwoździ zabitej? Czyżby mię zdradził Koriana, lub inny kafr?

„Ojciec Joubert przedstawił mnie żonie i córkom; ma ich ośm. Bóg błogosławi w tym kraju licznym rodzinom, bo młode te dziewczęta są czarujące i szczęśliwe.

„Wreszcie ukazała się i Luisa.

„Ledwie zdołałem powstrzymać okrzyk zachwytu na jej widok. Byłem olśniony cudowną jej pięknnością. Nigdy w Paryżu, w wielkim świetle, nie spotkałem pańien jej podobnych.

„Ta wnuczka francuskiego emigranta miała rysy słodkie; jej ruchy arystokratyczne i dystynkcyja w obejściu harmonizowały ze smukłą i wdzięczną figurą, ze skromnością i taktem, co zdziwiło mnie tem bardziej, że miałem ją raczej za dobrego kolegę.

„Nieśmiało zbliżyła się do stołu, nie odzywając się do nas, skłoniła się nam poważnie i zajęła miejsce przy ojcu.

„Życie cywilizowane pokazało mi inną pannę du Plessis, w której trudno było dopatrzyć się swobodnej amazonki, prawie że wesołego chłopca.

„Po skończonym obiedzie wprowadzono nas do obszernego salonu. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem tam fortepian, a na ścianach porozwieszane flety, skrzypce i gitary.

„Cały salon obstawiony był sofami, pokrytymi purpurowym aksamitem. Sam nie wiem, jakim sposobem znalazłem się koło panny du Plessis, która wy-



ciągnęła do mnie rączkę i szepnęła, cała różowa z zakłopotania:

„— Pan bardzo pięknie umie wybierać siodła damskie!

„— Kto pani powiedział?

„— Nikt! Widziałam! — odparła. — A kto jest tą szczęśliwą amazonką, dla której siodło jest przeznaczone?

„— Pani, jeżeli pani pozwoli!

„Spojrzała na mnie uważnie, zaczerwieniona, bardzo zakłopotana i szepnęła.

„— Oh, jak ja się bałam! ale wierzę panu.

„Było to pierwsze wyznanie.

„— Proszę poprowadzić mnie do fortepianu! — powiedziała.

„Podąłem jej ramię, na którym zaledwie oparła paluszki.

„Popołudnie dnia tego zeszło mi jak sen rozkoszny. Byłem jakby w ekstazie, ukołysany słodkim jej głosem, kiedy śpiewała stare pieśni francuskie i holenderskie. Pozostała przy fortepianie, akompaniując Joubertom, i słuchałem przeslicznych kwartetów. Kiedy się obudziłem z marzeń koncert był już skończony. Boska miłości! Boski zachwycie!

„Wyszliśmy, aby przyjrzeć się stadom, wracającym do zagród, otoczonych murem.

„William Linden, jako człowiek praktyczny, rachował je po kolei.

„— Wszystkiego jest dziesięć tysięcy owiec, czterysta z czemś krów, ośmset wołów i pięćset koni.



„— Rachunek dokładny — powiedział Joubert ojciec, śmiejąc się.

„Szczególnie konie były wspaniałe. Stado ich nadbiegło jak wichur, rżąc, skacząc i gryząc. Prawie dwie trzecie stada składały się z klaczy ze źrebiętami.

„Rasa ta pochodzi od koni andaluskich, które przywieźli z sobą portugalczyki po odkryciu przylądka Dobrej-Nadziei przez Bartłomieja Dias w roku 1486 i przez Vasco de Gama, który okrążył ten przylądek w jedenaście lat później. Holendrzy, zajmując tę początkującą kolonię w 1600 roku, sprowadzili reproduktory z Holandyi.

„Anglicy znowu, przywłaszczwszy sobie te ziemie w 1806 roku, przewieźli dosyć dużą ilość ogierów rasy anglo-saskiej. Stopniowe to krzyżowanie dało szczęśliwe rezultaty.

„Ani arab czystej krwi, ani anglo-normand nie jest tak wytrzymały, jak konie Kaplandu i Transwaalu. Piętnaście dni może iść pod wierzchem, robiąc przecięciowo po pięćdziesiąt mil angielskich dziennie, bez żadnych oznak zmęczenia.

„Luisa dostarczyła mi tych wszystkich wiadomości; oto dlaczego zachowałem je w moich notatkach“.

.....  
Powoli Jan Vaillant zdawał sobie sprawę ze wrażliwego uczucia.

Nie wrócił już jednak do wyznania, z którym wypadkiem zdradziła się Luisa, a o którym zdawało się, że już zapomniała.



Przypadkiem tylko dowiedziała się o istnieniu niebieskiego siodła. Razem ze skrzyniami, przywiezionymi dla Joubertów, otworzono i tę, w której znajdował się tajemniczy prezent Jana Vaillant. Młoda dziewczyna zobaczyła go i wtenczas poczuła jakiś ból dojmujący, którego nie umiała sobie wytłumaczyć.

Przyzwyczajona żyć, jak chłopiec, oswojona z szerokiem życiem w obcowaniu z naturą, niewzruszona w niebezpieczeństwach polowania, była jednak kobietą, to jest słabą wobec miłości.

Naraz ból, który poczuła w sercu, uczucie jakiegoś niepokoju, graniczącego z zazdrością, i gwałtownej rozpacz, dały jej poznać, że jest kobietą.

Ogarnął ją wstyd za obejście zbyt swobodne i zaczęła wyrzucać sobie długie godziny, sam na sam spędzane bez przypuszczenia jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Cierpiała i cierpienie swoje uważała jako karę, za poddanie się błędowi, mimowolnie popełnionemu, którego skutki teraz dopiero dostrzegała.

A pomimo to miłość śpiewała w jej sercu.

. . . . .  
Ogrody fermy rozciągały się bez końca pod błyszczącym niebem Afryki.

Olbrzymie parkany z fig indyjskich rzucały blade cienie na czarne otchłanie głębokich rowów.

Duże liście bananów powiewały na ciepłym, lekkim wietrzyku, jak rozfryzowane pióra, obok brzoskwiń, które posadzone bardzo blisko siebie stanowiły ogrodzenie symetrycznie poznaczonych części ogrodu.



Tam, gdzie gąszcz był większy, na łagodnem świetle ciemno-niebieskiego nieba skrzyły się ponsowe kwiaty granatu na liściach gładkich i błyszczących, z połyskami bronzu.

Altany z wina pod sklepieniem zielonem łączyły się z sobą ogromnemi latoroślami, przierzucającemi się z jednej na drugą, a powietrze, przesiąknięte rozkosznym zapachem, coraz bardziej upajało Jana Vaillant.

Oddychał głęboko, nie mogąc ostudzić rozbujanej wyobraźni, na którą działały ciężki i niepokojący zapach drzew pomarańczowych, cytrynowych, pampelmusów, których owoce jasno-żółte, wielkości głowy dziecka, w tej nocy przezroczystej robiły wrażenie latarni weneckich, rozwieszonych w gęstwinie liści na przestrzeni trzech mil conajmniej.

Wsparty łokciami na oknie młody paryżanin patrzył, nie widząc.

Wzrok jego mimowoli zawisał na największym i najczarniejszym punkcie z całego ogrodu.

Był to mały lasek, pośród którego Joubert ojciec urządził polankę z takim staraniem i smakiem artystycznym.

Nagle oczy jego przykuła postać biała, ruchoma, odcinająca się wyraźnie na tle ciemnego lasku.

Tak się oddalił myślą od świata rzeczywistego, że potrzebował parę minut na zdanie sobie sprawy z tego, co widział.

Do uszu jego doleciało lekkie skrzypnięcie.

— Nie śniło mi się! — powiedział półgłosem.

Nadstawił ucha.



Cisza panowała w całym domu.

Paryżanin wrócił do okna i kiedy przyszedł do siebie usłyszał skrzywienie żwiru w alei. Jakaś kobieta przesuwiała się pod murem domu; twarz miała zasłoniętą mantylą.

Kiedy się wychylił z okna zobaczył, jak otwierała ostrożnie drzwi od domu.

Zniknęła.

Jedno tylko imię przyszło na myśl Janowi.

— Niepodobieństwo! — mruknął.

Zawstydził się sam przed sobą tego przypuszczenia.

Rzucił się do drzwi swego pokoju.

W oddali czarna postać znikwała na zakręcie alei.

— Któż to może być? — szepnął zaintrygowany.

Wyteżył wzrok, ale nie mógł przebić ciemności oczami.

Nie dostrzegł nic!

Chwytał uchem tylko powiew ciepłego wietrzyka, kołyszącego upajające wonie, krzyk ptaka, nagle przebudzonego, i żalosne porykiwanie wołów w kraalu.

Paryżanin zamknął okno, obiecując sobie, że zgłębi tę tajemnicę, potem myśl rozkoszniejsza kazała mu zapomnieć o tamtej. Myślał o Luisie i marzył o niej.

On, który umiał się oprzeć wyrafinowanej kokieteryi, czuł się bezbronnym, wobec czystej, nieświadomej siebie piękności.

Przeszła noc, której się nie da określić słowami, jedna z tych nocy, która pozbawia sił i odrętwia umysł.



Napadły go myśli zazdrosne; stał się zazdrosnym, zanim mu kochać pozwolono.

Równy z jutrzeńką był na nogach.

Udał się natychmiast do służących kafrów, którzy urządzili sobie rodzaj obozu pod gołym niebem przy stajniach i oborach.

Koriana wstał już i czyścił konie.

Jan Vaillant podszedł do niego.

— Nie podejrzanego nie słyszałeś dziś w nocy? — zapytał.

— Nie, landlordzie.

— A psy?

— Nie szczekały.

— Nie widziałeś nikogo?

— Nikogo.

— Nikt z naszych przyjaciół nie wychodził z domu?

— Nikt, skoro psy nie drgnęły.

— To ciekawe — powiedział wolno paryżanin.

Zulus przerwał poranną robotę.

Nie śmiał zadawać wprost pytań swemu panu, ale oczami, pełnymi ciekawości, pytał wyraźnie.

Wielbiciel Luisy postanowił sobie, że wyjaśni zagadkę, otaczającą dwa nocne zjawiska, ujrzone przy świetle księżyca, dlatego też podjął zaczęłą rozmowę z dobrze udaną obojętnością:

— Kafrowie i psy są złymi stróżami.

Koriana spuścił głowę zawstydzony.

— Ktoś chodził dziś w nocy po ogrodzie — ciągnął Jan Vaillant.



— Niepodobna, landlordzie.

— Ale tak było.

— Pan widział?

— Widziałem.

— W takim razie musiał pan poznać, kto chodził; musiał być ktoś z naszych, bo w przeciwnym razie, jeżeli by kafrowie nie usłyszeli, psy by podniosły alarm.

— A jednak ktoś był w ogrodzie — powtórzył Jan Vaillan, tupiąc nogą z niecierpliwości na myśl, że nie dowie się niczego.

— Mężczyzna, czy kobieta? — zapytał Koriana po chwili namysłu.

— Kobieta — odparł Vaillant, z nowo wzrastającą nadzieją.

Powoli zulus porachował kobiety, zajmujące mieszkania w domu, a potem zaopiniował:

— Psy byłyby czekały na każdego z rodziny Joubertów, bo za mało ich znają; byłyby ich zaniepokoiła obecność du Plessisów, pani du Champ, lub miss Mary, bo to nowe znajomości. Jeżeli spały spokojnie, to najlepszy dowód, że kobieta, która chodziła tędy, musi być dobrze znana naszym psom. Tylko miss Anna...

— A mężczyzna? — przerwał paryżanin, objaśniony raptownie przez logiczne dowodzenie służącego.

— Mężczyzna — powtórzył zulus i zamyslił się.

Po chwili dodał:

— Potrzebuję wiedzieć dużo rzeczy.

— Pytaj.



— Z której strony szedł człowiek?

— Nie wiem.

— W którą stronę poszedł?

— W stronę równiny.

— To nie mogę nic powiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo szedł z wiatrem.

Upadał sposób wyjaśnienia tajemnicy, a imię, podane Janowi przez kafra, nie nie pomagało do rzucenia światła na drugiego uczestnika nocnego spotkania.

— Ba — powiedział sobie w końcu — będę czuwał przez jakie dwie noce i wykryję nocnych marków.

Pocieszony tą myślą chciał puścić się znowu na oglądanie fermy, kiedy poczuł ciężką rękę na ramieniu.

Obrócił się.

Horacyusz Brooklyn stał za nim, opierając mu na ramieniu kolosalną łapę.

— Wczesny ptak — powiedział yankes.

— Tak, jak i kochany pan.

— Złe przyzwyczajenia, nabyte w podróży — odparł Horacyusz — wstajemy o tej godzinie, o której kładliśmy się dawniej.

Jan Vaillant, zajęty swoją myślą, chciał przerwać tę banalną rozmowę; ale póki ręka Brooklyna spoczywała na jego ramieniu, nie mógł nawet marzyć o ruszeniu się z miejsca.

— Dowidzenia przy śniadaniu — odezwał się, chcąc się wysunąć.

— Śpieszy się panu? — spytał amerykańczyk.



- Tak! Chciałem iść na oględziny fermy.  
— W takim razie idę z panem.  
— Niepotrzebnie pan się trudzi.  
— Ależ tak, pójdę z panem, zresztą muszę podzielić się z panem pewnymi obawami.

Słowo *obawy* było tak niezwykle w ustach olbrzyma, że warto się było zastanowić nad niem.

Jan Vaillant poddał się więc i, wzięwszy przyjaciela pod rękę, ruszył z nim w drogę.

Obaj milczeli z początku.

Poranne słońce kładło pierwsze promienie na białych kwiatach pomarańcz, których zapach, złagodzony świeżością nocy, nie działał już tak podniecająco.

Kropelki rosy skrzyły się na dużych kwiatach granatu, jak proszek brylantowy na aksamicie.

Ptaki różnorodne budziły się w gniazdach, przerywając ćwierkaniem i śpiewami ciszę niezmierniej równiny.

Paryżanin żywił tajemną nadzieję, że z rozmowy z Brooklynem dowie się czegoś, co rzuci światło na nocną zagadkę; ale pierwsze słowa amerykańskiego Amerykanina rozczarowały go głęboko.

— Każdy z nas ma słabość i szlachetne popędy — zaczął apostoł o budowie herkulesowej — a odróżnienie jednych od drugich jest rzeczą bardzo ciężką dla nas, śmiertelników.

Brooklyn doznał uczucia jakby wstydu na samym wstępie do swych zwierzeń. Milczał przez chwilę, a potem, z uczuciem człowieka, wskakującego w zimną wo-



dę, odetchnął głęboko, i zanurzył skalpel w całą swoją wielką miłość ojcowską:

— Kocham moją córkę i mam prawo kochać ją tak, czy miłość moja będzie podłą, czy bohaterską.

— Niech pan mi wytłomaczy, co to znaczyć ma! — szepnął Vaillant, zainteresowany mimo woli cierpieniem przyjaciela.

— O, wytłomaczenie bardzo łatwe: kochałem ją, kiedy była małeńka; straciłem ją, szukałem jej potem i odnalazłem; kocham ją dziś, kiedy podobna jest do dziewicy, która zstąpiła z włoskiego obrazu, żeby mnie pocieszyć w goryczy i niewdzięczności, której doznaję. Matkę jej kochałem o tyle, że nie zmuszałem jej do powrotu do życia ze mną, które by dla niej było katuszą wobec miłości dla tamtego. Świat powie, że kierowało mną tylko uczucie obojętności, i świat pomyli się w sądzie. Słucham mego sumienia, a ono twierdzi, że miłość powinna być oczyszczona z wszelkiego egoizmu. Nie ożeniłem się z panią Brooklyn, żeby ją zrobić moją własnością, którą chowa się zazdrośnie przed złodziejami. Ożeniłem się dlatego, aby jej na tej ziemi zapewnić możliwe szczęście. Pomimo wszystkich starań moich nie mogłem dać jej tego szczęścia: porzuciła mnie, nie mam się o co upominać. Nie dla uszczęśliwienia siebie wziąłem ją, pragnąłem szczęścia dla niej. Nie udało mi się, nie mam więc prawa wymagać, aby robiła poświęcenie dla mego egoizmu, wracając. Jeżeli pan Stewart uszczęśliwia ją, pełen jestem wdzięczności dla przekłętego anglika.



Amerykanin tak szybko wygłosił tę długą tyradę, że Jan Vaillant nie mógł wtrącić ani słowa, aby zmienić bieg myśli towarzysza.

Czuł, że ta spowiedź, to wytłomaczenie dziwnego zachowania się względem żony swojej i jej kochanka, przynosi ulgę zranionej duszy Brooklyna, pozwolił mu też wypowiedzieć się z cierpieniami, tak długo ukrywaniem.

Amerykanin westchnął tak głęboko, że aż wzniosła mu się na piersiach wąska sutanna:

— Boję się bardzo, że w stosunku do Mary miłość moja jest tego samego gatunku i że pewnego dnia świat, ten fotograf, przed którym pozujemy ciągle, nie wiedząc nawet o tem, obwini mnie o brak serca, bo go mam za dużo, bo kocham córkę moją dla niej, nie dla siebie. Kiedy mi powiedziała, że miłość ojczyzny przoduje w jej sercu miłości dla ojca, poddałem się, żebrząc o kącik w tem sercu, które chciałem mieć całe dla siebie; fatalność tak chciała, a ja nie walczę z fatalnością. Zrobiłem, jak wielu ojców, którzy, złamani bólem, oddają córkę mężowi, wiedząc, że opierać się może tylko zły ojciec.

Łkanie ścisnęło gardło Horacyusza i dwie duże łzy spłynęły mu po policzkach.

— Żeby nie poświęcać jej dla mnie, poświęciłem siebie dla niej, ale w chwili spełnienia ofiary napadała mnie ostatnie obawy. Waham się, jak tylko wahać się może ojciec, który ma zezwolić na obcięcie włosów córce, poświęcającej się Bogu, bojąc się późniejszego żalu dziecka. Waham się, bo miłość ojczyzny jest tak



samo duchowa i czysta, ale i tak samo niebezpieczna, nie pozwalająca na cofnięcie się, jak miłość Boga. Jest to uczucie, powstałe z wyobraźni, a że wyobraźnia zmienia się z wiekiem i doświadczeniem, boję się, żeby pewnego dnia córka moja nie wyrzuciła mi, że nie umiałem postawić zapory jej porywom młodzieńczym. Kiedy myślę o przyszłości, ze strachem stawiam sobie to pytanie: Co robić? Czy starać się wyrwać z serca Mary uczucie patryotyzmu, tak starannie w niem pielęgnowane przez panią du Champ? Czy lepiej czekać, aż uczucie to samo się wyczerpie? Co by pan zrobił na mojem miejscu?

Głos herkulesa drżał przy tem pytaniu. Vaillant odczuł mocno cierpienie towarzysza; podejrzewał istnienie jego oddawna, ale nie znał całej głębi i teraz nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Zwracam się do pana — ciągnął Horacyusz — bo, żyjąc z panem w ciągłym stosunku przez tyle tygodni, umiem ocenić prawość charakteru pańskiego i przyjaźń prawdziwą, gotową do ofiar. Sir Harrison byłby ziewał, słuchając mojego opowiadania. Wiliam Linden odpowiedział by mi pomysłem praktycznym, ale dla niego, nie dla mnie. Pan du Plessis nie zrozumiał by mnie, bo nie znał żadnej troski w życiu swoim, wolnem od więzów społecznych. Do ciebie jednego tylko, drogi panie, zwrócić się mogę w tym ucisku moralnym, w tych niepewnościach i obawach, które mnie o śmierć powolną przyprawiają. Nie mogłem jeszcze zdecydować się na poświęcenie, które uważam za konieczne, a które pragnąłbym uznać za zbyteczne.



— Konieczne jest! — wyrzekł uroczyście paryżanin.

Brooklyn zatrzymał się, schwycił towarzysza za rękę i szepnął głosem zdławionym łzami:

— Dziękuję!

Potem poszli dalej, długie milczenie zapanowało po tem rozdzierającym podziękowaniu ojca, który postanowił odtąd uciszyć wszystkie uczucia ojcowskie, ożywione jeszcze znalezieniem dziecka po długiej z niem rozłące.

Powoli słońce zalewało złocistym światłem ogromną przestrzeń, pokrytą trawą, kwiatami i krzakami; zieleni drzew nabierała różowawych tonów pod niezmierzoną kopułą szafiru czystego, bez jednej plamki z obłoków.

— Postanowione — zaczął Horacyusz, uspokoiwszy się nieco. — Nie będę walczył z Mary. Swoją drogą niemniej lękam się czekających ją niebezpieczeństw.

— Nie spotka się z niemi natychmiast.

— Kto wie — odparł yankes głosem ponurym, który uderzył Jana Vaillant.

— Nie zdaje mi się, żeby rewolucya wybuchnęła obecnie.

— Swoją drogą Anglicy usiłują opanować ruchy patryotyczne. Chcąc zdusić złe w zarodku, nie cofną się przed żadnym środkiem.

— Miss Mary nie jest jeszcze skompromitowaną.

— Niestety jest, tyleż co i pani du Champ.

— Jakie wskazówki pozwalają panu na to przypuszczenie? — zapytał paryżanin z niepokojem.



— Co za wskazówki? — powtórzył amerykańnin. — Czyż nie jesteście śledzeni od chwili wyruszenia z Pretoryi?

— Owszem, byliśmy przez dwóch policyantów, ale zostawiliśmy ich daleko za sobą.

— Mylisz się pan.

— Jakto?

— Z powodu naszych częstych przystanków dogonili nas dwa dni temu. Byłem na rekonensansie i przekonałem się, że zaopatrzyli się w dwa konie do dalszej drogi.

— Dlaczegoż nie skorzystali z przejścia naszego przez jedno z miast, aby kazać przytrzymać panią du Champ przez policję angielską.

— Bo Opatrzność jakaś czuwa nad uczciwymi ludźmi, i agenci na żołdzie angielskim nie zdążyli nigdy wejść razem z nami do miasta, zajętego przez załogę czerwonych mundurów. Zawsze przyjeżdżali zapóźno. Doganiają nas zawsze w polu, a szakale te nie znoszą światła. Czują, że w zetknięciu z nami nie po ich stronie byłaby przewaga. Oto dlaczego wstrzymują się ze spełnieniem danego im polecenia.

— Rozumiem nareszcie, dlaczego niebezpieczeństwo goni nas od Pretoryi i dogonić nie może — powiedział Jan Vaillant.

Poczem po chwili namysłu dodał:

— Ale nie wiem, czy niebezpieczeństwa, grożące miss Mary, nie są większe w oczach miłości ojcowskiej, a bodaj nawet, czy nie nieistniejące.



— Nieistniejące! By God! — wykrzyknął Horacyusz. — Dałby Bóg, żeby obawy moje były płonne. A tych dwóch policyantów, włączających nam na pięty, widział i Stephanus i Koriana i wszyscy nasi kafrowie.

— Bo wszyscy dzielają obawy pana! — zaprzeczył paryżanin, aby zgłębić niebezpieczeństwo, które sam poczytywał za bliższe, niż się do tego przyznawał.

— Obawy moje są niestety oparte na rzeczywistości — odparł Brooklyn z goryczą. — Niech pan posłucha tylko. Przypomina pan sobie, że pewnego wieczora Hiroka zawiadomił pana, że jeden pies, a właściwie suka z naszej sfory zniknęła.

— Tak. No i cóż z tego?

— A pan na wiadomość tę nie zwrócił uwagi. Według pana Fox, czy Dav, nie wiem już jak się nazywał, zjedzony był przez krokodyla.

— Bardzo prawdopodobne.

— Nie o tyle, żeby zaspokoilo Hirokę. Zresztą, pomyślałem sobie, widząc zulusa mało zadowolonego naszym wyjaśnieniem, ludzie natury mają tę wyższość nad ludźmi cywilizowanymi, że znają doskonale zwyczaje zwierząt, kierowane instynktem. Według Hiroki przypuszczenie pana o zniknięciu psa było nieprawdopodobne. Stąd wywnioskowałem, że było fałszywe, a wkrótce miałem dowody prawdziwości jego wniosku.

— Nie widzę, co ma wspólnego zaginiony pies z policyją angielską.

— Niech pan słucha, a dowie się! — powiedział Horacyusz z gestem kaznodziei. — Razem z Hiroką szukaliśmy i znaleźliśmy go. Zresztą było to bardzo pro-



ste. Wystarczało iść śladem kłaków sierci, zaczepionych na kolcach akacyi. Obok bardzo wyraźnych odciśnięć łap na rozmokłej ziemi, widniały ślady nóg ludzkich, obutych w grube, zniszczone buty, których gwoździe zagłębiały się znacznie w glinę. A więc suka poszła za jakimś człowiekiem, albo została przez niego ukradziona.

Ślady kończyły się przy drodze, a tuż przy niej dostrzegliśmy koleje, wyłobione przez koła wozu i resztki obozowiska. Hiroka objaśnił mi, że muły ciągnęły ten wózek, którego szlak doprowadził nas do nędznego wagonu, zaprzęzonego w chude muły.

— Zaczynam zgadywać — powiedział Jan Vaillant.

— Schowani w krzaki — ciągnął Brooklyn — słyszeliśmy wyraźnie wściekłe ujadanie psa naszego. Uwiązany był w środku wozu.

— I nie gwizdnął pan na niego?

— Myślałem o tem — odparł spokojnie yankes — ale zulus był przebieglejszy odemnie.

— Co zrobił?

— Zostawił go tam.

Paryżanin zdumiony był zimną kwią, z jaką ojciec miss Mary przyznawał się do tego; ten mu się zaraz wytłumaczył:

— Hiroka słusznie mi powiedział, że pies wróci w tej samej chwili, kiedy się uwolni, albo przyzwyczai się do nowego pana, nie zapominając dawnego. Mógł więc przydać się nam, pozostając u nieprzyjaciela, i został.

— Z kim?



— A otóż to najciekawszy punkt całej historii. Udało mi się wślizgnąć na drogę, a że wóz toczył się powoli, szedłem za nim, bez złej myśli, przysięgam. Ale nieszczęściem buda była płócienna, a że pies ukradziony szczekał, więc policyjanci musieli głos podnieść, rozmawiając. Któżby zresztą mógł przypuścić, że Horacyusz znajdzie się tam i usłyszysz?

— A co pan słyszał?

— Dużo.

— Co więc nareszcie?

— Wszystkie drobne interesy tych panów. Ściągają oni trzy osoby.

— Mianowicie?

— Naturalnie panią du Champ, potem moją córkę.

— A wreszcie?

— Clodiona Endes, powiem nareszcie, żeby pan nie czekał za długo.

— Clodiona? — powtórzył Jan Vaillant zdumiony.

— Jego samego.

— To on nie umarł?

— Ci panowie nie wierzą w to.

— Znają go?

— Doskonale.

— Ale cóż znowu!

— Bardzo prosta rzecz. Jeden z policyjantów nazywa się Hopkins.

— I pan go nie zdusił — wykrzyknął paryżanin.

— Miałem przez chwilę ten zamiar! — odparł herkules.

— Kto panu przeszkodził?



— Znowu Hiroka.

— Ale dlaczego.

— Bo zwrócił mi uwagę, i zupełnie słusznie, że jedyny sposób odnalezienia towarzysza jest pozwolić ścigać się samemu. Zdaje mi się — zakończył yankes — że od tego czasu manewrowałem dobrze. W chwili, kiedy dojeżdżamy do jakiego miasta, gdzie policya mogła by być niebezpieczna dla mojej córki, upewniam się, czy mamy naszych policyantów o parę dni po za sobą. Kiedy oni przyjeżdżają, my już jesteśmy daleko, a potem pozwalam im dogonić nas, aby mieć ich pod ręką, i zaczynam swój manewr nanowo.

— A usposobienie ich względem miss Mary i jej przybranej matki? — zapytał Jan Vaillant.

— Bardzo nieszczególne? — odparł Brooklyn — ale oni mnie nie liczą.

— Dokąd oni idą? — pytał jeszcze paryżanin.

— Dokąd my idziemy.

— Do Lydenburga?

— Tak.

— W takim razie zmienmy kierunek.

— Broń Boże, przeciwnie! — zawołał żywo amerykańczyk. — Dopóki jestem pomiędzy nimi i moją córką, niema się czego obawiać; a Mary jedzie do kopalni, bo ztamtąd dany będzie sygnał do powstania, pierwszy krzyk niezależności, wydany przez ojczyznę dla uszu angielskich!

— Aha, to i pan spiskuje, skoro jest tak dobrze poinformowany?



— Dlaczego nie? — odparł Horacyusz z dumą, której nie próbował ukrywać. — Przedewszystkiem jestem obywatelem wolnej Ameryki, i z tego tytułu wolność i niezależność każdego narodu nie może mi być obojętną. Dalej, urzeczywistniając marzenie mojej córki a raczej pracując o ile możliwości, w tym celu, przyspieszę chwilę, w której serce mego dziecka zwróci się do mnie w całości.

Westchnął po tem oświadczeniu, stanął i schwycił rękę towarzysza.

— Muszę pożegnać pana — powiedział.

— Dlaczego?

— Bo nigdy nie oddalam się od niej zabardzo, kiedy policya angielska jest w okolicy.

— Oh, czy są na naszym tropie?

— Dogonili nas wczoraj. Umyślnie zapóźniliśmy się, polując; w tym czasie Hopkins zyskał na przestrzeni z dwoma kupionymi końmi. All right!

— Do widzenia wkrótce! — odparł paryżanin ścisnąc potężną łapę Brooklyna.

— Wkrótce, Igness — odpowiedział Horacyusz puszczając się wielkimi krokami w stronę domu, podczas gdy Jan Vaillant udał się dalej w pole.

Wkrótce słodkie wspomnienie Luisy zatarło w umyśle jego smutny obraz ojca, walczącego o serce córki z miłością jej dla ojczyzny. Myślał znowu o pierwszym wyznaniu, które zdradziło uczucie dziewczyny, i sam, nie wiedząc, dokąd zmierza, zapuścił się w długą aleję z drzew pomarańczowych. Co go obchodziło wspaniałe otoczenie dla jego miłości. Kochał tak praw-



dziwie, i tak poetycznie, że najmniej ładna miejscowość wydałaby mu się malowniczą.

Przed oczami miał tylko Luise, słyszał ją tylko i sam nie wiedział, kiedy przyszedł na brzeg polanki w lesie. Wszedł pomiędzy pnie drzew i liany kolczaste. Zbite gałęzie drzew przesiewały blask słoneczny, tworząc cudowny półmrok, rozkosznie kołyszący zmysły.

Rozmarzał się urokiem wiekuistego życia we dwoje; tylko we dwoje, pośród natury pysznej, szerokiej, boskiej... urokiem długich spacerów w parkach zacięzionych, ręka w rękę, oczy w oczach, z jedną duszą dla dwojga, z jednym pragnieniem — kochania, z jednym celem — kochania wiecznie, z jedną nadzieją kochania, kochania...

Nagle, blask słońca oślepił go. Wyszedł z cienia drzew i złote promienie zmusiły go do zamknięcia oczu. Jedna strona polanki osłonięta była cieniem drzew stuletnich, a druga skrzyła się w promieniach światła, złocącego trawę zieloną i wysoką. Lekki szum liści łączył się z brzękiem owadów, unoszących się w powodzi słonecznej...

Pień drzewa, zwalony wpoprzek u stóp wzgóрка, aż zapraszał do siedzenia.

Usiadł na nim, oparł głowę na rękach, łokcie na kolanach i chciał znowu pogrążyć się w sen szczęścia, miłości. Z oczami, utkwionymi w ziemię, chciał uciec od rzeczywistości i wznieść się na obłoki złociste, z których blask słoneczny zepchnął go tak gwałtownie.



Zresztą godziny szczęścia w życiu są tylko te, kiedy odrywamy myśl od ziemi i przenosimy ją w krainę marzeń.

Nieudało się Janowi Vaillant wrócić do tej błogosławionej krainy.

Oczy, utkwione ciągle w ziemię mimowoli patrzyły, badały, szukały.

Trawa była zmięta w tem miejscu, na którem wzrok jego spoczął.

Nagle zakochany podniósł głowę i uważnie rozejrzał się w śladach. Zgiął się do samej ziemi, potem przyłożył się prawie płasko, jakby chcąc wydrzeć jej tajemnicę.

Podniósł się raptem:

— Ah — powiedział prawie głośno, tak niesłychanie był zdumiony — ah! to by było potworne.

Widocznie wątpił jeszcze, bo pochylił się po raz drugi, rozgarniając rękami kępki trawy, które podniosły się trochę, odkrywał ślady w glinie, rozmoczonej przez rosę.

Potem starannie szedł ścieżką, którą stopy wyznaczyły w trawniku; w pośrodku polanki dwa szlaki znaczyły wyraźny kierunek, jeden w stronę domu Jouberta, drugi w stronę wsi.

— Nie do uwierzenia! Tyle podłości! — wykrzyknął Jan Vaillant z błędnymi oczami, nie mogąc wątpić dłużej wobec śladu nieomylnego, wydeptanego przez spiskowców nocnych. — Będę przynajmniej wiedział, jak rzeczy stoją! — pomyślał.



Spotkawszy się oko w oko na werendzie z miss Anną, nie mógł się powstrzymać i zagadnął ją prosto z mostu:

— Piękny pani spacer miała dzisiaj nocy, miss Anno?

— Ależ tak, panie, piękny — odparła Anna bez najmniejszego wzruszenia. — Obiecałam sobie, że obejrzę polankę przy świetle księżycy. Nie wyobraża pan, jakie cudowny widok miałam tak małym kosztem... tylko kwadranś drogi.

Mówiła to chłodno, z oczami, utkwionemi w oczach paryżanina. Ani jeden muskuł w jej twarzy nie drgnął, ani zaczerwieniła się, ani zmieszła.

Jan Vaillant zaczął wątpić o tem, co widział. Bliskim był wiary, że prostem przywidzeniem była postać męska, uciekająca nocą w stronę równiny, i złudzeniem ślady, odkryte w trawie.

Taki spokój, tyle zimnej krwi obróciło w niwecz wszystkie podejrzenia paryżanina, który zaczął teraz mówić o pogodzie, chcąc wyrwać się z pod przykrego wrażenia.

Siostra baroneta, zawsze chłodna i uprzejma, poddała się tej banalnej rozmowie bez zniecierpliwienia, bez oznak zdenerwowania, jakby podobny temat był dla niej najmiłą rozrywką podczas długich godzin poranku.

Po obiedzie, który się zaczął w południe, ojciec Joubert zaproponował gościom swoim wizytę do Marcillac'ów; wszyscy zgodzili się jednogłośnie. Jan Vaillant cieszył się znowu nadzieją znalezienia się przy



Luisie, i ta myśl wypłoszyła wszystkie inne, przykrej natury.

Kafrowie przyprowadzili konie przed werendę; dobra pasza i wypoczynek pozwoliły im zapomnieć o uprzednim zmęczeniu.

Ojciec rodziny i synowie włożyli takie same kostiumy, jak du Plessisowie: spodnie żółte z jeleniej skóry, kurtki krótkie z czarnego aksamitu z szamowaniami, buty z cholewami, przybrane złotymi ostrogami z kółkami z niebieskawej stali, wielkości pięciofrankówek, które dźwięczały i brząkały za każdym poruszeniem jeźdźca.

Burowie wskoczyli na przepyszne kare ogiery z falującymi ogonami i grzywami, i ruszyli z miejsca krótkim galopem, powstrzymując z trudnością gorące rumaki. Za nimi jechali europejczycy, towarzysząc amazonkom; ciekawy dla nich widok przedstawiali ci afrykanderzy, wszyscy prawie jednakowego wzrostu, siedzący na dużych ogierach, ubrani w jednakowe kapelusze filcowe, o główce śpiczastej i wysokiej, z rondem, podpiętem z jednej strony trójkolorową kokardą transwaalską: czerwono-niebiesko-białą.

Pęk czarnych piór strusich, przy kapeluszu powiewających na wietrze, prznosił ich w czasy Ludwika XIV i Ludwika XV; burowie byli żywą ilustracją jednego z romansów Aleksandra Dumasa.

Sama uprząż na koniach zasługiwała na uwagę.

Siodło spoczywało na czapraku ze skóry lamparciej, obramowanej szkarłatnem suknem, przy uszach końskich powiewały ogony srebrnych szakali. Pośrod-



ku piersi na skrzyżowanych rzemykach połykiwała srebrna blacha, w kształcie tarczy herbowej, z herbami du Plessisów, lub z anamagratami Joubertów.

Jan Vaillant jechał obok Luisy. Ubrana była w amazonkę z czarnego sukna, w rękawiczki z kozłej skórki, sięgające do łokci, a w rękę trzymała szpicrutę z główką z cyzelowanego złota.

W czarnym aksamitnym kapeluszu z białym strusim piórem, przypominała bohaterki za panowania króla-słońca, które odznaczały się wykwintem, rozumem i męską odwagą.

Córka Achillesa du Plessis nie ustępowała córce królewskiej ani z wyglądu, ani z wdzięku, z jakim dośiadała swojej klaczy bułanej o skórze tak cienkiej, że żyły przez nią przeglądały.

Niebieskie siodło ślicznie harmonizowało z kolorem sierci; pod siodłem leżał czaprak szkarłatny, oszyty frendzlą złotą. Jan i Luisa zamienili tylko parę słów przed wyjazdem.

Młoda dziewczyna wzięła uzdę z rąk grooma murzyna, ubranego ponsowo, i podając końce paluszków Janowi, spytała:

— Czy podoba się panu pobyt tutaj? a moja klacz złocista także?

Jan Vaillant czuł, że wyznanie ciśnie mu się na usta, zbliżył się też szybko, aby pomódz jej przy wsiedaniu.

Luisa zrozumiała jego pośpiech, uśmiechnęła się też, patrząc mu prosto w oczy, i powiedziała:



— Dziękuję; u was w Europie istnieje zwyczaj pomagania damom przy wsiadaniu! My bo przywykłyśmy do obchodzenia się bez kawalerów i ich uśmiechów!..

Młodzi ludzie jechali dosyć długo obok siebie, paryżanin nie mógł mówić o niczem innem, jak o rzeczach banalnych, omawianych tysiące razy. Burka uśmiechała się z jego zakłopotania i pomimo swojej czystości dziewiczej zgadywała przyczynę zmieszania i niepewności towarzysza, bo odczuwała je sama.

Wreszcie panna du Plessis przypomniała sobie, że polecono jej uprzedzić Marcillac'ów o ich przybyciu, i powiedziała Janowi Vaillant, że pojedzie teraz naprzód.

Paryżanin cofnął się na tyły kawalkady, jak tylko młoda dziewczyna zniknęła po za krzakami i aloesami, rosnącymi przy drodze.

Jechał zamyślony, kiedy nagle z zadumy wyrwał go głos Lindena:

— Tylko zakochani są tak melancholijni, to logiczne!..

— Kto wie? — odparł Jan Vaillant, wstrząsając się żywo.

— Z pewnością ja wiedziałem o tem pierwszy. Miłość to choroba, którą sam chory najpóźniej spostrzeżga. A kiedy już wątpić nie może, oszukuje się jeszcze biedny zakochany. Stara się wmówić w siebie, że jego galopujące suchoty to tylko katar; ale ty, mój kochany, nie słyszysz tego, co mówię, to znaczy, że choroba jest w pełnym rozwoju; winszuję ci serdecznie.



— Winszujesz mi! Czego? — zapytał paryżanin, jak zbudzony ze snu.

— Miłości twojej, mój kochany. Zawsze miałem przyjaźń dla ciebie, ale wzrosła ona od chwili, w której przekonałem się, że jesteś zakochany.

— Zakochany!.. zakochany!.. — powiedział Jan Vaillant niecierpliwie. — Co ty możesz o tem wiedzieć?

— O, moja dyagnoza jest nieomylna. Mina roz-targniona, oko błędne, myśl gdzieś daleko. Jesteś poważnie chory, ale pielęgnować tego nie trzeba. Rozumiem, że jest się zakochanym, jak jest się waryatem; jest się przynajmniej logicznym w swoim obłąkaniu. Tymczasem tylu ludzi chwali się, że są wolni od wszelkich zaburzeń umysłu i serca, a nie są w stanie zebrać się na myśl praktyczną.

Jan Vaillant oddawna już nie słuchał.

Jeźdźcy i amazonki rozbili się na grupy: Joubertowie rozpoczynali pochód; Horacyusz Brooklyn umieścił córkę pomiędzy du Plessis ojcem i synem, a sam stanowiąc straż tylną; rozglądał się nieznacznie po krzakach przydrożnych i nieraz obejrzał się po za siebie, aby się przekonać, czy żadna osobliwość podejrzana ich nie śledzi.

Miss Anna śmiała się głośno, a brat jej nudził się monotonna drogą.

Po półtoragodzinnym spacerze cała kawalkada przyjechała do de Marcillac'ów.

Wszyscy posiadali z koni.



Zastano stoły poustawiane wzdłuż alei, wiodącej do głównej siedziby, przykryte białymi serwetami i zastawione oświeżającymi daniami różnych rodzajów.

Gospodarze witali gości serdecznymi uściśnieniami rąk, a następnie pokazali im dom, a raczej domy, których było cztery, w odległości trzydziestu metrów jeden od drugiego.

Zbiory broni, ptaków i owadów zachwyciły europejczyków; poświęcona im była cała duża sala. Od wysokiego sufitu spuszczały się ptaki: jastrzębie, orły, ptaki rajskie i bażanty złote zdawały się unosić nad zwiedzającymi.

Inne pierzaste, należące wyłącznie do Afryki południowej, rozmieszczone były na gałęziach, przytwierdzonych do ściany.

Następnie wyprawiono gościom jedno z najciekawszych widowisk. Dwudziestu kafrów odtńczyło taniec wojenny przy dźwięku swojej *consertinas*. Kręcili się, mijali, zwijali i rozwijali, zasłaniając się dużymi tarczami owalnemi z wołowej skóry, potrząsając sagajami, a przytem marsowe ich twarze, pióra, powiewające w kręconych czarnych włosach, nadawały tańcowi iście wojowniczy charakter.

Po tańcu każdy z zulusów dostał kieliszek wódki, zwanej *jonalu*; potem cała banda oddaliła się, kłaniając się zebranym w sposób, przyjęty przez kafrów żołnierzy: jedną rękę kładą na sercu, drugą na czole, mówiąc:

— Dankys croôs. (Dziękujemy, panie).



Słońce staczało się za góry, złączając chmury przeduradowanym blaskiem; zachód słońca w tym rajskim klimacie nie ma sobie równego i jest widowiskiem niesłychanie imponującym.

Z oddali dolatywało rżenie klacz, wołających źrebaków, i ryk bydląt. Stada ze wszystkich stron wracały do kraalu.

Całe życie u Marcillac'ów poświęcone było pracy w polu i polowaniu.

Dom ich był punktem zbornym wszystkich wybitnych osobistości w kraju; po całych tygodniach prześadywały tam, bawiąc się wesoło, rodziny Roux, Durtis, Marais, de Villiers, Cellier, du Vinage, Krüger, Burger i t. d.

Najbliżsi sąsiedzi byli jednak oddaleni o dwanaście mil.

Polowania odbywano piechotą w górach i lasach, albo konno na równinach.

Oprócz różnych gatunków antylop, bardzo licznych w tym kraju, znajduje się tam jeszcze obfitość czerwonych kuropatw, złocistych bażantów, drozdów, czerwonych gęsi i kaczek dzikich, cyranek, papug, grzywaczów (dzikie gołębie), bekasów, dropi, przepiórek, kurak wodnych, cietrzewi, królików i zajęcy, rockrabitts (gatunek świszczów), złocistych kukulek kafsryckich, ptaków prześlicznych, których skórka sprzedaje się po funcie sterlingu za sztukę; gołębi błękitnych, których pióra mają połysk niebieskiej stali, i rozmaitych gatunków czaplowatych.



Sekretarze, ptaki z rodzaju czaplowatych, są niezwykle oszczędzane; za zabicie jednej sztuki nałożona jest kara do wysokości pięćdziesięciu funtów. Sekretarz tępi węże. Ptak ten zdaje się rozumieć, że człowiek go szanuje, bo jest jego sprzymierzeńcem; oswaja się łatwo.

Często spotkać je można, chodzące poważnie koło domów, spacerujące po ogrodzie; karmią je surowem mięsem.

Dziób mają nadzwyczajnie mocny i zagięty, jak u orła; szpony ich są potężne, a duże oczy żółte, patrzą przenikliwie; są to czaple wysokolotne. Często widzieć je można, unoszące się na dużej wysokości; kiedy spostrzegą węża, rzucają się na niego, łapią go dziobem tuż przy głowie, unoszą się z nim i puszczają z powrotem na ziemię; potem rzucają się na ofiarę, ogłuszoną upadkiem z wysokości, i pożerają ją.

Małpy całymi stadami przychodzą w nocy wyjadać pomarańcze z ogrodów, od czasu do czasu dziki pustoszą pola kartofli, albo plantacye sorgho (rodzaj kukurydzy), ale złe to na dobre wychodzi, bo dzik, tratując farmerowi pole, daje mu sposobność zarazem do najmilszej rozrywki, polowania.

Podczas kolacyi de Marcillac opowiadał o ostatniem swoim polowaniu na lamparty, które odbyło się w bliskości jego gruntów.

— Drapieżniki te zabrały nam parę jagniąt i koni — powiedział. — Zgromadziłem tu przyjaciół, aby wytępić lamparty. W dniu oznaczonym, przywiązaliśmy koźlę do małego drzewka o trzy strzały od kraalów,



beczenie jego zwabiało lamparty. Była dziewiąta godzina wieczorem. W pół godziny jakie, nadeszły drapieżniki. Widzieć nas nie mogły, bo schowani byliśmy za figowcami indyjskimi. Nie mogły nas zwęszyć, bo wiatr dął w naszą stronę. Jak tylko się odkryły, strzeliliśmy wszyscy razem.

Pięć padło odrazu, paru wdrapało się na duże drzewo, a reszta uciekła.

Puściliśmy psy, które, wążąc ślady, doszły do drzewa, otoczyły je i z pyskami w górę zaczęły szczekać zajadle.

Dowództwo w polowaniu miał powierzone starszy de Villiers; najbardziej był doświadczony, bo nieraz miał już do czynienia z temi zwierzętami. Każdemu z nas wyznaczył miejsce na ćwierć strzału od drzewa, wkoło którego utworzyliśmy jakby koło.

Przestrzeń taka umyślnie była zostawiona w celu zmuszenia lampartów do skoczenia na ziemię, a nie wprost na myśliwych.

Odwołaliśmy psy; każdy z nas obowiązany był trzymać dwa, albo trzy na smyczy i puścić je dopiero w tej chwili, kiedy lamparty dotkną ziemi.

De Villiers zatrzymał przy sobie dwa duże dogi.

— To moja rezerwa — powiedział.

Następnie nasz dowódzca kazał Roux i Dutois strzelać w środek drzewa.

Nic się nie poruszyło.

— Ognia w wierzchołek drzewa — krzyknął wtedy do Joubert'a i do du Vinage — a wy uwaga! — dodał.



Rozległy się dwa wystrzały; zaraz potem szum liści, trzask łamanych gałęzi, jeden wielki ryk, i cztery lamparty rzuciły się na ziemię.

Ledwie dotknęły gruntu, kiedy ośmnaście psów wpadło na nie i zaczęła się walka, niepodobna do opisanania.

De Villiers zawołał wtedy kafrów, stojących o parę kroków za nami, każdy z nich uzbrojony był w pół tuzina krótkich sagai. Przysunęli się o jakie pięć kroków od grupy walczących; sagaje ich, świszcząc przecinały powietrze, a walka trwała dalej.

Jeden lampart trzymał psa za gardło; kafr zbliżył się do niego i przebił go jednym ze swoich dziryków. Drapieżnik runął martwy, ale zulus nie dość wcześnie się usunął. Drugi lampart wyrwał się psom, skoczył na czarnego i powalił go. Pazurami rwał mu ciało w strzępy i gdyby nie trzaśnięcie kolbą między oczy z ręki waszego sługi, zulus byłby napewno uduszony.

Stary myśliwy opowiadał o tym bohaterskim czynie z całą swobodą, bez żadnej wstydlivosti.

Opowiadał dalej:

— Kafr dowłókł się do domu, i tam mu przewięzali rany. Pozostały dwa lamparty, lekko ranione sagajami, ale trzymające się dobrze, a już ośm psów leżało rozprutych.

Dowódca nasz, który trzymał z trudem dwa wielkie krwawe dogi amerykańskie, puścił je nareszcie:

— Jah, jah, Bill! Jah, jah, Turk!

Waleczne psy nie potrzebowały zachęty; z zajądłością rzuciły się na drapieżniki. Zabezpieczone obro-



zami i nabocznikami z żelaznych kolców w jednej chwili przechyliły szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Każdy dog zatopił zęby w gardło jednego lamparta i żaden z nich nie puszczał zdobyczy, pomimo straszliwych uderzeń pazurów. Hektor położył koniec tej walce — kończył opowiadać de Marcillac — zbliżył się do zwierząt i dwoma strzałami z rewolweru położył obydwu.

Było to jedno z tych myśliwskich opowiadań, tak ulubione podczas czuwania w fermach transwaalskich. Księżyc wstawał jasny, wesoły, powiększony jeszcze przez niebo prawie niebieskie. Goście wsiedli na konie i wracali do fermy Joubertów, odprowadzeni do połowy drogi przez całą rodzinę de Marcillaców.

Dla Jana Vaillant był to wieczór pełen uroku; jechał obok Luisy, pod gwiazdzistym niebem, a chociaż na rozmowę składały się głównie wspomnienia z polowania, paryżanin szczęśliwy był, że może słyszeć z jej ust o wrażeniach jej wobec niebezpieczeństwa.

Naiwne uwagi młodej dziewczyny dodawały opowiadaniu tajemniczego uroku niezrównanej odwagi i nieustraszonosci bezgranicznej.

I teraz Burowie trzymali straż przednią; Horacyusz Brooklyn, którego cień olbrzymi wydłużał się do nieskończoności na białej drodze, zwracał ciągle baczną uwagę na krzaki, ocieniające drogę.

Miss Mary rozmawiała pocichu z Hektorem du Plessis, a z całej rozmowy słyhać było tylko od czasu do czasu słowo ojczyzna, wymówione bardzo wzruszonym głosem.



Miss Anna jechała zamyślona obok brata; gdyby Jan Vaillant nie był tak mocno zajęty Luisą, byłby zauważył, że młoda angielfka, podobnie jak i amerykańka, rzuca ukradkowe spojrzenie na zbity płot z akacyi, tworzący ciemne obramowanie jasno oświetlonej drogi.

Dojechali wreszcie do siedziby Jouberta; każdy z podróżnych udał się do swego pokoju z zapasem marzeń na całą noc i wspomnień.

Jan Vaillant, znalazłszy się sam, nie miał spokoju; dręczyła go ciekawość.

Zamiast położyć się spać, popchnął lekko obiedwie połowy okna, tak, że z dołu patrzącemu wydawały się zamknięte, a właściwie były uchylone.

Potem zaciągnął starannie na szyby firanki muslinowe, unosząc jednakże jedną z nich o tyle, aby mógł obserwować park spokojny, cichy, pośród bladej nocy.

Paryżanin wsunął rewolwer w kieszeń aksamitnej kurtki. Potem usiadł na ziemi, tuż koło ramy okiennej, a wyężywszy wzrok i słuch, czekał.

Oczekiwanie nie przeciągnęło się długo; zaledwie godzinę był na stanowisku, kiedy woddali, po za lasem, zobaczył wyłaniającą się długą czarną sylwetkę.

Jan Vaillant podniósł się, otworzył ostrożnie drzwi i słuchał.

Wszystko spało w domu, albo spać się zdawało.

Z niesłychaną ostrożnością wysunął się na korytarz, potem na schody, wyszedł z domu, przeszedł koło psów, które nie szczeknęły, koło kafrów, którzy nie



obudzili się i znalazł się w ogrodzie, schowany w cieniu, rzucanym przez dom.

Posuwając się wzdłuż murów, dosięgnął wkrótce pierwszych zarośli i zagłębił się w nie.

Od tej chwili zniknął dla oczu; ziemia zroszona i pulchna tłumiała odgłos kroków. Zaczął iść śpieszniej, oglądając się co chwila, bo pomiędzy liśćmi drzew ukazywała mu się od czasu do czasu aleja, na której nocy poprzedniej dostrzegł białe widmo.

Wahał się posuwać naprzód, trzask chrustu pod nogami, powtórzony przez echo w ciszy nocnej, rósł do olbrzymich i przerażających rozmiarów.

Czasem zdawało mu się, że słyszy szelest sukni na piasku alei.

Jan Vaillant minął mały lasek i wszedł w las wielkich drzew, potykając się o liany olbrzymie, płacząc się w korzeniach, czołgając się, jak wąż po ziemi.

Coraz trudniej było posuwać się naprzód w płataninie gałęzi i krzewów. Żeby utorować sobie drogę, musiał odsuwać kolczaste witki, które zdierały mu skórę z twarzy, a puszczane cięły, jak szpicrutą.

Zwiędłe liście, zmięte, leżące kupami, szeleściły pod jego stopami. Suche gałązki łamały się z nagłym trzaskiem, jak przy przejściu zająca.

Za każdym hałasem paryżanin zatrzymywał się, nasłuchiwał w ciszy nocnej, ściskając kolbę rewolweru i, bojąc się tylko, aby nie odkryli obecności jego ci, których chciał wysledzić.

Rozumiejąc dobrze, że daleko bezpieczniej jest iść po oczyszczonej ścieżce, niż błądzić na los przypadku,



narażając się na zdradzenie hałasem szeleszczących gałęzi, zaczął się orientować; potem śmiało zszedł na lewo i znalazł się wkrótce na dróżce wpośród trawnika, która dochodziła do samej polanki.

Od tej chwili zachowywał mniej ostrożności; doszedł do ostatniego zawrotu i zamierzał wrócić pod drzewa, aby nie być dostrzeżonym przez cień, który już stawiał się pewnie na schadzkę, kiedy trzask gwałtowny rozległ się tuż po za nim.

Nie było wątpliwości! Ktoś nadchodził po tej samej ścieżce.

Nie zważając na to, że teraz naprawdę może być usłyszonym, odsunął szybko krzaki, tworzące płot, i ukrył się po za drzewem, wstrzymując oddech, przyciskając obydwoma rękami piersi, w których serce biło gwałtownie.

Dwie minuty upłynęły... dwa wieki. Biała postać przeszła o dwa kroki od niego.

Kształty jej owinięte były w długi biały muślinowy peniuar, jak w domino.

Koronkowa narzutka zakrywała głowę.

Nie byłby jej poznał, gdyby nie zatrzymała się przerażona, szepcząc:

— To pan?

Prawdopodobnie przyszła do przekonania, że to antylopa przebiegła, bo, zawahawszy się chwilę, poszła dalej i zniknęła na zawrocie ścieżki.

— To ona! — westchnął, nabierając powietrza w płuca.



Poczekawszy jeszcze chwilę, udał się w kierunku oświetlonego księżycem kręgu, utworzonego przez wolną od drzew polankę.

Miss Anna poszła do zwałonego drzewa.

Kiedy znajdowała się o dwa, lub trzy kroki od niego, postać jakaś, ukryta dotąd w cieniu pnia, powstała na jej spotkanie.

— Oh, bałam się — wyjąkała młoda angielfka.

— Bała się pani, a czego? — zapytał szorstki głos.

— Zdawało mi się, że ktoś idzie za mną.

— Ba! wasi młodzi pustogłowy baliby się zanadto własnego cienia w dużym borze, aby się odważyć na tę nocną wędrówkę. Dla dodania im odwagi potrzebne im są latarnie z Regent's street.

Nieznajomy, starając się zawsze pozostać w cieniu, usiadł na martwym drzewie i bez ceremonii przyciągnął do siebie młodą dziewczynę. Ona ochłonęła już ze wzruszenia; przez chwilę mówili po cichu, a mężczyzna nadawał głosowi swemu miękkie brzmienie, jak gdyby mówił o miłości.

Szept ich przechodził w przysięgi i pocałunki, powtarzane widać często, bo miss Anna nie wyglądała wcale na obrażoną.

Wreszcie nieznajomy podniósł głos.

— Dosyć mam tej egzystencyi galernika!

— Cierpliwości, parę dni tylko! — błagała siostra baroneta.

— Cierpliwość to słowo zbyt cne w miłości. A zresztą, czyż nie dosyć jej miałem? Dla pani odwa-



żyłem się na wszystko, zdecydowałem się na życie włóczęgokie, na smutny los mój, któremu musiałbym stać czoło, gdyby mnie tamta cała banda poznała. Ale mam już dosyć tego, a zresztą pieniądze się wyczerpują.

— Niema tygodnia, jak dałam panu sto funtów! — powiedziała nieśmiało młoda dziewczyna.

— Ładna historia, sto funtów, kiedy się jest milionerką, jak pani! Przecież musiałem kupić konie, zapłacić mojego towarzysza i dwóch kafrów. Ze stu funtami nie można daleko zajechać, a ja niemało mil już ujechałem?

Miss Anna pochyliła głowę i odparła:

— Jutro przyniosę to, czego pan potrzebuje.

— Nie odrzucę, z pewnością, moja ślicznotko! — powiedział dziwny interlokutor — bo w naszym fachu więcej można liczyć na kułaki, niż na gwinee.

Angielka milczała; mężczyzna złagodniał.

— Zresztą, kpię sobie z pieniędzy pani, pożadam ciebie tylko!

— Alboż nie jestem twoją tylko? Nie przyszedłeś i nie owładnąłeś mną, jak pan niewolnicą? Z brutalnością twoją ukazałeś mi się, jako podpora mojej słabości. Wielkim zostałeś dla mnie wobec małości innych, bo kpisz sobie z głupich przesądów, które więżą instynkty i serce. Nazywają cię bandytą, a dla mnie jesteś bohaterem!.. Inny u nóg moich zebrał o jedno spojrzenie, o jedno słowo. Ty, ty rzuciłeś się na mnie, żeby mnie wziąć bez wahania całą, wspania-



le, jak zwycięzca bierze swoją rzecz, a ja pokochałam cię nawpół ze strachem, bo się ciebie boję!

Nieznajomy słuchał w milczeniu tego namiętnego wyznania, pełnego dziwnej naiwności.

Miss Anna zarzuciła mu ręce na szyję. Odepchnął ją prawie brutalnie, mówiąc:

— Więc chodź ze mną!

— Kiedy będziesz chciał, idę!

— Musisz dzielić ze mną włóczęgę i hańbę, aby dowieść, że mnie kochasz.

Potem nieznajomy dodał z całą szorstkością w głosie:

— Przedewszystkiem życie nasze nie jest równe i sprawiedliwe: ty jesz, kiedyś głodna, śpisz w łóżku, jesteś bogata. Ja jem, kiedy mogę, śpię na macie w wozie, nie mam ani grosza. Przyznaj, że położenie moje wstyd ci przynosi, i gdybyś miała odrobinę serca...

— Czyż nie gotowa jestem dzielić twoje nędze? — szepnęła słodko miss Anna.

— Ładny prezent daje! Miałabyś zresztą dosyć tego po tygodniu i musielibyśmy się rozejść; zresztą daleko mądrzej będzie, jeżeli ty mnie uszczęśliwisz, niż, gdybym ja ciebie unieszczęśliwił. Jesteś bogata, zabierz pieniądze i chodź.

Ta brutalna i ordynarna propozycja nie obraziła siostry baroneta.

Prawdę mówiła; właśnie odrażający charakter tego człowieka zapewnił mu przewagę nad subtelną naturą młodej angielskiej, której romantyczne idee zupełnie w głowie przewróciły. W niepojętym obłędzie, które-



go nie starała się nawet wytłomaczyć sobie, ten kwiat wdzięczny i świeży tęsknił za błotem.

— Dobrze! — powiedziała powoli. — Jutro obrachuję się z bratem i przyjdę.

— Oto, jak cię kocham! — zawołał nieznajomy.

Przyciągnął ją do siebie, miss Anna krzyknęła przerażona.

Jan Vaillant jakby wyrósł z ziemi, stanął przed czułą parą.

— Hopkins! — krzyknął, mierząc w piersi bandyty — łotr! — dodał jeszcze i strzelił.

Strzał padł i obił się echem o wielkie drzewa.

Ale policyant nie został raniony.

Miss Anna odbiła rękę paryżanina.

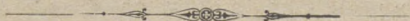
— Nędzniku! — krzyknął ten ostatni — nie ujdiesz mi!

I zmierzył do cienia, który dosięgał już skraju lasu.

Nim zdążył nacisnąć cyngiel, młoda angielfka we łzach, z wyciągniętymi ramionami, błagająca, rzuciła się na lufę rewolweru.

— Kocham go! — jęknęła.

Hopkins zniknął.





## KSIĘGA DRUGA.

## I.

## Ojciec Jeremiasz.

Miasteczko Lydenburg jest środkiem okręgu złotodajnego w Transwaalu.

Srebro znajduje się w okolicy Potchefstroom, kobalt w Middleburgu, nad rzeką Słoni, węgiel kamienny w obszernej kotlinie Heidelberga i Lineburga, a złoto tylko w okręgu de l'Est, Marabastad, Nylstroom, Jamestown etc.

Żyły kruszcu zataczają kręgi koncentryczne wokoło Lydenburga przez wąwozy i doliny, które schodzą po dwóch pochyłościach występu skalistego olbrzymiego łańcucha gór Drakenoberg, które kończą się w Transwaalu zniżającemi się stopniowo rozgałęzieniami.

Najsławniejsze pola złote położone są o jakie czterdzieści mil angielskich na wschód od Lydenburga. Dwa dni trzeba na przebycie tej przestrzeni po drogach niewygodnych, skalistych, stromych i śliskich, na których ledwie trzymają się woły, ciągnące ciężkie wagony; często zachodzi potrzeba utrzymywania wołów



na grubych sznurach, aby nie dać im zwalić się nagle na dno przepaści.

W roku 1880 największe skupienie kopalniane było w Pilgrim's Rest.

Diggerowie, rozproszeni na przestrzeni trzech do czterech mil, przeszukiwali ziemię i łożysko rzeki.

Trzysta, albo czterysta namiotów było rozrzucone na łące, prawie wszystkie ozdobione małymi flagami transwaalskimi, angielskimi, lub amerykańskimi, stosownie do narodowości właściciela. Na pierwszy rzut oka, te białe lub szare trójkąty, porozrzucane pomiędzy dolami i rowami pokopanymi w ziemi, robiły wrażenie bark floty na niespokojnem morzu, którego fale naśladowały wzgórki i kupy złotodajnego piasku.

Ludność Pilgrims Rest składała się przeważnie z dawnych górników Kapu, którzy przyciągnęli do Transwaalu od czasu odkrycia złota w okręgu Lydenburga; bez żalu opuścili oni Kępje dyamentodajną, w której zabrakło tych drogich kamieni, dając w zamian same zawody, aby znowu poszukać szczęścia nad brzegami rzeki Kaap.

W ślad za tymi pierwszymi osadnikami, przybyła pewna liczba burów i kafrów, podnieconych gorączką złota!

Następnie kilku górników australijskich i kalifornijskich osiadło na tej bogatej ziemi Transwaalu.

Taka mieszanina żywiołów tworzyła ludność, pomiędzy którą zepsucie obyczajów wszystkich narodowości bratało się z sobą. Bezwątpienia, że w tej pstrokatą tłuszczy kopaczy, znalazł się niejedyn rozbojnik,



który wolał uciekać do Afryki, niż odpowiadać przed trybunałem w swoim kraju.

Jedni z nich posiadali trochę pieniędzy, potrzebnych do zdobycia pewnej przestrzeni złotodajnego gruntu; inni przyjęli służbę u bogatszych właścicieli, i za codziennem wynagrodzeniem kierowali płóczkarniami lub dozorowali murzynów, którzy, dorabiając koncesjonaryszów, zadawali się płacą jednego franka pięćdziesiąt centimów, licząc w to życie, za dziesięć godzin pracy dziennie.

Pewnej niedzieli sierpniowej 1880 roku, jakieś odstępstwo zmroziło wszelki ruch i życie na obszarze, na którym rozpostarł się Pilgrims Rest.

Kopacze zaprzestają pracy w każdą niedzielę, lecz namioty ich nigdy nie wyglądały tak puste i głuche.

Całe życie tej ludności skupiło się w samym ognisku obozowiska, gdzie sterczał wielki maszt z deską na samym szczycie, na której wymalowano czerwoną farbą butelki i szklanki.

Znak ten tkwił przed budynkiem obszernym, nieledwie eleganckim. W każdym razie trwalszy był niż domy z papy lub z płótna, tworzące miasteczko. Zbudowany z blachy żelaznej galwanizowanej, nieprzemakalnym swym dachem mógł stawić czoło najgwałtowniejszym ulewom i burzom

Słowem, było gmach najokazalszy w Pilgrims Rest, w którym dwa banki, poczta, ratusz, oberże, redakcyje dwóch dzienników, *Gold Feld's Merkurj*, i *Gold Newa*, Alhambra (café concert, bale, teatr, sto-



sownie do okoliczności) i więzienie, były zbudowane z prostych desek, pokrytych żaglowem płótnem.

Dom ten, ze stanowiska interesów handlowych, stał na czele przemysłu miejscowego; ani fabryka wody sodowej, ani dwóch fotografów nie mogli konkurować z *Tawerną Pepity*, uprzywilejowanym miejscem zebrań przedniejszych kopaczy.

Wszystkie stoły były zajęte przez kopaczy o długich zaniedbanych brodach, zrudziałych od słońca, z ramionami obnażonemi i spalonemi, w ubiorach zdartych przy pracy, żółkłych od wody.

Była to szczególniejsza wystawa zbrukanych łachmanów, nadająca wygląd szczególny tym twarzom, pełnym bruzd, szram i sińców od prochu. Niejeden nosił szeroką i długą bliznę, pamiątkę wybuchu dynamitu, służącego do rozsadzania ław kwarcowych i skał, opierających się kilofom i rydlom. Z pod koszul flanelowych, kaftanów z wełny lub skóry, widniały ramiona czarne, muskularne, z żyłami jak postronki.

Przed każdym z kopaczy stała butelka z piwem angielskiem, karafka dżinu i worek płócienny lub skórzany.

Niektórzy z nich wysypali ich zawartość na stoły, na których bryłki wszelkich kształtów i wielkości świeciły płowymi odbłyсками.

Ojciec Jeremiasz, gospodarz tawerny, starzec suchy, kościsty i krzepki, kręcił się pomiędzy stolami, przystając niekiedy przy grających w kości, przychodząc z radą jakiemuś graczowi w karty przytłuszczone, zaflowane, z postrzępionymi rogami.



Mimo pozornej obojętności, zwalniał kroku, przechodząc przed stołami, na których rozłożono bryłki złota większej objętości.

Naraz rozgłośnie hurra podniosło się w sali.

We drzwiach karczmy ukazał się jakiś mężczyzna.

Wesoło pozdrowił licznie zebranych i przywołał kilku kopaczy, przechodzących mimo tawerny.

— Wszyscy tu chodźcie — zawołał. — Dziś wszystko gratis; to ja *Barrington*, ja częstuję!

Weszli nowi goście; zadźwięczały szklanki; dawniej przybyli powstali.

Barrington, jak się sam nazwał, zanim przeszedł do kontuaru, stojącego w głębi obszernej izby, uścisnął co najmniej dwieście rąk.

— Wagę! ojcie Jeremiaszu — zawołał.

Gospodarz z uniżonością zbliżył się do górnika i wy dobył z za kontuaru żądany przedmiot.

Barrington wziął wagę i ustawił ją na stole.

Zrobiło się cicho.

Górnicy otoczyli kołem swego towarzysza; ci, co byli najdalej, powchodzili na stoły i stolki, ażeby nie stracić widoku.

W ten sposób twarze ich opalone górowały nad bliżej stojącymi.

— Więc jesteś zawsze *Barringtonem*? — odezwał się ojciec Jeremiasz.

— Tak, widocznie los mi sprzyja — odparł górnik ocierając wagę.

— Dawniej, przed twojem przybyciem — ciągnął gospodarz tawerny — tytuł *Barrington* (szczęśliwy po-



między szczęśliwymi) nie bywał przyznawany dwukrotnie jednemu i temu samemu górnikowi, bo nikomu się nie powiodło dwa razy z rzędu znaleźć grubą bryłę. Ty, zostałeś dożywotnikiem, jak angielski gubernator.

— Znajdź inne porównanie — burkliwie dorzucił Barrington — ponieważ, nieubliżając moim przyjaciołom anglikom i australijczykom, mówiłem ci już, że jestem francuzem.

— Wiem o tem lepiej, niż ktokolwiek bądź.

— Teraz, dość już gadania! — rzekł kopacz.

Wszystkie głowy się podniosły i oczy szeroko otworzyły.

Barrington, skoro takie miał przezwisko, dobył z kieszeni duży worek skórzany.

Otworzył go; widzowie ujrzeni wydobyłą z niego dużą bryłę, zabarwioną utlenionem żelazem, poprzerzynaną żyłami żelaza magnesowego i kwarcu.

Wielkie „oh!“ wzniosło się ponad tłumem zdziwionym objętością rodzimego złota. Niejedno spojrzenie zapałało pożądliwością; lecz dodać winniśmy na pochwałę kilku rozbójników, zabłąkanych w tem zgromadzeniu, że żadnemu z nich przez myśl by nie przeszło przywłaszczyć sobie szczęśliwego nabytku, ani przemocą, ani podstępem.

Rzeczywiście, górnicy, jakkolwiek skażonych obyczajów, posiadają pewien rodzaj uczciwości, jeden względem drugiego.

Zamordują dla skradzenia kurecziecia, szynki lub złota, przetopionego na pieniądz; lecz w Transwaalu mają cześć najwyższą, cześć religijną i zabobonną, dla



skarbów, wypadkiem lub szczęśliwą pracą stających się własnością jednego z nich.

— Jak się wam podoba? — zapytał Barrington, z uśmiechem spoglądając na ścieśnione koło przy stole.

Bryła przechodziła z rąk do rąk.

Każdy ważył ją na dłoni i krzyżowały się uwagi:

— Zadziwiająca!

— Wolałbym mieć to w kieszeni, niż tyleż ołowiu.

— Byłoby czem zapłacić za<sup>1</sup> budę ojca Jeremiasza.

Ten ostatni trzymał bryłę w kościstych swych palcach.

Wziął nóż, poskrobał każdą płaszczyznę, przytakując głową i mrugając oczyma.

— Grube żyły! — rzekł, kładąc bryłę na wadze.

— O zakład, że piętnaście funtów — odezwał się kopacz.

— Szesnaście! — odparł przy nim stojący.

— Siedmnaście i pół — odpowiedział Jeremiasz, który ustawił piramidę gwichtów na drugiej misce.

Drugie „oh!“ jeszcze głośniejsze od pierwszego wyrwało się ze wszystkich włochatych piersi, wobec tego bogactwa, jakiego wielu poszukiwało przez szereg długich lat, nie napotkawszy go na swojej drodze.

— Słuchajcie, panowie — krzyknął Barrington, — wypróżnijcie całą tawernę na cześć mojej bryły!

— Jednej z największych, jakakiedykolwiek znaleziono! — dodał ojciec Jeremiasz.

Kopacze powrócili do stołów. Górnik, obdarowany przez los, został sam z gospodarzem, przy kontuarze.

Bryła leżała na wadze.



— Ojcie Jeremiaszu — rzekł Barrington — podaj najlepszego *ale*, dwie szklanki i usiądź przy mnie.

Jeremiasz spełnił rozkaz.

Cicha rozmowa zawiązała się pomiędzy dwoma mężczyznami, podczas gdy dwóch kafrów obsługiwało resztę gości.

— Kiedy ją znalazłeś? — zagadnął Jeremiasz.

— Dwie godzin temu, niecałe.

— W granicie?

— Nie! zapomniałem noża w moim dole; poszedłem, i tuż przy nogach, oblepioną grudą ziemi, dostrzegłem tę czerwonawą i sinawą barwę tlenu żelaza. Z ciekawości uderzyłem obcasem w grudę ziemi, wytoczyła się z niej ta oto bryła, i jest.

— Kupię ją od ciebie.

— Za ile?

— Jeszcze ją przeważymy.

— Jak ci się podoba! tylko nie teraz. W tej chwili chcę z tobą poważnie pomówić.

— Słucham.

— Czy możesz mi powiedzieć, jak jestem widziany przez górników?

Ojciec Jeremiasz utkwiał w gościu szare swoje oczki i odpowiedział:

— Ba! szanują cię jak *Old Nicka* dyabła we własnej osobie.

— Tem lepiej!

— Rozumie się, bo żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, żeby cię okraść.<sup>§</sup> Możesz zostawić swoje złoto w otwartym namiocie; będzie tam bezpieczne. To-



warzysze mają cię za jakiegoś czarownika, który wszedł w przymierze z piekłem, a przyznaj sam, że zasługujesz na taką opinię.

Barrington uśmiechnął się, oberżysta mówił w dalszym ciągu:

— Przybyłeś tu, nabyłeś na własność szmat ziemi, którego nikt nie chciał, bo go miano za wyczerpany od dawna, gdyż poprzedni jego właściciele nie tam nie znaleźli, grzebiąc od końca do końca, a ty znajdujesz skarb, za który wszystkich możesz zakupić: dziś jesteś, po kilku miesiącach pracy, wszak tak? najbogatszym z górników w Pilgrims Rest. Masz znaczne oszczędności, sprzedasz swój kawał, za co będziesz chciał: więcej nie potrzeba, ażeby ci biedacy szanowali cię i bali się ciebie.

Barrington słuchał z uwagą, podparłszy brodę obu rękami.

Kiedy ojciec Jeremiasz umilkł, on zamyślił się na chwilę.

Nareszcie, zniżając głos, aby nie być słyszany od sąsiadów, pochylił się do ucha gospodarza, ażeby każde słowo nie zostało stracone pomimo śpiewów, krzyku i łomotu, napętniającego izbę, i zapytał:

— Czy sądzisz, że w danej chwili wszyscy ci ludzie pójda za moim głosem?

Gospodarz obejrzał się nagle, jakby w obawie, by jakiś ciekawy nie podchwycił tego pytania. Ogromne zdumienie odmalowało się na jego twarzy, i z kolei zapytał:

— To ty Bur jesteś?



— Dlaczego?

— Bo spiskujesz.

— Nie! tylko nie cierpię anglików.

— Ja także! — rzekł Jeremiasz, w milczeniu uściśnawszy rękę Barringtona!

— Zatem będziesz po naszej stronie, gdy przyjdzie stanowcza chwila?

Starzec potrząsnął głową.

— Odmawiasz? — zapytał górnik.

— Nie, ale nie mieszam się do tego.

— Więc boisz się?

— Bur nie zna, co to strach!

— Jakież masz powody, żeby nie przystać do swoich rodaków?

— Bo przybywam z Zululandu i...

— J co?

— Znam żołnierzy angielskich i napatrzyłem się ich sprawek.

— Przeciwno dzikim — pogardliwie rzekł Barrington.

— Przeciwno dzikim, którzy są najdzielniejszymi żołnierzami w świecie.

Jeremiasz przerwał, podczas gdy górnik wychylał szklankę. Następnie dodał z widocznym zniechęceniem:

— Zulusi zostali zwyciężeni.

Barrington odparł:

— Zulusi nie mieli broni.

— Mylisz się! Czyż Europa nie rozsprzedała ogromnej liczby fuzy po całej Afryce południowej? Anglia, dla pomnożenia swoich dochodów, czy nie zostawiła



handlującym bronią palną swobody sprzedaży, przede wszystkim na Polach Dyamentowych? Tym sposobem Zulusi mogli sobie zdobyć blisko trzysta tysięcy strzelb.

I karczmarz, tonem przestrogi, dodał:

— Rządy kupieckie mocno są niedorzeczne. Dla zdobycia pieniędzy wszelkimi sposobami, Anglia daje swobodę kupującym bronią palną i tym sposobem ułatwia potrójną walkę, Zulusów, Basutosów i Kafrów z anglikami. Pierwsza kosztowała zdobywców przeszło 130 milionów \*). Koszta wojenne w Criquelandzie wynoszą około 7 milionów; co się zaś tyczy walki z Kafraami, ta kosztowała 12,196,550 franków. Oto są rezultaty zasad kupiectwa, służących za podkład zasadam cywilizacyi i sprawiedliwości.

— Jedna więcej racya, ażeby nie znosić takiego rządu — odezwał się Barrington.

Lecz starzec znowu potrząsnął głową:

— Jestem nie dzisiaj — rzekł — na nieszczęście, dużo widziałem, a ztąd mogę osądzić, że wojna więcej kosztuje zwyciężonych niż zwycięzców. Anglicy, na swoje dzieła rzekomo humanitarne, wydali 80 milionów blisko. Lecz, ażeby utwierdzić swoje panowanie, zmasakrowali dwadzieścia tysięcy negrów, z ziemią zrównali pięć tysięcy szalasów, wyrznęli sto tysięcy sztuk bydła.

W naszej walce Burów, przeciwko wodzowi Sekokuni, Anglicy zarzucali nam, używanie środków zanadto

---

\*) Cyfry te zaczerpnięto z notatek o wojnie Zululandzkiej, przez Juljusza Gourdault.



barbarzyńskich. Oni, do osaczenia plemienia Sekokuni, wypuścili na nich horde z dziesięciu tysięcy murzynów najdzikszych i najzjadlejszych. My źle robiliśmy, bo my; a oni robili dobrze. My byliśmy dzikimi; oni to są pionierowie cywilizacyi i postępu.

— W dniu, w którym powstaniemy — zaczął kopać, lecz tamten mu przerwał.

— Sza! młodzieńcze; są tu szpiegowie angielscy, a kiedy się posiada dobry kawałek ziemi, nie godzi się go opuszczać dla pójścia do więzienia.

Starzec wypowiedział to zdanie tonem uroczystym, patrząc na tłum górników, których krzykliwe rozmowy mieszały się z pijackimi piosenkami.

— Ale Burowie są gotowi! — z energją mruknął Barrington.

— I Cettiwayo także! — odrzekł Jeremiasz.

— Uzbrojeni.

— Cettiwayo również rozdał pomiędzy swoją armię fuzye europejskie.

— Wszyscy jesteśmy pełni zapału i nienawiści.

— Tak samo jak Zulusi.

— Burowie są pochodzenia sławnego i wojowniczego.

— Słowo w słowo jak poddani Cettiwayo, którzy brzydzą się anglikami.

— Anglicy pogwałcili względem nas, wszelkie prawa boskie i ludzkie!

— A czy sądzisz — zagadnął Jeremiasz — że sąsiedzi nasi z Zululandu nie mają równych przyczyn nienawidzenia jarzma angielskiego?



— Być może!

— Biedne mózgownice — ciągnął starzec, nie zważając na ironiczny nacisk, jaki dał Barrington ostatnim swoim słowem. — Biedne wasze mózgownice francuskie! Marzycie i te wasze marzenia bierzecie za rzeczywistość. Ja także, kiedy byłem młody, miałem te porywy i zapędy, których z czasem całą czczość poznałem. Czyli że doświadczenie ostudziło te sercowe zapędy. Jestem dziś mądry, jak dawniej nierozsądnym byłem; zależy od temperamentu! Dwadzieścia lat temu widziałem przyszłość w barwach złotych i różowych; dziś kiedy młodzież mi mówi o swoich pięknych zamiarach, snach patryotycznych, cofam się myślą wstecz i przyszłość widzę nie różową... lecz czerwoną od krwi.

Głos oberżysty stał się przyćmiony; słowa brzmiały głucho, jakgdyby stary Bur, rozczarowany, znużony walką, przepojony goryczą, mówił nie do człowieka, obok siedzącego, lecz do tego, który był w nim samym, przed laty. To był Jeremiasz postarzały i pesymistyczny, przemawiający do Jeremiasza dawnego, młodego, zapalczywego, gotowego do wszelkich ofiar i wierzącego w przyszłość.

Naraz pięścią w stół uderzył i mówił ostrzejszym tonem:

— Szaleniec ze mnie, że opowiadam o czasach, o których nie możecie mieć pojęcia, wy młodzieńcy szlachetnej krwi. Opowiem wam wczorajsze dzieje; one są bliższe was i nie posądzicie mnie o umyślne malowanie faktów ciemnymi barwami, ażeby was odstraszać. Pod koniec przeszłego roku jeszcze mnie tu nie było;



zamiast pędzić życie próżniacze i robić majątek, prowadząc wszystkie moje dzisiejsze rzemiosła, byłem bogatym fermierem jak Jouberty i du Plessis. Gdyby nie Anglicy, nie porzuciłbym nigdy moich gruntów, które wykarczowałem i obsiałem własnymi rękami, nigdybym nie posprzedawał stad bydła i koni, ażeby kupić tę karcznię i nalewać wam szklance, ażeby osiedlić się pośród tych kretowisk ludzkich i skupować wasze złoto po cenie możliwie najniższej dla odprzedawania go z olbrzymim zyskiem kompaniom angielskim, które jeszcze bardziej by was okradały, niż ja.

Barringtonie, opowiadałem ci o Zulusach, bo byłem tuż blisko nich, u nich samych, stąd ocenić ich i napatrzeć się im mogłem. Ty wiesz, że oni tak samo nie cierpią Burów, jak Anglików; myśmy zdobyli część ich terytorium; Anglia zabrała im resztę. To też, nie będąc czarownikiem, z łatwością odgadłem, że z dniem, w którym rząd brytański zagarnie nam naszą Republikę, Zulusi wywrą na nas dawną swoją nienawiść, jako na jedynym wrogu, jakiego będą mieli przed sobą.

Kiedy Cettiwayo zażądał od sir Bartle Frèze zwrotu okręgu, w którym byłem osiedlony z licznymi moimi rodakami, zrozumiałem, że pierwsze to wymaganie zapowiadało nieunikniony zatarg. Kiedy sir Bartle Frèze, przejęty zasadami sumiennego gentlemana, ustanowił komisję dla zbadania słuszności tego dochodzenia prawnego, wzruszyłem ramionami, bo to było odsadzenie się dla wykonania lepszego skoku. Kiedy ta komisya, powodująca się poczuciem sprawiedliwości, być



może w połączeniu z uczuciem strachu, osądziła żądanie Cettiwaya za dobrze ugruntowane, zrozumiałem, że już po nas, Burach, osiadłych w okręgu spornym. Ośmdziesiąt rodzin powróciło do Transwaalu wraz ze swojemi trzodami, skoro tylko gubernator angielski zawiadomił nas, że król zuluski staje się naszym panem i że winniśmy mu posłuszeństwo, jako i płacenie podatków. Dobrze mieli natchnienie ci, którzy w porę opuścili terytoryum sporne. Dzikie hordy rzuciły się na ten okrąg. Dopuszczono się wszelkich okrucieństw i szkarady; mężczyźni, kobiety, pomordowani, dzieci pomasakrowane, domy popalone, pola spustoszone, trzody pokradzione.

Przez długie dnie a dłuższe jeszcze noce, przenośiłem cierpienia nadludzkie. Biedna moja żona umarła z tego. Sam jeden, zawziętem się, aby nie opuszczać ziemi, na której się urodziłem, wyrosłem, którą uprawiałem własnemi rękami.

Wieczorem czerwone błyskawice zakrwawiały widnokrąg, domy i lasy stały w płomieniach. W dzień słychać było krzyki przerażenia i jęki konania, zakłócające ciszę olbrzymich przestrzeni! Ani wiek, ani płęć, ani kolor skóry, nie uchroniły żadnego z naszych sąsiadów przed dziką nienawiścią bandytów Cettiwaya. W tej bezlitosnej jatce prawie że jeden zostałem zapomniany.

Jeremiasz na wspomnienie tej bolesnej epoki, której cierpienia tak jeszcze żywo tkwiły w jego umyśle, zwiesił głowę, pobieloną latami, spaloną słońcem i poraną cierpieniem.



Na odpoczynek, wychylił szklanke, jakby dla dodania sobie odwagi w odmalowywaniu takich grobowych obrazów.

Znowu zaczął:

— Wtedy to osądziłem anglików i przekonałem się, czego oni warci; ażeby nas osłonić, ci zacni bohaterowie albionscy, ażeby koniec położyć tym łotrostwom, oni, rzekomi krzewiciele cywilizacyi, nie znaleźli ani jednej fuzyi, ani jednej gwinei dla powstrzymania dzikich tych hord. Na granicy postawili z wojskiem tego, którego zwano białym królem Zulusów, pana Shlepstone.

Wypędzono go, a bandy Cettiwayo przebyły rzekę Jugela i wyrznęły czarnych poddanych jej królewskiej mości, królowej Wiktorji.

Anglicy, tacy drażliwi na punkcie swoich rodaków w Europie, pozwolili wyróżnić swoich protegowanych afrykańskich; mnie serce z bólu pękało i postanowiłem uciekać z tego kraju przeklętego, ażeby osiąść tutaj.

— Odtąd — rzekł Barrington — wiem prawie wszystko, co się tu działo.

— Tak — podjął karczmarz ze smutkiem — wiesz z gazet angielskich, z kłamliwych lub przerobionych raportów działaczy lub generałów Wielkiej Brytanii. Jak było naprawdę, powiem wam ja, dla zbudowania waszego osobistego w chwili, kiedy macie zamiar rzucić się z zamkniętymi oczyma w spisek bezrozumny. Zulusi i anglicy mordowali z rodzajem wściekłej furji: widocznie krew rozbestia zarówno dzikich jak cywilizowanych. W chwili kiedy rząd brytański wysyłał sławne



swoje ultimatum do Cettiwayo, nakazując mu zaprzestanie mordstw arbitralnych, zadosyćuczynienie za rabunki i rzezie, wydanie bandyty Umbelliniego, organizację sądów i systemu militarnego, przyjęcie rezydenta angielskiego w Ulundi, ci sami Anglicy, twórcy pokoju, apostołowie biblii, wycinali w pień ludzi, zagarniali ziemię, które do nich nie należały, i radowali się wśród rzezi i rabunku, gdyż widzieli w tem pretekst rozciągnięcia swego protektoratu. Ta komedia wypływała z poglądu wszystkich dzienników londyńskich: że Bur, chłop, jak nas przewalali z pogardą, nie powinien mieć prawa osiedlania się nad brzegami morza — jeszcze mniej niż zulus, murzyn.

Wolniej daleko, jak gdyby z trudnością przypominając sobie szczegóły walki niedawnej, Jeremiasz mówił dalej:

— Ah! narzekacie, iż słyszycie ciągle moje gderanie, że przeczę wszystkim waszym szalonym nadziejom, że zimną wodę leje na wasz piękny zapal! A to dlatego, iż widziałem naród, wsparty na Biblii, osłonięty sztandarem postępu, ażeby jego instynkty handlarskie większą korzyść odnosiły, pozwalający swoim żołnierzom zulusom, porywać z terytoryów, będących pod protektorem angielskim kobiety, które ciż zulusi dusili następnie.

A to dlatego, że widziałem generała, głównodowodzącego, lorda Chelmsford, który dał dzikiemu Cettiwayo trzydzieści dni zwłoki po wysłaniu ultimatum, ażeby tenże miał czas przygotować opór i usprawiedliwić walkę i wkroczenie zbrojne Anglików.



Starzec skupił się w sobie, podczas kiedy jego audytorjum zażądało od negra drugiej butelki *ale*.

— Walka ta — ciągnął Jeremiasz — była dłuższą, zajadlejszą, niż anglicy myśleli. Było wtedy w Natalu 6,000 piechoty, 1,200 jazdy, 20 armat i 9,000 żołnierzy krajowców, z których 1,200 Basutów uzbrojonych i 7,800 Kafirów ze wszystkich plemion.

Otóż plan głównodowodzącego angielskiego był następujący: pułki, które nie były przeznaczone do strzeżenia miast zajętych i linii komunikacyjnych, wejdą do Zululandu trzema różnymi punktami, i trzy te kolumny połączą się, ażeby wydać stanowczą bitwę pod Ulundi.

Atakować Cettiwayo z nielicznymi siłami było to wystawić wszystkich osadników europejskich Afryki południowej na najstraszniejszy odwet krajowców.

Od wielu lat w Transwaalu, Natalu i w Stanie Orania ludność żyła w wielkim niepokoju wobec sił zbrojnych Zululandu, gdzie sto tysięcy wojowników, wyćwiczonych przez Chaka, mogło fatalnie zwyciężyć 20,000 *simlungu* (białych), składających całą ludność osadniczą Natalu.

Oberżysta opowiedział wtedy zasłuchanemu górnikowi obawy mieszkańców, zagrożonych wyrżnięciem bezlitosnem przez chmary negrów krwiożerczych. Pozostawało tylko zamknąć się w fortecach lub schronić na okręty wojenne.

Była to dla wszystkich ruina, lub śmierć.

Rzeczywiście pewnem było, że na pierwszą wieść zwycięstwa, odniesionego nad armią angielską przez Cettiwayo, wszystkie plemiona krajowców rzuca się



jak przyptyw morski na osadników obcych. Anzako-  
zasi, chciwi zawsze bitew i wolności, Basutosi zawsze  
nieujarzmieni i zaledwie powstrzymywani przez ferme-  
rów holenderskich, skorzystaliby z okazji dla przywłasz-  
czenia sobie ziemi, użyzniętych pracą i kapitałami euro-  
pejczyków. Bunt Zulusów mógłby, jak plama z oliwy,  
rozciągnąć się na całą Afrykę południową, przez nie-  
dbalstwo, nieopatrność Anglii, która nie potrafiła stłu-  
mić rokoszu odrazu i nie pomyślała o ufortyfikowaniu  
się o tyle, ażeby uczynić niemożliwymi wszelkie po-  
kusy buntu ze strony plemion dzikich.

Chodziło o zadanie ciosu ostatecznego, steroryzo-  
wanie plemion, których nie umiano przywiązać do siebie.

Chodziło o stłumienie płomienia, o którym dotąd  
nie wiedziano lub podtrzymywano go z umysłu.

— Brat mój zginął w tej wyprawie — rzekł Jere-  
miasz ze łzami w głosie — syn jego, który mu towarzy-  
szył, uniknął śmierci szczęśliwie. Od niego mam te  
szczegóły. Jeżeli nie mam zaufania do spisków, które  
knują się przeciw Anglii, to dlatego, że wojsko jej po-  
trafiło dać radę oporowi i nienawiści daleko silniejszej  
niż opór i nienawiść nasza.

— Mówisz, jak anglik, ojeze Jeremiaszu — przerwał  
digger.

— Mówię, co myślę, młodzieńcze, wiem bowiem,  
o czem ty nie wiesz. Pozwól mi mówić i słuchaj: do-  
wiesz się, i ty potem będziesz mówił, jeżeli znajdziesz  
co do powiedzenia.

W krótkości i jasno, ze ścisłością, o jaką nie moż-  
na było posądzać na pierwsze wejście nieucywiliizo-



wanego bura, skreślił główne wypadki wojenne, które odznaczyły tę kompanię morderczą, a w której anglicy pokazali się nie mniej dzikimi, niż ich czarni przeciwnicy. Znajdujemy rozpoczęcie tej wojny, streszczone przez jednego z pisarzy niemieckich:

„Wodzowie każdego oddziału przekroczyli granicę, jak następuje: generał brygady Pearson przeszedł Tugelę powyżej Sower; pułkownik Ylyn przeszedł Buffalo w pobliżu Borke; generał Wood, Blord-River (rzekę krwawą) na wschód Utrechtu, z misją osłonięcia jednocześnie południo-wschodu Transwaalu, przed najściem nieprzyjaciela.

„Czwarta kolumna, pod wodzą porucznika Russel, miała polecenie połączenia trzech poprzedzających.

„Trzydzieści dni zwłoki upłynęły a Cettiwayo nie dał odpowiedzi. Termin skończył się 10-go stycznia.

„Ultimatum tedy faktycznie zostało odepchniętem pozostało tylko uchwycić za broń.

„Od początku maja, odkąd zaczyna się pora zimna i sucha, stało się możebnem spalenie wielkich traw, pokrywających nagi okręg Zululandu. Przez pożar tych rozległych okolic nieprzyjaciel mógł uczynić niepodobnym transport żywności, amunicyi, operacyę w każdym razie trudną w kraju, gdzie dróg niema. Ztąd dla anglików konieczność wyruszenia szybko w pochód, tem więcej, że kilka dni później woły, które jedynie służą tam jako zwierzęta pociągowe, nie znalazłyby już pożywienia. Wtedy nikt jeszcze w obozie angielskim nie pomyślał o użyciu ludzi do przenoszenia bagaży, czemu później sir Gornet Wolseley dał początek.



„Dla tych powodów życzone sobie bardzo w sztabie głównym angielskim, ażeby przed końcem maja być w posiadaniu miasta Ulundi“.

Powoli ustawał w karczmie odgłos śpiewów i brzęk szklanek. Ojciec Jeremiasz głosem powolnym i starym, ciągnął swoje opowiadanie.

Oparł się łokciem na stole i palcem kościstym podkreślał niejako niektóre zdania.

Obecnie utworzyło się przy nim koło, setka górników słuchała tego kazania improwizowanego.

Słuchano z rodzajem gorączkowej uwagi, gdyż każdy czuł, że wojna w Zululandzie, zaledwie ukończona, była tylko wstępem do wojny poważniejszej, jaka tłała od trzech lat. Najmniejsza iskra — (wszyscy diggerzy to przeczuwali) — podłoży ogień pod prochy.

— Było to 11-go stycznia, kiedy kroki nieprzyjacielskie się rozpoczęły — mówił karczmarz. — Pierwsza kolumna generała Pearson liczyła 1,500 piechoty, kompanię inżynierów lądowej, dwie armaty, 200 marynarzy z trzema działami Gottlinga, 400 kawaleryi i 2,000 krajowców. Druga kolumna porucznika Russel liczyła 3,000 krajowców, 200 oficerów europejskich, dwie baterie i 250 kawaleryi krajowców. Ta kolumna towarzyszyła głównodowodzącemu lordowi Chelmsford.

Czwarty korpus, którego zadaniem było osłaniać granicę Transwaalu, wspierając się o Utrecht i Blood-River, składał się z dwóch pułków piechoty (13-go i 19-go), sześciu armat, z oddziału lekkiej kawaleryi, zawierającego 2,000 białych, dobrze zaaklimatyzowa-



nych i silnych, którzy byli przyłączeni do oddziału krajowców.

— Widzisz, młodzieńcze—ciągnął starzec—że Anglicy mieli żołnierzy, armaty i szanse ukończenia prędko z powstaniem dzikich. Lecz, ze swej strony siły Zululandu były znaczne a Cettiwayo miał wyższość znaczną liczby; sądzę, że dziś, gdyby przez głowę Burów przeszła fantastyczna myśl, zgromadziliby z trudnością dziesiątą część wojsk, jakie Zulusi postawili na przeciw armii brytańskiej.

Mielibyśmy zatem dziesięć razy mniej szansy, niż miał jej Cettiwayo, a jednak koniec końcem... Lecz ciągnę dalej moje opowiadanie.

Kraal króla Cettiwayo zwieszał się na szczycie góry. Droga była ciężka, lecz, co chcecie, zaczyna się bicie z armat, strzelanina zawzięta i dobrze utrzymana; krajowcy i Anglicy wdrapują się biegiem pod strzałami, wzdłuż doliny, i wchodzą do kraalu. Syn króla nie zdołał uciec na czas i został zabity. Podpalono obóz i zabrano pięćset wołów.

Było to już coś, lecz trudności dopiero się rozpoczęły.

Zależało na tem, żeby skorzystać z pierwszego powodzenia dla zapuszczenia się w głąb kraju. Angielscy żołnierze wydają się jak gdyby mieli płaskie nogi w swoich butach bez obcasów; to też trzeba im, ażeby stać mogli, gruntu twardego i gładkiego.

A potem, trzeba jeść codzien, a że trudno jest znaleźć podczas kampanii, trzeba zatem jedzenie zabrać z sobą.



Tu mieli wyższość Zulusi, którzy nie potrzebują co chwila sadzać nosa w *pudding* lub w *glass of brandy*.

Było zatem więcej wozów i wołów za piętami anglików, niż anglików za piętami Zulusów. A w dodatku drogi nie były wygodne; były to raz przepaście bezdenne, po nad którymi trzeba było czepiać się jak koty; to znów wielkie zarośle eukalyptusów olbrzymich, mimozy nieprzebytej, kaktusów kolących. Trzeba było ślizgać się spodem jak węże, lub przebijać drogę toporem, nieuważając, że to kole.

Innym razem były jeszcze ogromne złamy skał, które bogowie Cettiwayo jak gdyby umyślnie postaczali, ażeby dokuczyć anglikom.

To wcale nie było zabawnem, gdy należało oczyścić drogę najpierw i pchać silnie koła, ażeby przeszły wozy transportowe.

Było to męczące, przedewszystkiem kiedy wozy grzęzły do osi, a woły aż do piersi w błocie.

Ah! musieli być czyści oficerowie tak dobrze zawsze wyszuwaksowani i upomadowani, jakich rząd jej królewskiej mości, królowej Wiktoryi, wysłał, żeby się bawili na tej wyspie dyabelskiej! Musieli zużyć ogromną ilość ubrania i bielizny. Na szczęście mieli tego jeszcze dużo, wraz z brzytwami, na zmianę, namiotami, sucharami, mąką i całym bagażem na swoich wozach.

Ah! moi biedni młodzieńcy, bylibyście dostatecznie pomszczeni, gdybyście byli widzieli waszych nieprzyjaciół anglików w tem błocie!

Byłto pochód, na który patrząc, można było pęknąć ze śmiechu.



Można było sądzić, że pułkownik Glyn idzie zaopatrzyć w żywność Londyn albo Paryż; na każdym wozie było 6,000 funtów sucharów, racye dla tysiąca ludzi na sześć dni, nie biorąc w rachubę, że dużo wozów pełnych było mąki i całych sztuk materyałów. (Nie mogłem nigdy zrozumieć potrzeby tylu sztuk materyałów; może na prezenty przeznaczone dla utrzymania przyjaźni z negrami). Z całym tym przyborem trzeba było przebiec przestrzeń stu pięćdziesięciu mil, w kraju niemożliwym, gdzie najwyżej piętnaście mil dziennie zrobić było można. Podczas gdy generał Glyn nie na różach spoczywał, trzeci korpus ciężko torował sobie drogę tam, gdzie nie chciałbym stąpać bosą nogą, z powodu kamieni spiczastych. Droga ta prowadziła na dół z góry Insandlwana, gdzie rozłożono obóz, a niewinni Anglicy zapomnieli otoczyć go fosami. (Wiem, że trudno myśleć o wszystkim, lecz przynajmniej trzeba pomyśleć, kiedy staje się obozem, żeby zabezpieczyć go od niespodzianej napaści).

Obóz ten rozłożono tak lekkomyślnie 20-go. Anglicy jedną tylko rzecz robią dobrze: golą brody. Podczas wojny to nie wystarcza.

Cettiwayo podjął się dowieść im tego.

Ten dziki, który nie był tak głupim, jak się wydawał, znał doskonale cały plan ataku oficerów angielskich; a że sam nie miał żadnego, trudno było, żeby wojska angielskie o nim się dowiedziały.

Ułożył sobie w swoim murzyńskim rozumie, że najlepiej zrobi, naśladowując swoich nieprzyjaciół.



Tak, jak oni, rozdzielił swoją armię na trzy *impis*. Najsilniejsza składała się z najokrutniejszych żołnierzy zulusów; byli to: 10,000 *Undi* z gwardyi; następnie pułk królewski *Fulwana* i *Nkoba Makosi*. Te dwa ostatnie pułki, były, rzec można, podniętą armii. Nigdy nie mogły się porozumieć, korzystały z pierwszego słowa, żeby rzucić się naprzód i odznaczyć się.

Razem z *Nikenke* i *Umlangos*, dwoma pułkami, świeżo sformowanymi przez *Cettiwayo*, stanowiło to dwadzieścia tysięcy wojowników, do których dodać trzeba 10,000 *Umcitayu*, nie licząc w to *Uve*, *Umbanambt* i *Nodwengu*.

Nie łatwo dać radę takim zuchom, silnie zbudowanym i przyzwyczajonym do marszu od czterdziestu do pięćdziesięciu mil dziennie.

W dodatku ci dzicy, zamiast wlec za sobą wozy, kazali nieść wszystko, czego potrzebowali, swoim żonom, i w ten sposób łączyli przyjemność z pożytkiem, a podczas kampanii mieli to, co mieli na łonie rodziny.

W gruncie rzeczy, choć mam im do zarzucenia brak delikatności niekiedy, Zulusi są stanowczo ludźmi, których poważam; gdyby tu przyszli, dałbym im beczkę piwa na kredyt, czego bym nie uczynił dla gubernatora angielskiego.

Ojciec Jeremiasz zrobił tak pogardliwą minę, pod adresem urzędników Wielkiej Brytanii, że odezwały się niejake protestacye pomiędzy górnikami z południa.

— Kiedy mówię o Anglii — podjął karczmarz dla olzyskania sympatyj swoich słuchaczy — nie mówię



o górnikach: to są bracia. Nie więcej oni anglicy, niż ja sam, ponieważ rząd ich wyzyskuje niegodnie i...

Oberżysta, który dał się w końcu unieść uczuciom długo powstrzymywanym zatrzymał się w środku zdania, rzucił dokoła nieufnem spojrzeniem, jak gdyby obawiał się obecności szpiegów lub agentów policyjnych.

Podjął na nowo głosem o wiele spokojniejszym:

— Zacząłem prawie głupstwa, a lepiej, żebym ciągnął moją historję: o czem to ja mówiłem? Ah! tak: otóż Zulusi to brzydkie bydło, lecz także są oni twarzym do zgryzienia orzechem. Ażeby żyć, zadawała się rzeczami, jakich my nie wzięlibyśmy do gęby; do spania wystarcza im mata; a jaka to mata, moi przyjaciele! Do przebycia rzeki jedną znają drogę. Rzucają się z krzykiem do wody. Wydania potyczki także bardzo proste. Ustawiają się w długi czworobok, którego końce zakrzywiają się jak szpony jastrzębia, otaczają nieprzyjaciela podczas kiedy środek atakuje z frontu. To król Chaka nauczył ich tego sposobu wojowania, jaki wart jest tyle, co każdy inny, i jaki ma tę korzyść, że nie wymaga od wodza wielkiego namysłu.

Otóż w nocy z 21-go na 22-go stycznia przeszło siedm tysięcy Umnyamanas wślizgnęło się bez szelestu i ognia, jak złodzieje z pogaszonemi latarniami, na szczyt góry Nguto. Te szatany zauważyli, że rano 21-go, Englishmeny przybyli do stóp Isandlwana, żeby rozłożyć się obozem; a pulki te, pod rozkazami majora Darkwell i komendanta Lonsdale, zamiast połączyć się przed nocą z główną armią, popełniły nieostrożność



i pozostały, żeby się przespać pod gołym niebem w pobliżu kraalu wodza Matyana: przyznacie sami, że to wcale nierozumnie. To też Umnyamanasi otoczyli ich pociechu; kiedy obejrzano się, że dokoła są te dyabły czarne, była druga godzina rano. Wysłano sztafetę z żądaniem posiłków od lorda Chlemsford; ten stanął na czele kolumny o wpół do piątej, aby oswobodzić swoich oficerów, których wpakował w to niemiłe położenie, lecz kiedy pomoc przysłała na miejsce wskazane, wszystko znikło: ani dymu, ani popiołu.

Patrząc jednak dobrze przy blasku słońca wschodzącego, spostrzeżono w końcu, iż uformowało się coś nakształt pagórka obok Isandlwana. Były to tysiące trupów ludzi, koni i wołów; namioty poszarpane, wozy połamane, worki zboża poprute, paki z amunicją wypróżnione: Zulusi nie stracili czasu.

Jak chmura szarańczy, czarną zwałą stoczyli się z wierchołków gór; wpadli na obóz w którym była setka oficerów i 1,200 żołnierzy z 2-ma armatami: na 800 metrów odległości od namiotów, prawe skrzydło Zulusów rozpoczęło ogień, podczas kiedy środek i skrzydło lewe zbliżało się, jak trąba powietrzna ze wschodu i północy, masakrując wszystko przed sobą.

Zawiązała się straszna walka!

Anglikom nie przyszło do głowy uczynić z wozów barykad, po za którymi mogliby bronić się aż do nadejścia posiłków.

Ponieważ pozycja była otwarta, dwa tysiące czarnych wpadło jak fale potoku.



Straszna to była walka, walka pierś przy piersi; kule i sagaje świszcząły; wycie pokrywało hałas bitwy; był to krzyk chórem powtarzany:

— Amoya! (To tylko wiatr!)

Rzeczywiście ogień, regularnie utrzymany z armat i broni pułków angielskich, robił zaledwie na wojsku Zulusów wrażenie burzy, przechodzącej po nad łanem zboża. Kłosa tylko uginały się, lecz powstawały natchmiast, prostsze, sztywniejsze jeszcze.

Zbrakło amunicji walczącym anglikom; trzeba było iść po nią do wozów; w tej chwili spostrzeżono, że obóz był otoczony przez 4,000 ludzi, tworzących prawe skrzydło armii Cettiwayo.

Wycie i krzyk dzikich ogłuszały żołnierzy Wielkiej Brytanii; zrobiło się wstrętne zamieszanie; rozpoczęła się rzeź okrutna, dzika, niczem niewypowiedziana...

Anglicy bronili się bohatersko (możemy oddać sprawiedliwość naszym nieprzyjaciółom, przedewszystkiem, po ich śmierci).

Z bagnietem, natkniętem na fuzycy, nieruchomi, jak w ziemię wrosli, stanowili tamę ludzką, przeciw morzu ludzkiemu; fale zniosły w końcu tamę; każdy anglik padł na miejscu, na którym walczył; trupy leżały równą linią.

Jeden oddział próbował przebić się na drogę do Rokhe's Drift: padł cały o kilka metrów od głównego ogniska walki; drugiemu udało się wydostać na wzgórze, gdzie cały został w pień wycięty. Kawalerya Basutosów uciekła aż do Buffalo i przepadła w nurtach rzeki.



Trzy tysiące Zulusów pozostało żywych na placu boju. Tylko 40 białych uniknęło rzezi, która trwała dwie godziny a zaczęła się w południe; rannych dobito na miejscu, ani jednego nie oszczędzono.

Dżyn to ocalił kraj, zwycięzcy bowiem tak wielką ilość znaleźli tegoż na wozach, iż oddali się orgii najstraszniejszej, i, zamiast korzystać ze zwycięstwa, rozsykali się i powrócili do swoich kraalów.

Jeden tylko oddział, oddział *Undi* z gwardyi królewskiej, dotarł aż do Rokhe's Drift, gdzie czterystu ludzi garnizonu, pod dowództwem porucznika inżynierii Charda, zabarykadowało się wozami i workami, po za fosą, wykopaną naprędce.

Całe dwanaście godzin, to jest noc całą, aż do czwartej godziny rano, cztery tysiące Zulusów wściekle szturmowało do tego okopu; przez te dwanaście godzin Anglicy opierali się, gromadząc kupy trupów nieprzyjacielskich u stóp barykad, o które wojsko Cettiwayo rozbijało się z wyciem dzikiem.

Było to wspaniałe, jak w starożytnych bojach. Naraz pożar objął część okopu, gdzie znajdowali się ranni Anglicy.

Czterech ludzi z bagnetami w rękach strzegło przystępu do tego ambulansu, podczas kiedy wnoszono z niego chorych.

Niewzruszeni, spokojni, stali tam, nie poruszając się, chyba dla utopienia broni w piersi negrów, którzy byli o tyle zuchwali, aby chwytać rękami za lufy karabinów.



Skoro ostatni ranny został ocalony, czterej bohaterowie cofnęli się i skryli za barykadę prowizoryczną z pak i piasku.

Trzysta pięćdziesiąt trupów leżało na kupie przed barykadą; o świetle szturmujący znikli po za górami.

(Anglicy w tym dniu dowiedli, do jakiego szczytu potrafią doprowadzić odwagę osobistą).

— I — dodał Jeremiasz z rozpaczą — wspominając na te walki, przychodzi mi na myśl wątpić o wyniku walki, o jakiej nie jeden Bur marzy.

Milczał długo, potem ciągnął, widząc wzrastającą uwagę słuchaczy:

— Lord Chelmsford przyszedł zdjąć blokadę ze swego odważnego małego oddziału, który stracił tylko siedmnastu zabitych; dziesięciu było rannych.

*Undi* cofnęli się ku *Ulundi*.

Kiedy pułk Fulwana pokazał się w kraalu królewskim, Cettiwayo zapytał:

— Gdzie są inni?

Stary wódz odpowiedział:

— Tam!

I palcem wskazywał w kierunku Isandlwan i Rokhe's Drift.

Drudzy leżeli w wysokich trawach dokoła okopów angielskich.

Jednego wieczoru król Zululandu zapytał:

— Co wiatr do nas niesie?

— Ostrą woń krwi! — odparł jeden z jego otoczenia.



— Zadużo jeszcze pozostało anglików! — mruknął Barrington z nienawiścią, wybuchającą pomimo woli.

— Nie przerywaj! — rzekł starzec. — Anglików zawsze dosyć pozostanie, ażeby nas utrzymać w korbach.

— Aby nas wyzyskiwać — odparł digger.

— I aby nas karać, jeżeli powstaniemy — podjął oberżysta. — Ah! wiem, że słowa moje są gorzkie, lecz wasz upór jest taki niebezpieczny, iż muszę użyć stosownych sposobów, aby wybić wam go z głowy. Wreszcie, słuchaj Barrington, po co o tem mówić? Skończ się na tem, że przez ciebie ja głupstwo powiem. Jestem Bur, lecz właśnie z tej racyi nie chcę patrzeć na wytepienie moich braci, jak patrzyłem na wytepienie Zulusów.

We dwa tygodnie po rzezi, do najbliższych posterunków *red-jackets*, przyszły psy oficerów angielskich wychudzone, zgłodniałe, pokryte ranami. Zapach krwi sprowadził je aż do miejsca, gdzie czuły pożywienie. Pies myśliwski, którego pułkownik Degacher pozostawił w Isandlwanie, przebył Buffalo, przyszedł pod fort, wyjąc, żeby go podjęto. Pokryty cały razami dzid i sagaiów był jedną żyjącą raną. To byli jedyni pozostali, co wyszli żywo z tej walki śmiertelnej.

Lord Chelmsford zażądał posiłków z Anglii, kazał naprędce ufortyfikować miasta, gdzie były garnizony, a tymczasem trzymał się obronnie.

Pora letnia deszczowa, rzeki powzbierane przyczyły, się również do przyjęcia tego rozejmu od Zulusów. Generał Pearson posunął się aż do Ekarsé, które otoczył fosami i gdzie zdecydował się zamknąć



z 1,300 białych, 360 czarnych i z 3,000 wołów, aż do 9 kwietnia. W czwartej kolumnie pod dowództwem Wood'a, przeznaczonej do osłony Transwaalu, było dużo naszych rodaków, Peter Uys opowiadał wam może epizody kompanii.

Ojciec to jego dowodził małym kontyngensem Burów; zaimprovizowano oboz okopany na Kabula; to najlepsze, co było do zrobienia, a dużo naszych nauczyło się w długiej walce z zulusami, jak można pokonać te wojska dzikich, lecz karnych i wyrobionych żołnierzy.

W owej chwili Burowie zrozumieli, iż trzeba zacząć umilknąć nienawiści, ażeby kraj ocalić; dlatego razem ze swymi ciemieżcami, anglikami, walczyli. Wyświadczyli im wielką przysługę, ponieważ wzniecił niezgodę pomiędzy wrogami. Sześciuset zulusów i Oham, brat Cettiwayo, przeszli pod naszą trójkolorową chorągiew. Co nie przeszkodziło, że napadli misję Wagnera i żywcem spalili czworo dorosłych i siedmioro dzieci.

Jedną moją krewną zabito trzydziestoma razami sagaiów.

Ojciec Jeremiasz spuścił siwą głowę; boleść wewnętrzna ściągnęła mu wyraziste rysy twarzy, ręce, oparte na stole, drżały.

— A pierwszą przyczyną wszystkich tych rzezi, była Anglia — odezwał się Barrington.

— Śmierć anglikom! — odezwały się głuche wykrzykniki.

— Milczeć, wy, tam!.. — krzyknął Jeremiasz, prostując się... — Takie słowa drogo kosztują tych, co je wymówili.



— Uys zginął w tej kompanii! — rzekł jeszcze jeden z górników Burów.

— On, i wielu innych — podjął Jeremiasz — to powinno was do rozumu doprowadzić.... Walka rozpoczęła się na nowo w marcu — ciągnął dalej: — lord Chelmsford otrzymał z Anglii i z Indyj siedm tysięcy białych i tysiąc pięćset koni. 27-go jedna kolumna próbowała opanować górę Zlobane. Odepchnęli ją Zulusi; stu dwudziestu kawaleryi białych zginęło w tej walce, a pomiędzy nimi nasz przyjaciel Uys i pułkownik angielski Wealterly.

Było to straszne; deszcz skał i kamieni miażdżył naszych współrodaków w ciasnych przejściach, walczo- no przeciw broni palnej i przeciw sagaiom; przeciw kamieniom nie można było nic robić, tylko dać się miażdżyć.

12-go marca kapitan Montgarti i stu ludzi zostali napadnięci i uciekli. 29-go marca na długości trzech mil (angielskich) zaatakowano obóz na Kabula. Kanonada trwała od pierwszej do piątej godziny; Zulusi się rozpierzchli. Pomyślano w końcu o Pearson'ie. Lord Chelmsford z trzema tysiącami trzystu czterdziestoma anglików, dwoma tysiącami dwustu osmdziesięcioma krajowców, ośmioma armatami i pięćdziesięcioma furgonami, okopał się w Ginghelowo, na południe Ehowe. Naza- jutrz Pearson był już oswobodzony po dziewięciu ty- godniach blokady; trzydziestu jeden żołnierzy spoczy- wało na cmentarzu małej fortecy; dwustu było w szpi- talu. W maju, armia europejska liczyła dwadzieścia dwa tysiące pięćset ludzi, podzielonych na trzy dywi-



zye. Działania szły jednak opornie i drogo kosztowały skarb Wielkiej Brytanii. 18-go maja syn cesarza Napoleona III-go, będąc w kolumnie generała Newdigate, uczestniczył w wzięciu kraalu Zuluskiego. 2-go czerwca, dowiedziałem się, że młody książę nie żyje. W przeddzień, w same Zielone Świątki, zrobił rekonesans, w towarzystwie porucznika 93 pułku, sześciu białych i jednego czarnego.

Z tego małego oddziału, składającego się z dziewięciu ludzi, sześciu tylko uniknęło śmierci.

Znałem kafra, przewodnika młodego księcia ochotnika, którego śmierć oplakiwali wszyscy francuzi Afryki południowej.

Oto co on opowiadał:

— Mały oddział zatrzymał się przy zarośniętych drzewach w wysokiej trawie, aby odpocząć koniom i przygotować kawę. Wszyscy byli już w chwili wsiadania na koń z powrotem i już książę Ludwik trzymał nogę w strzemieniu, kiedy rozległy się wystrzały i z wysokiej trawy wysypał się rój Zulusów, którzy dotąd czołgali się bez szelestu.

Książę francuski uczynił wysiłek, żeby skoczyć na siodło i dążyć za towarzyszami, którym udało się dosiąść koni, co unosiły ich jak szalone. Koń księcia bardzo wysoki, przelękły, wspiął się, odpychając jeźdźcę, który pozostał z trzema anglikami: ci zginęli przed księciem Ludwikiem, który dzielnie się bronił i umarł jak żołnierz, jak Bur prawdziwy.

Ciało jego znaleziono nazajutrz; 8 czerwca przewieziono je do Pietermaritzburga, gdzie udałem się, żeby



go zobaczyć; 11-go złożono go na okręcie *Boadicoea*. Wszyscy nasi współrodacy żalowali i opłakiwali śmierć tego szlachetnego i odważnego młodzieńca, który zginął na polu sławy; zapomnieliśmy, że walczył dla Anglii, a pamiętaliśmy, że był francuzem.

Podpisałem, jak wielu Burów, list kondolencyjny wysłany do eks-cesarzowej Eugenii przez mieszkańców Natalu i Transwaalu.

Lecz wróćmy do operacyj wojennych.

Sir Garnet Wolseley, który swego czasu bił się z Aszantami, objął główne dowództwo armii południowoafrykańskiej i wyruszył na Ulundi. 4-go lipca lord Chelmsford wydał stanowczą bitwę z korpusem pułownika Newdigate i Wood'a, przedstawiającemi się pięciu tysięcy żołnierza, opartego na czternastu armatach.

Cettiwayo stał na czele dwóch tysięcy zulusów. Było to spotkanie dwóch armij, owianych furją szatańską. Armaty oczyściły plac boju w przeciągu pół godziny. Zulusi uciekli, pozostawiając na placu tysiąc zabitych.

Anglia była zdecydowana użyć wszystkich sił i oto wojna się skończyła. Sir Wolseley, który nie był obecny przy bitwie, prowadził dalsze operacye. Po bitwie, rzeź się zaczęła.

To jest, co was najbardziej zajmuje, moje dzieci — dodał ojciec Jeremiasz, powiodłszy okiem po otoczeniu — bo taki sam los was czeka!

— Ptaku złowróżbny! — mruknął jeden górnik z tłumu.

— My nie Zulusi — rzekł drugi.



— My upominamy się zwrotu naszego kraju i naszej niepodległości skradzionej przez anglików! — odezwał się Barington.

— A tak samo jak za zulusami — podjął Jeremiasz — anglicy pójdą za wami, poszukają w waszych domach, zorganizują przeręby w lasach, spenetrują góry, przetrząsną kraj aż do zakątów nieznanych, żeby pozabijać buntowników i ich wodzów.

— Jednak nie łatwo ujęli Cettiwayo — zauważył jeden ze słuchaczy.

— Ba! jeżeli zulusi nie zdradzili by swego króla — odpowiedział Jeremiasz — skutek byłby taki sam. 27-go sierpnia major, Narter, z oddziałem dragonów, pochwycił ich w Ignomé, w lesie nieprzebytym, nad rzeką Umwolosi.

— Bo miał z sobą, tylko sześciu wojowników i sześć kobiet.

— Nie! bo tak było napisane! — rzekł starzec.

— Może jest napisane, że Transwaal będzie wolny.

— Nie! wszędzie bowiem, gdzie anglicy rozciągają panowanie, napisane jest, że będą robili swoje własne dobre interesy; dlatego wreszcie, że Burowie nie lepiej oprą się, niż zulusi, dlatego, że może także będą zdrajcy w naszych szeregach, którzy będą woleli służyć Albionowi, zamiast być rozstrzelanymi.

Wreszcie, co zrobił Cettiwayo i naród jego? Przyszli, płaszczyli się przed przedstawicielami Wielkiej Brytanii, i słuchali w milczeniu rozkazów królowej Wiktorji. Naczelnicy prowincyi wybrani zostali przez



Anglią; armia rozpędzona, broń skonfiskowana, sądy i sprawiedliwość zależały od rezydenta angielskiego; poganizm, poligania, niewolnictwo kobiet zagwarantowane; misjonarze prawie wywołani z kraju.

— I takie podłości nie są w stanie poruszyć cię, ojcze Jeremiaszu? — zapytał Barrington.

— Najpierw się porozumiejmy, zanim będziemy wojowali wielkimi słowami — odpowiedział oberżysta spokojnym głosem. — To, co Anglicy zrobili z zulusami, nas nie obchodzi. Kafrowie i Burowie, nienawidzili się zawsze serdecznie; nie potrzebujemy się zatem rozczulać nad losem naszych sąsiadów.

— Lecz jutro taki sam los nas czeka! — przerwał jeden Kalifornijczyk.

— Wtedy będzie czas protestować — rzekł Jeremiasz niewzruszony.

— Otóż nie! — krzyknął Barrington! — Wolno tobie czekać: ja, mam już dosyć.

— I my także! — ozwały się liczne głosy.

— Spisek w mojej karczmie! — rzekł oberżysta. — Czy chcecie, żeby policya zamknęła mój zakład, który mnie chroni od śmierci głodowej? Niewdzięczne dzieci, niewdzięczne dla ojca Jeremiasza!

— Ah! dobrze cię nazwano! — odezwał się digger z twarzą zczerniałą — odkąd tu jesteś, słyszałem zawsze twoje jęczenie. A jednak trud dla nas, korzyść dla ciebie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał stary.



— Że bronisz anglików, bo Anglicy dają ci piękny dorobek, pozwalając nas wyzyskiwać, bo ty im pomagasz do wyzyskiwania...

Właściciel zakładu milczał; górnik który go tak brutalnie napastował, wszedł na stół i prowadził dalej swoją złośliwą krytykę:

— Towarzysze — podjął — czy porachowaliście kiedykolwiek ile gwinea kosztuje? Dajemy dziesięćkrotny jej ciężar złota, ażeby nabyć tę okrągłą blaszkę, kiedy ma na sobie wyobrażenie jej cesarskiej mości angielskiej. To trochę za drogo płacimy za ten portret... Jak wam się zdaje?

— A to nie wszystko — dodał Barrington. — Jesteśmy wstrętnie okradani; lecz żaden by nie protestował, gdyby Anglia zadawała się zabieraniem produktu trudów naszych, pracy naszej nieustannej. Pod pozorem filantropii, zdobywcy nasi asymilują nas z prostymi negrami. Przez wszystkie możliwe sposoby, stali się tak wstrętni, że Burowie wolą raczej opuścić swoje pola, swoje kraale, domy, niż żyć obok anglików. Otóż pierwszymi posiadaczami kraju są Burowie, zatem okupacja angielska jest aktem złodziejskim, nie mającym równego. Jesteśmy na łasce czarnego plebsu, złodziei i handlarzy ich spółników. Zniszczono nas i obłożono podatkami; sprawiedliwość, sądy, zrobione dla zbogacenia urzędników angielskich, a dla nas za drogo kosztują; to jest arbitralność i despotyzm pod maską legalności; jednym słowem, gdybym był Anglikiem...



— Ja nim jestem — przerwał diggier, który już głos zabierał i stał na stole — tak, jestem anglikiem i oświadczam, że niedawno jeszcze miałem nadzieję ujrzeć sztandar Wielkiej Brytanii, powiewający od Captowu do Zamberu; i że dziś przekładam jarzmo Cettiwayo nad tę administrację pijawek, jakiej żaden człowiek: posiadający poczucie swojej godności, nie może dłużej tolerować.

Naraz podniosła się wrzawa w ścieśnionej grupie słuchaczy.

— Hear! hear! (słuchajcie! słuchajcie!) — ozwały się głosy krzykliwe.

Jakiś mężczyzna przeciskał się przez tłum i zbliżył do stołu, na którym stał mówca.

— To, coś powiedział, hańbą jest dla anglika! — wypowiedział powoli nowo przybyły, kładąc nacisk na każde słowo.

Odezwały się protestacje; lecz nieznajomy, nie pokazując po sobie najmniejszego wzruszenia w obec grózb zebranych ludzi, skrzyżował ręce, odwrócił się, i zwracając się do tych, co najbliżej do niego się tłoczyli, powtórzył:

— Tak! Takie słowa są hańbą dla anglika, mówię to głośno, bo sam jestem anglikiem!

— Z policyi zapewne? — zapytał digger, który z wysokości zaimprovizowanej trybuny górował nad swoim przeciwnikiem.

— Nie!.. z arystokracji! — odparł obcy, z jednokową zawsze flegmą.



Tyle było pogardy niebezpieczeństwa w tem wyznaniu, rzuconem w obec setki osób, że lepsza część zebrania, przywykła szanować odwagę, nawet u nieprzyjaciół, nie śmiała przyłączyć się do wycia, jakiem przyjęto oświadczenie nieznanego.

Ten zaś, gwałtownie popychany, przyparł się tyłem do stołu, z pięściami naprzód, z nogami wyprężonemi, w postawie boksera, gotującego się do walki.

— Nie wiedziałem, żeby diggerzy byli tchórze! — krzyknął. — Czy niema pomiędzy wami ani bura, ani francuza?

W chwili gdy wymawiał te słowa, tłum został rozepchnięty na prawo i na lewo; Barrington stanął obok cudzoziemca.

— Precz, wy wszyscy, — rzekł. — Nie plamcie świętej sprawy zbrodnią!

Najzjadlejsi cofnęli się.

— Bijcie się, i owszem — ciągnął Barrington — lecz mordować się, o nie!.. Jest nas dwóch teraz. Kto się zbliży? Czeka?

Taka śmiałość, wyzwanie tłumowi, nakazały wszystkim szacunek.

Dosyć było, żeby masa diggerów przysunęła się, aby zgnieść dwóch śmiałków, którzy teraz stali obok siebie, z oczyma śmiało w tłum utkwionemi, gotowi do walki.

Barrington założył spokojnie naboje w rewolwer, odsunął kurek, i, drżąc całym, głosem dźwięcznym krzyknął:



— Obiecałem w dniu walki być waszym wodzem; lecz niechęć dowodzić ani tchórzom, ani mordercom.

Głośne „hurah!“ przyjęło te słowa; zuchwała bravura diggera zaimponowała najwyuzdańszym. Dostyc było kilku słów, żeby zmienić uczucia najgorzej usposobionych. Wreszcie, Barrington przewyższał większą część zebranych siłą muskułów i niewytłomaczonym szczęściem w fachu górniczym. Miał nad towarzyszymi wyższość, która nakazuje szacunek naturom grubym; posiadał przedewszystkiem wyższość szczęścia, jakie powoli rodzi w nieszczęśliwych rodzaj czci dla człowieka, niem obdarzonego.

Był jak gdyby panem pośród posiadaczy claimów, których zazdrość powoli ucichła, bo nie wszyscy zrobili dobry interes; większa część przybyłych do Lydenburga na wieść, że tam się złoto znajduje, porzucili Kopje gdzie robota nie starczyła na życie, z marzeniem, że szybko zbiorą wielkie majątki. Na nieszczęście, dużo gruntów było *posolonych*, to jest, że pierwsi koncesyonaryusze, ażeby im zapewnić wysoką cenę, posieli na nich odrobiny kwarcu, Barrington, który przybył ostatni na claim, przez długi czas przeszukiwany bez skutku, znalazł w nim skarby nieobliczone.

Po pierwszej próbie, wszyscy górnicy w cud uwierzyli; następnie cud powtarzał się tak często w przeciągu kilku tygodni, że się do niego przyzwyczaili i że wydziedziczeni od losu, zaczęli uważać nieznanego francuza, jako człowieka, którego przyjaźń szczęście przynosi...



Interwencya jego ocaliła od pewnej śmierci cudzoziemca, który tak nie w porę wzmieszał się do rozmowy.

— Niech sobie odejdzie, nie przetrąca ci twojego anglika.

— Wcale nie — odparł digger. — Jestem Barrington, zapraszam go i nie odejdzie.

— Sprowadza nieszczęście pić z nieprzyjacielem.

— Ci, których podłość oburza, są moimi przyjaciółmi. Ojczy Jeremiaszu! butelkę najlepszego! Co do was — dodał, obracając się do górników — jeżeli jesteście godni uścisnąć moją rękę, to trąćcie się z podróżnym, który, będąc moim gościem, powinien być dobrze tu przyjętym.

Odkorkowano znów butelki, spokój zapanował.

Wszyscy wrócili do swoich stolików; Barrington usiadł naprzeciw cudzoziemca i napełniając dwie szklanki patrzył na niego z uwielbieniem za odwagę, jaką okazał.

Lecz spojrzenie jego, obojętne zrazu, nabierało mocy; potem z nieukrywanem zdziwieniem Barrington wykrzyknął:

— Słowo daję, to pan, sir Fryderyk!

— Sir Fryderyk Harrisson — odrzekł obcy, wymieniając wszystkie swoje tytuły, choć nie znał swojego interlokutora.

Patrzył jednak ciekawie na tego, który go wybawił z niebezpieczeństwa, a twarz jego wyrażała największe zdumienie:



- Pan Clodion Eudes — mruknął w końcu.  
— Ten sam — odpowiedział digger.

## II.

## Złota pieczara.

Kiedy Clodion Eudes znalazł się sam na szerokiej drodze, po wyznaniu miss Anny, poczuł, jak gdyby mu serce pękało, i zrozumiał zaraz, iż niepodobieństwem dla niego powracać do codziennego życia, obok swych towarzyszy i młodej angielski.

Burza, która wybuchła i która posłużyła mu za pretekst do długiego sam na sam z siostrą baroneta, zniweczyła jednocześnie najskodsze jego nadzieje.

Pustka zrobiła się w jego życiu.

Przez kilka minut, ścisnąwszy głowę rękami, drżącymi nerwowo, zastanawiał się, co teraz począć.

Nie mógł znieść myśli spędzania na przyszłość całych dni i nocy w bliskości młodej miss, która roznieciła gwałtowny płomień w jego sercu, upoważniała do tkliwych uczuć, i naraz usuwała się, odpychała go jak gdyby dla zrobienia sobie przyjemności, bez miłosierdzia dla rany zadawanej, dla rozpaczki, jaką po sobie zostawiała.

Opuszczać nagle przyjaciół, z którymi przedsięwziął długą podróż, żegnać się z nimi nie było możebnem; żądaliiby wyjaśnień i pomimowoli trzebaby było kła-



mać lub wyznać nieszczęsną tajemnicę. Było to wystawie się, bądź na wymówki, bądź na rady; lub na śmieszność, a krew marsylezyka burzyła się na samo przypuszczenie, że którykolwiek z towarzyszy podróży odgadłby jego słabość, lub próbował pociechy, raniącej miłość własną południowca.

Jedno tylko pozostało wyjście w tem krytycznem położeniu. Zniknąć, zniknąć na zawsze, żeby nie wiadano, czy umarł, czy żyje, żeby nie wiadano, co się z nim stało.

Cierpiąc strasznie, uczuwał gorzką pociechę, mówił sobie:

— Ona jedna będzie wiedziała powód tego samobójstwa; gdyż, choć mam odwagę nieodbierania sobie życia, to, co zrobię jest prawie rzuceniem się w objęcia śmierci, skoro puszcę się sam, bez środków, bez żywności, bez broni, w kraj, który jest mi absolutnie nieznanym...

Jeżeli zginę, niech krew moja nie spada na jej głowę; lecz przekładam śmierć nad straszną boleść patrzenia na szczęśliwego rywala.

Kiedy powziął już postanowienie, Clodion czuł, że spokój powraca mu do serca i umysłu.

Rzucił długie spojrzenie na drogę, na której znikła mu z oczu miss Anna.

W spojrzeniu tem było ostatnie pożegnanie.

Potem podniósł się.

Otrząsnął ubranie, przemokłe od ulewy, podniósł z ziemi fuzyę, przewiesił przez ramię i wszedł w zarośla.



Chciał się zorientować, lecz niebawem wyrzekł się tego. Jedno mu wystarczało: nie iść w tym samym kierunku, co jego towarzysze.

Chciał odrazu odsunąć się jak najdalej od przyjaciół, którzy nie omieszkają poszukiwać go, i w tym celu zaczął biedz, o ile mu na to pozwalały wysokie trawy, do ramion sięgające.

Długie wilgotne łodygi smagały mu twarz i chłodziły skórę, rozgrzankowane i piekące skronie. Jednocześnie jaśniej rozumiał swoje położenie. Po dwakroć, ulegając pragnieniu zobaczenia tej, od której uciekał, o mało nie zawrócił z drogi; lecz po dwakroć ostatnie słowa młodej dziewczyny zadźwięczały mu w uszach:

Kocham innego!

Ten inny... musiałby go zabić, lub zostawić miejsce wolne, ponieważ on był wybrany... i z wściekłością biegł coraz dalej.

Kiedy noc zapadła, wyczerpany był zmęczeniem; znużenie działało na umysł tak samo, jak na ciało. Nogi odmówiły posłuszeństwa, wyrzekł się zamiaru nie ustawiania aż do pierwszej napotkanej fermy, do pierwszego kraalu burskiego.

Nie mógł kroku zrobić, upadł u stóp drzewa, do koła którego mech wilgotny, jak dywan się rozściełał. Lecz, przez ostatni wysiłek woli i energii, zerwał się na nogi.

Pojmował, jak niebezpieczną może być dla niego noc, spędzona pod gołym niebem w okolicy, pełnej płazów i dzikich zwierząt.



Zgięty we dwoje, wlokąc chwiejące się nogi, szedł jednak naprzód.

Lecz zaledwie zrobił sto metrów, kiedy ogromny dzik wypadł, galopując z zarośli, i przewrócił go na ziemię.

Zmożony zmęczeniem i głodem, zraniony przez dzika, leżał nieruchomy; prawie w tej samej chwili rozległy się dwa strzały i myśliwy wybiegł z gąszczy na mały kawałek trawy bez drzew i lianów, na którym leżał marsylczyk.

Nowoprzybyły potknął się o ciało nieruchome i o mało na twarz nie upadł; aby się uchronić od upadku, wyciągnął instynktownie rękę i oparł na twarzy marsylczyka; poczuł jak gdyby ciepłą rosę:

Krew!

— Oho! trup jeszcze ciepły! — mruknął, pochylając się nad Clodionem.

Badanie nie trwało dwóch sekund.

— Europejczyk! — rzekł.

I w jasności nocy przejrzystej, myśliwy ukazał się wyraźniej.

Skóra pokrywała mu plecy; po ubraniu jego pierwotnem łatwo było rozpoznać jednego z czarnych mieszkańców pustyni Kalahari, których okrucieństw obawiają się w całej Afryce południowej.

Pochylił się znów, z błyskawicą nienawiści i wściekłości w oczach. Przetrzęsął kieszenie marsylczyka, będącego ciągle bez przytomności, ukradł skromnie napechany woreczek, następnie wszystką broń mu zabrał.



Kiedy wyciągnął z pochwy nóż Europejczyka, przyjrzał się bacznie ostrzu jego, a końca spróbował na palcu.

Po raz trzeci się pochylił, szykując się do zadania nożem ciosu, kiedy z zarośla wyskoczył pies i rzucał się na niego.

Czarny kopnął psa nogą; pies potoczył się daleko. Lecz podniósł się, wyjąc z bólu, i z łapami naprzód, z paszczą rozwartą, nie ustępował z miejsca.

Ta niespodziana dywersya ocaliła Clodiona, przynajmniej na teraz. Dziki z Kalahari wykrzywił się przerażająco, co mogło za uśmiech uchodzić.

Dziwnem swoim narzeczem wymówił kilka słów, których znaczenie łatwem było do zrozumienia.

„Nieprzyjaciel leży na ziemi, rozbrojony, niezdolny się poruszyć, z nogą, strzaskaną przez dzika; nóż zatem niepotrzebny.

Trzeba resztę pozostawić szakalom i hyenom, których zapach krwi sprowadzi w noc”.

Nie spuszczać oczu, utkwionych w oczy psa, którego głuche warczenie niepokoiło dzikiego, okręcił lianem cienkim, lecz mocnym ręce i nogi Clodiona.

— Teraz my z sobą się rozmówimy! — rzekł, zbliżając się do psa.

Ten, z wyszczerzonymi kłami śledził ruchy przeciwnika, który zarzucił mu rodzaj lasso na szyję.

Pies unikał zaduszenia, dzięki jedynie gałęziom krzaków, co przeszkodziły, że pętla się nie zaciągnęła. Straszna była walka pomiędzy dzikim i zwierzęciem; była to gonitwa wściekła, z krzykiem chrapliwym, ze



szczekaniem... Pies rzucił się, człowiek, trzymając fuzję za lufę, używał jej jak pałki, z obawy, żeby wystrzał nie sprowadził na miejsce walki towarzyszków europejczyka, którego okradł i związał; nie przypuszczał, żeby ten cudzoziemiec sam był i opuszczony.

W końcu pies i człowiek upadli i tarzali się po ziemi; pies szukał gardła murzyna, żeby go zadusić; murzyn nożem starał się rozpruć brzuch zwierzęcia. Trafił nareszcie: mieszkaniec Kalahari zamknął paszczę swego przeciwnika; pies zawył ostatni raz i upadł koło Clodiona.

Dziki podniósł się, utarzony w ziemi, pokryty pianą charta, zanadto wyczerpany, aby myśleć jeszcze o rannym, którego pozostawiał na pastwę zwierząt krwiożerczych.

Obejrzał się dokoła i w las się zapuścił.

Clodion Endes ocknął się w połowie nocy, a raczej minęło wyczerpanie fizyczne w jakie był zapadł.

Kiedy oczy ściągnął, poczuł, jak w strasznym śnie, dolegliwy ból w nodze. Pomału przeszłość jaśniej mu się przedstawiła; odzyskał pamięć.

Lecz wszystkie jego wspomnienia zatrzymywały się na chwili, w której ujrzał dzika, walącego się na siebie, jak sam upadł.

Spróbował się obrócić.

Było to niemożliwym. Zrazu myślał, że utrata krwi osłabiła go do tego stopnia, iż uczyniła próżnemi wszelkie wysiłki zmienienia pozycyi; lecz stopniowo, w miarę jak chłód nocy odświeżał mu skronie i umysł,



poczuł na rękach, jak gdyby coś boleśnie ciało mu przerzynało.

Nagle zadrżał z przerażenia; na twarzy uczuł dotknięcie zimne i śliskie jakiegoś płazu. Chciał w tył się cofnąć: nogi i korpus oparły się temu. Zrozumiał, że był przywiązany.

Teraz kiedy oczy jego oswoiły się z ciemnością i z przedmiotami, ujrzał na błyszczącej skórze boa łamiące się światło księżyca i migocące jak na stali polerowanej.

Płaz, okręcony dokoła drzewa, o które nogi Clodiona były oparte, utkwił w swoją ofiarę oczy okrągłe, dziwnie błyszczące w ciemności.

Opanowany strachem niewymownym, obrzydzeniem nieprzewartem, Clodion czuł swoje oczy, jak przyrastające, nie mogące się oderwać od oczu węża, którego paszcza otwierała się groźnie, a głowa poruszała ruchem wahadłowym, rytmicznym.

Ranny doznał zawrotu głowy; uczuwał bezwładność w członkach, pociągnięty mimo woli, zgalwanizowany, zamagnetyzowany.

Kurczył się w swoich więzach, wił się, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Naraz rzucił się w tył z krzykiem stłumionym, na który odpowiedziało wycie hyen i szakali.

Clodion zamknął oczy zdreptały, jak urzeczony.

— Zginałem! — wyrzekł głośno, myśląc, że dźwięk własnego głosu wyrwie go z tego odretwienia.

Potem, pojmując całe niebezpieczeństwo swego położenia, pozostał z zamkniętymi oczami, wstrzymując od-



dech, ponieważ związanemu nie pozostawał żaden sposób ratunku.

Liście na drzewach zaczęły poruszać się, gwizdanie ostre się ozwało, a na ziemi trzeszczały suche gałęzie, łamane cielskiem węża.

Clodion spojrział: nieprzyjaciel jego był już na ziemi. W jednej chwili boa otoczył pierścieniami dwa pnie drzew, pomiędzy którymi leżał Clodion rozciągnięty. Zamknął oczy, spodziewając się być zmiażdżonym przez okrutnego gada. Minuta straszego cierpienia upłynęła; Clodion oczekiwał ciągle, więc żył. Nie wierzył temu, dziwiąc się, że umarł tą okropną śmiercią, nie czując innego bólu, tylko z rany i od więzów.

Jak człowiekowi, któremu śni się, iż nogę złamał, Clodionowi przyszła w końcu myśl dotknąć się swojej. Po nad głową czuł pod palcami zimne dotknięcie skóry węża. Wtedy prawie upewnił się, że żyje, i chciał sobie zdać sprawę z tego cudu nieprawdopodobnego. Położenie pomiędzy dwoma drzewami ocaliło go. Wąż, okręcony koło pni, wysiłał się, żeby zmiażdżyć człowieka, lecz skóra oślizgiwała się o gładką korę, nie miał oparcia. I znów o kilka centymetrów od twarzy Clodion zobaczył paszczę rozwartą.

Wtedy szarpnął się z wysiłkiem rozpaczny; liany, krępujące ramiona pękły i palcami uchwycił boa za gardło, odpychając instynktownie tę głowę odrażającą.

Nagle ta paszcza wstrętna, o dotyku zimnym, wyslizgnęła się z pomiędzy palców, nerwowo zaciśniętych. Clodion, aby uniknąć uścisku śmiertelnego, szarpnął



się konwulsyjnie, zapominając zmęczenia i bólu wobec śmierci strasznej i pewnej.

Nastało jak gdyby nagłe wyciągnięcie sprężyny olbrzymiej; drzewa ugięły się a... Clodion Endes żył jeszcze.

Pochodnia zaświeciła w gęstwinie, rażąc powieki rannego, który, niezdolny do dłuższej walki, opadł bezsilny, jak w letargu.

Dwa głosy obity się o uszy nieszczęśliwego.

Słyszał, rozumiał, miał siły czuć, iż teraz niezdolny jest poruszyć się, krzyknąć, ażeby uniknąć grożącego niebezpieczeństwa.

Rozmowa, jaką pochwycił, na szczęście nie budziła niepokoju.

— Jonas — mówił jeden — był już czas... Nie wiem, jak ten człowiek, związany i ranny, mógł się tak długo bronić.

— W każdym razie — podjął drugi — twój sagai dobrze był wymierzony.

— A boa posłużył do odstraszenia zwierząt drapieżnych. Niema tak szkodliwego zwierzęcia, które nie byłoby czasem użyteczne.

Po tej cytacie biblijnej, jeden z Burów, których Opatrzność tak cudownie zesłała na pomoc nieszczęśliwemu, zbliżył się do Clodiona, który przy wysiłku, żeby się podnieść, stracił zupełnie przytomność.

Osadnicy zabrali się zaraz do roboty.

Boa, którego cielsko leżało u stóp drzewa, został odrzucony w krzaki; poczem Jonas posłał towarzysza swojego po pomoc do woza, stojącego niedaleko, pod-



czas kiedy Burowie poszli czatować na dzikie zwierzęta.

Jonas został sam z Clodionem, obmył mu ranę wódką, którą miał w manierce, i, jak umiał, tak obandażował.

W chwili gdy rozwiązywał ostatnie liany, krępujące zemdlonego Clodiona, usłyszał szelest w krzakach. Przywykły baczyć na wszystko, żyjąc ciągle w lasach, Bur ujął najniższą gałąź ogromnego drzewa i jednym skokiem znalazł się dość wysoko, aby widzieć, co nastąpi.

Skrył się pomiędzy liście i niebawem ujrzał czarnego, z gałęzią sosnową, gorejącą w ręku, który zbliżał się, rozchylając krzaki kolczaste.

Bur poznał odrazu, że to był kafr z Kalahari i mruknął pod nosem:

— Teraz rozumiem, z kąd się wzięły liany, któremi skępowany był ranny.

Jonas powziął wtedy postanowienie, dziwne, jak dla człowieka pierwotnego, który zwykle słucha tylko instynktu. Sądząc kafra, podług siebie, pomyślał, jak mu będzie przykro zobaczyć, że jego ofiara umknęła mu cudownie.

Clodion wyszedł żywy ze straszego sąsiedztwa z wężem boa. Obecność tego węża trzymała w oddaleniu dzikie zwierzęta, przyciągnięte zapachem krwi, gotowe rzucić się na zdobycz łatwą, jaką przedstawiał ranny, silnie skępowany; Bur postanowił dokończyć dzieła ocalenia, zaczętego przez przeznaczenie.



Zeskoczył z drzewa, wziął Clodiona na plecy i szalonym pędem, przesadzając przeszkody, puścił się w kierunku rzeki, na której brzegu złożył swój ciężar, uszczęśliwiony, że uniknął sagaia dzikiego kakra z pustyni Kalahari.

W kilkanaście minut Bur przebył przestrzeń, dzielącą go od rzeki huczącej, w łożysku z kwarcu. Krzaki i drzewa rosły nad brzegiem wody, a Jonas dążył znów, biegiem ciągle, wybrzeżem bystrego Spruitu.

Dopał w końcu drzewa, wyrwanego z korzeniem podczas ostatniego wylewu i zaledwie trzymającego się wybrzeża kilkoma gałęziami.

Silnem pchnięciem stoczył je na wodę i umieścił na improwizowanej szalupie ciało rannego.

Zaledwie skończył tę czynność, kiedy kula świsnęła mu koło ucha: drugi wystrzał oderwał kawał kory z drzewa, na którym Clodion leżał.

— Spóźniłeś się! — pomyślał, pokazując pięść kakra, który wahał się nad szerokim bagniskiem.

Pchnął rękami i nogami swoją tratwę aż na środek spienionych fal Spruitu.

Pęd wody porwał drzewo jak łupinę i niósł ku krętym prądom, usianym łomami skał. Bur myślał tylko o utrzymaniu pnia w równowadze.

Niedługo dziwnym trafem tratwa stanęła: uwięzła pomiędzy dwiema kupami kwarcu.

Jonasowi udało się jednak utrzymać głowę Clodiona po nad falami, a wyjąwszy nóż, zaczął odrzywać najgrubszą gałąź, która była jeszcze przy pniu drzewa. Twarde drzewo opierało się, w końcu ustąpiło,



i Bur znalazł się w posiadaniu kija grubego i mocnego, mającego dwa metry długości.

Po ukończeniu tych przygotowań, oparł kij o jedną ze skał, zagrządzających przejście, pozwolił wykreć się drzewu i, zamknawszy oczy, zdał się na łaskę fali...

Spadek był straszny, lecz osłabiła go głębokość wody.

Kiedy Jonas spojrzął dokoła siebie, tratwa, po zanurzeniu się na kilka metrów, wypłynęła na wierzch, i mknęła teraz spokojniej.

Jak długo trwała ta niebezpieczna żegluga?

Bur, zajęty, żeby za pomocą kija omijać przeszkody, nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nastał dzień, chmurny, bez słońca; drzewo, na którem dwa życia się trzymały, bieg wody unosił ciągle. Po kilku godzinach drzewo wolniej zaczęło płynąć, Jonas, zmęczony, wyczerpany zaczął drzemać, kiedy naraź gwałtowne uderzenie w głowę rozbudziło go zupełnie. Zaledwie zdążył schylić się; rzeka wpadała w wydrążenie pod górą i wyżłobiła grotę z niewykończonym sklepieniem.

Drzewo wpadło całe do groty ciemnej jak noc i stanęło na miejscu, zatrzymane na skałach podwodnych.

Jonas wyciągnął ręce ponad głowę i dotknął sklepienia wilgotnego, jak sklepienie grobowe. Spruit wpadał, szumiąc w cieniu wilgotnym, gdzie powietrze było ciężkie, przepełnione miazmatami padliny, naniesionej tam przez fale wodne.



— Grota Łosiów — mruknął, przeciągając się na drugi koniec drzewa.

Przekonał się, iż znajduje się u samego wejścia do podziemia: rzeczywiście, czepiając się gałęzi, spostrzegł linię świetlaną na wodzie, odbicie jasności nieba.

Niemniej położenie było krytyczne.

Wepchnięty w miejsce bez wyjścia, Jonas, oprócz obciążenia rannym, którego ciągnął z sobą, oprócz męczarni głodu, które zaczął boleśnie odczuwać, znajdował się w wielkim kłopotcie.

Kusić się o powierzenie się fali, nawet pozostawwszy Clodiona, było szaleństwem.

Najodważniejszy pływak śmierć by znalazł niechybną wśród kamieni, toczących się w wartkiem łożysku potoku. Pozostać dłużej, i to niebezpieczne, szczątki zwierząt, zatrzymane przez pień drzewa, gromadziły się powoli, zamykając ostatnie wyjście, jakie jeszcze było dla Bura i rannego.

Jonas zdał sobie szybko sprawę z tego, co mu grozi. Przeszedł na drugi koniec swojej oryginalnej łodzi, ażeby zbadać, gdzie się znajduje.

Pomyślał o Clodionie ciągle nieprzytomnym.

Rozebrał go z wielką ostrożnością i wyprał jego odzienie z błota. Potem wyżył, jak mógł najstaranniej, koszulę flanelową i w nią go owinął.

Po tym pierwszym opatrunku, posunął Clodiona aż do korzeni drzewa, a pod głowę w rodzaju poduszki podłożył mu liany i gałęzie.

Następnie próbował ocucić rannego, biorąc w dłonie wodę i lejąc mu na skronie.



Clodion poruszył się lekko, potem dreszcz nim wstrząsnął, pamięć zaczęła mu powracać; ręką dotknął zimnego korzenia i myślał, że dotyka skóry straszego węża.

— Śpij, landhorst! — rzekł Bur. — Boa nie żyje!

— Kto ty jesteś?

— Jonas, myśliwy, który, przechodząc, zabrał pana z drogi, bo czarni chcieli go obedrzeć.

— Gdzie jesteście?

— W złotej pieczarze.

— A miss Anna?

— Miss Anna? — powtórzył Jonas, który pierwszy raz słyszał to imię. — Nie znam.

Endes westchnął ciężko.

— Śpij, panie! — powtórzył Bur.

Clodion usłuchał biernie. Za chwilę wpadł w sen głęboki; gorączka go podtrzymywała i nie pozwalała odczuwać straszego głodu, który dokuczał mu tak samo jak jego zbawcy.

Ten zaś, pomimo że zmęczony, nie mógł znaleźć chwili spokoju; położył się, czekając aż wyobraźnia jego znajdzie jaki punkt wyjścia z tego położenia.

Niepewne światło leżało na przedmiotach dokoła niego; z wielkiem zadowoleniem spostrzegł, że dosyć niskie wody rzeki nie dochodziły do nadbrzeża urwistego u stóp skał, które tworzyły tunel.

Wskoczył w wodę i, czepiając się przedmiotów, wyrzuconych przez fale, opierał się wirom i stanął wreszcie na stałym lądzie. U wejścia do groty musiał użyć małpiej zręczności.



Po kwadransie gimnastyki, trudnej do opisania, Jonas był na trawniku u stóp góry, w której było wyżłobione podziemie; pomimo trudności wdrapywania się, nie zostawił sagaia, rachując, że upoluje cokolwiek, ażeby nie umrzeć z głodu. Skrył się niebawem pośród olbrzymiej wegetacji.

Cała ta część Transwaalu nie była tak zamieszkaną jak dzisiaj: poszukiwacze złota woleli ziemie znane, jak Pilgrim's Rest.

Złoto, znajdujące się w wielkich bryłach kwarcu, nie wynagradza pracy eksploatacyi, do tłuczenia kwarcu na mialki proch, potrzeba sprowadzać kosztowne maszyny, a to przechodzi możność Burów.

Co do gruntów aluwialnych, które zawierają dużo kawałków złota rodzimego, te mogą obrabiać górnicy australijscy lub kalifornijscy, tak jak się to praktykuje w najdawniejszych kopalniach Transwaalu.

Lecz Clodion Endes znajdował się w okolicy zupełnie pustej, dlatego, że niektórzy właściciele płacą tam czynsz roczny do rządu, ażeby mieć prawo zabronienia górnikom osiedlać się na gruntach uprzywilejowanych.

Tego środka zabezpieczającego zaczęli używać niektórzy dzierżawcy gruntów rządowych, nauczeni kosztownym doświadczeniem swoich poprzedników; ci dzierżawcy udzielali od siebie pozwolenia pewnej liczbie poszukiwaczy złota prawa pracowania na gruntach, do nich należących.

Tacy górnicy, płacąc niewiele za pozwolenie udzielone, zbogacali się szybko. W dniu, w którym właś-



ciciel chciał sam eksploatować swój grunt, po zebraniu potrzebnego towarzystwa, musiał odkupować prawa swoich poddzierżawców, zamieszkałych od lat wielu.

Żeby uniknąć płacenia kompensaty, koncesyonaryusz ziemi, przez którą płynie Elands riwer, nie podzielił swoich gruntów na claim'y i wyjechał do Europy. Oddawna płacił regularnie dzierżawę roczną, zredukowaną do minimum, dzięki usługom, jakie oddał dawnej rzeczypospolitej. Terytoryum, nadane mu nie było zatem badane, i zapewne nikt nigdy nie był w grocie, w której obudził się Clodion Endes.

Wązkim paskiem wpadało światło przez szparę u wejścia; ranny obrócił się z jękiem bóleści.

Powoli przypominał sobie szczegóły nocy okropnej i próbował się podnieść. Zadziwiło go, że się czuje strasznie zmęczony; dotknął nogi i nie mógł pojąć, dlaczego obandażowana.

Niedługo trwał przegląd pieczary. Pięć stóp naprzód i pięć stóp w tył to wszystko, co mógł zobaczyć pod niskim i wąskim sklepieniem.

Odgadł prawie, wskutek jakich okoliczności znalazł się jak zakopany pod ziemią; spostrzegł wybrzeże, na które wylądował Jonas, i zaraz postanowił:

— Pójdę położyć się na powierzchni ziemi! — mruknął z uśmiechem.

Jak pomyślał, tak zrobił: zwinął w pęk ubranie, rozwieszona na gałęziach drzewa, i wyrzucił je na wybrzeże. Potem przytrzymał się o skałę, wykręcił drugą ręką pień, na którym leżał przed chwilą, i pchnął



go lekko do brzegu; teraz potrzebował tylko zejść, kulejąc.

Zdecydowany czekać na Bura, którego bliski powrót wskazywało ubranie pozostawione, rozciągnął się na ziemi, a oczyszczając ją, pechnął nogą kamyk błyszczący, jakby kawałek rudy żelaznej i kwarcu. Podniósł kamień z ciekawości i zaczął się przypatrywać.

Naraz uśmiechnął się.

— To złoto rodzime! — rzekł na głos. — Początek milionika! — dodał. — To waży co najmniej ośm kilo.

Pochylił się. U nóg jego były takie same kamienie różnych kształtów i wielkości.

— Potrzebuję tylko rękę wyciągnąć, żeby zbierać skarby — pomyślał.

Od chwili nagłego rozstania z miss Anną pierwszy raz żyć zapragnął. Traf powracał mu chęć do życia, ofiarując sposób zapomnienia marzeń rozwianych, albo może sposób urzeczywistnienia ich kiedyś. Odkąd sam pozostał, Clodion szukał przyczyny pogardy, którą okazała mu dziewczyna ukochana.

Powtarzał sobie nawet głośno:

--- Dlaczego to nagle zerwanie? Nie jestem brzydki od drugich; ona lubi brunetów, a ja właśnie brunet. Jedną tylko mam wadę, nie jestem bogaty. Może ten wzór wszystkich cnót, może anielska miss Anna jest interesowna? Może brat jej, praktyczny jak wszyscy anglicy, nazwał jej miłość szaleństwem, miłość dla takiego, jak ja chudopachołka?

To przypuszczenie utrwaliło się w jego głowie.



— To nie jest wada, z której by się nie można poprawić! — powiedział sobie w formie konkluzji, ażeby nie tracić zupełnie nadziei.

I postanowił naprawić omyłkę losu, szukać sposobności zbogacenia się; nie odrzucać, ani drogi męczącej, ani spotkań niebezpiecznych, z całą mocą charakteru oprzeć się pragnieniu powrotu do towarzyszków podróży, do jednego celu dążyć: do bogactwa!

Los uśmiechnął się w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Grota ustronna uszła chciwości cudzoziemców i krajowców. Nawet Zulusi nie mogli się tam dostać, to wyjaśnia, dlaczego kawałki złota naturalnego, wyrzucone na brzeg przez wylew, pozostały nietknięte. Endes pojął odrazu, że po każdym wylewie kawałki złota różnej wielkości toczyły się w różne miejsca i po opadnięciu wód pozostawały.

Módz wejść do groty i wyjść to jedyny problem do rozwiązania; otóż rozwiązanie nie było niepodobnem, kiedy Jonas wyszedł i zapewne powróci.

Endes, leżąc na wznak, żeby sił oszczędzać, zastanawiał się, a wierny przyzwyczajeniu stawiania sobie zapytań, na które głośno odpowiadał, zaczął dyalog następujący:

— Czy mam prawo?

— Dlaczego nie!

— Ale grota należy do właściciela?

— Złudzenie!

— Jednak kto wynajmuje powierzchnię ziemi, wynajmuje i to, co jest w głębi.



Nie miał czasu rozwiąć ostatnich wątpliwości sumienia.

Jakiś człowiek skoczył o parę cali od jego piersi; to był Jonas.

Powracał z kawałkiem mięsa upieczonym z zabitego ptaka.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał Clodion.

— O kilka dni drogi na piechotę od Jamestowu.

— Pójdziemy tam?

— Po co?

— Żeby zdobyć złoto.

— Czem za *claim* zapłacimy?

— Tem oto!

Clodion pokazał kawałki złota naturalnego.

Bur zrobił wielkie oczy, następnie śmiechem wybuchnął.

— Gdzie pan znalazł to złoto?

— W pieczarze.

Jonas padł na kolana i wierny wychowaniu ultra-religijnemu, zaintonował psalm na chwałę Panu na Wysokości.

Podniósł się niebawem, krzycząc z dziecinną radością:

— Jesteśmy ocaleni i bogaci!

— Tak sędzę! — odpowiedział marsylczyk.

---



## III.

## S p i s e k.

Jak tylko Jan Vaillant dostrzegł schadzki miss Anny ze zbirem policyjnym i miał dowód naiwnego zepsucia młodej dziewczyny, zakochanej w nędzniku, zdolnym do wszelkich podłości, pomyślał zaraz o zawiadomieniu brata młodej angielfki.

Przyprowadził tę ostatnią na półzywą do gościnnego domu Joubertów i użył całego swego wpływu na miss Harrisson, ażeby wydrzeć jej obietnicę, że nie wprowadzi w wykonanie swego zamiaru ucieczki.

Widząc, że prośby nic nie znaczą, użył innego sposobu i oświadczył chłodno:

— Nie pójdę spać; służba dostanie rozkaz czuwania, jak tylko wyjdę z pani pokoju, a jeżeli spróbujesz wyjść znowu, dam pani słowo, że zabije Hopkinsa jak psa...

Wiem, że jest o kilka mil, na drodze; silny pani miłością i zapewne z poleceniem śledzenia nas, a ponieważ pani osobliwa miłość, nie brzydzi się rzemiosłem nieuczciwem, nie będzie się śpieszył z ucieczką. Jeżeli więc pani mnie posłucha, bardzo łatwo przyjdzie mi ukarać nędznika.

— A jeżeli nie posłucham?

— Jutro już to do mnie nie będzie należało: jestem przyjacielem pani i jej brata; z tego tytułu uważałem za powinność ustrzedz ją od popełnienia szaleń-



stwa, niczem nienaprawionego; od chwili jak brata pani zawiadomię, on będzie decydował.

— Mój brat nie może narzucać mi swojej woli.

— Bardzo mi tego żal — odparł Jan Vaillant, używając powagi, jaką mu wiek jego nadawał — mógłby ochronić panią od czynu hańbiącego, do którego ciągnie ją więcej wyobraźnia, niż serce.

— Co pan może wiedzieć? — odpowiedziała kwaśno młoda dziewczyna.

Paryżanin widział, że dalsza rozmowa przyprowadzi go do robienia niemiłych uwag miss Annie i nie podniósł już zapytania.

Uklonił się ceremonialnie w chwili, kiedy ona była już u drzwi swoich, potem wielka litość go ogarnęła nad tem zboczeniem umysłowem, za które w gruncie rzeczy młoda dziewczyna nie była odpowiedzialna. Chciał właśnie powiedzieć parę słów przeproszenia za swoje wmieszanie się, kiedy spotkał wyniosłe spojrzenie angielski, utkwione w siebie.

Z pogardliwym uśmiechem odezwała się do niego:

— A pan, który zajmujesz się przestrzeganiem moralności w lesie, jak ci się zdaje, gdybym zawołała, gdybym pokazała się na progu mojego pokoju w późnej godzinie nocnej, czy by kto uwierzył twoim przeciwko mnie oskarżeniom?

Odzyskała już spokój i z pogardą patrzyła na zakopataną postawę paryżanina, który osłupiał, słuchając groźby zuchwałej.

— Czemu pan nie odpowiada — rzekła.



— Nie znajduję odpowiedzi — wyjąkał w końcu — są bowiem takie wyrafinowane przewrotności, jakich się człowiek nie spodziewa.

Miss Harrisson zamknęła mu drzwi przed nosem i Jan Vaillant powrócił do swego pokoju, pełen smutnych rozmyślań.

Spostrzegł on miłość Clodiona dla angielski i pozwoli domyślał się powodów, które spowodowały zniknięcie a może nawet śmierć jego towarzysza.

Odgadywał teraz, jaka chytrłość przewrotna zaplanowała w dziewiczej duszy miss Anny przez zetknięcie z policjantem, i widział, że niezdolny jest przeszkodzić nieszczęściu i hańbie.

Nazajutrz baronet miał długą rozmowę z paryżaninem.

Po wyjaśnieniach bolesnych dla obydwóch, postanowiono puścić się w dalszą podróż niezwłocznie. Wszyscy się na to zgodzili.

Zaraz pierwszego wieczora wydarzył się wypadek.

Stephanus zbliżył się do Hektora du Plessis i rzekł pocichu:

— Śledzą nas, niema wątpliwości.

— Kto taki?

— Zawsze ci sami ludzie.

— A to ciekawe! — mruknął Bur.

I obydwu powierzyli prowadzenie orszaku woźnikom kafrom; puścili całą karawanę naprzód, a sami zostali z Horacyuszem i Harrissonem, którzy pochód zamykali.



Znakiem niewidocznym dla wszystkich, Stephanus wskazał synowi swego pana wóz o pozorach tajemniczych, który stał po za grupą drzew przy drodze.

— Pozwólmy im się zmęczyć! — rzekł w końcu brat Luisy.

Amerikanin i anglik nie byli tego samego zdania; rano mieli długą z sobą rozmowę, nie zbyt pocieszającą dla Hopkinsa.

W chwili gdy dwóch Burów udzielało sobie swoich poglądów na zawzięte ściganie przez nieznajomych, Brooklyn i sir Fryderyk powzięli ważne postanowienie.

W końcu, po kilku słowach, zamienionych z sobą szeptem, uściśli się za ręce.

— Do widzenia wieczorem! — mruknął yankes.

— Do widzenia.

— Każdy z nas ma dziecko do ocalenia. Niebo nam przebaczy. Czy Chrystus nie wypędził przekupniów ze Świątyni?

Dwaj przyjaciele rozstali się, a Stephanus i Hektor stanęli znów na czele karawany.

Hopkins zaś, po ostatniej swojej awanturze, robił sobie w duchu zapytania, czy nie lepiej wyrzec się miłości, a oddać się tylko polityce.

Umiał skorzystać z wpływu, jaki zdawało mu się, że ma na młodą angiolkę.

Jego, od którego powinni byli uciekać, po jego zamachu zbrodniczym, jego szukano, powierzono mu misję odnalezienia Clodiona zaginionego, i jeszcze mu za to płacono.



Hopkins zanadto był sprytny, żeby nie domyśleć się zaburzenia w wyobraźni miss Anny...

Zrazu pochlebiło to jego zarozumiałości.

Potem zrozumiał, jaką korzyść może wyciągnąć z uczucia, które nie było już dla niego tajemnicą.

Umiał korzystać z każdej sposobności i widzieliśmy, iż co chciał, to zrobił.

Wtedy to Jan Vaillant się wmieszał i zniszczył wszystkie jego nadzieje...

I wszystko trzeba było rozpoczynać na nowo.

Mógł być przestać wierzyć w Opatrzność, która aż do ostatniego epizodu zdawała się pomagać bandycie w jego sprawkach. Zaledwie Hopkins ruszył swoim wozem z miejsca, zdecydowany nie stracić z oczu karawany Jana Vaillant, zdarzyło mu się osobliwe spotkanie.

Zajęty przeżuwaniem planu porwania i zemsty, pozwolił oddalić się dużo naprzód tym, których oddawna ścigał.

Szedł z głową spuszczoną za ciężkim wehikułem, kiedy uwagę jego zwrócił szmer w krzakach przydrożnych.

Hopkiks zatrzymał wóz, skrył się za niego i czekał.

Niedługo potrzebował czekać.

Czarny człowiek wyskoczył na środek drogi, o trzy kroki od niego, i stał osłupiały, ujrawszy wóz w miejscu, które, jak sądził, jest puste.

Z podejrzanej postawy, z ubrania dziwaczного, policjant angielski poznał murzyna z Kalahari. Ażeby



się bronić i onieśmielić murzyna, wyjął rewolwer z za pasa i rzucił się na niego.

Nie było nawet walki; czarny prosił o łaskę i na znak poddania rzucił broń swoją na środek drogi.

Agent trzymał jeńca, który go dziwnie kłopotał; po chwili zastanowienia pomyślał, że zawsze będą dwie ręce więcej do zastąpienia rąk kafrów, których może mu zabraknąć.

Wreszcie prędko znajomość zrobili. Są natury stworzone do tego, żeby się odrazu zrozumieć.

— Dokąd ty idziesz? — zapytał Hopkins.

— Do kopalni. A ty?

Czarny mówił z całą dumą swojej rasy, teraz kiedy się widział ocalony.

— Ja może także! — odpowiedział agent, przywykły do takiego obejścia przez długi pobyt w Afryce Południowej.

I mówił dalej:

— Jak się nazywasz?

— Manibonium.

— To prawie po łacinie.

Czarny nie zrozumiał.

Nastało milczenie.

Lecz to nie było interesem policyanta, którego umysł ciekawy nie był zadowolony.

— Kulejesz! — zaczął.

— Trochę.

— Rana?

— W lesie.

— Na polowaniu?



— Tak! Polowanie na człowieka.

— Ah! opowiedz, a będziemy przyjaciółmi.

Jednocześnie Hopkins podał fajkę nowemu przyjacielowi.

— Przed niedawnym czasem — mówił Manibonium — znalazłem białego.

— Sam był?

— Sam i ranny.

— Gdzie!

— W stronie Elands Hech.

— Zabiłeś go?

— Nie! Wymknął się.

— To nadzwyczajne! — odparł Hipkins, który wydawał się mieć wielką pogardę dla bandyty, któremu wymknął się człowiek sam i ranny.

— Tak! ulotnił się! — podjął Manibonium.

— W jaki sposób?

— Nie wiem: biały nie rzuca się w rzekę Łosiów.

— Jeżeli nie pewny, czy z niej wyjdzie. —

— Zulus by z niej nie wyszedł. —

Dawał do zrozumienia, że cóż dopiero europejczyk.

— Może znalazł łódkę — odezwał się policyant. Murzyn wstrząsnął głową.

— Łódkę rozbija skały! — mruknął.

— Przypuścimy, że porwał go prąd i że ominął skały podwodne.

— To jeszcze przecie jest tam pieczara.

— Jaka pieczara?



— Złota pieczara, gdzie fale i ludzie przepadają.

— Może udało mu się dostać na drugi brzeg? — zapytał Hopkins, czepiając się tego ostatniego przypuszczenia w wypadku, w którym odgadywał, kto był bohaterem.

— Nie można przebyć — odpowiedział czarny — ani lasu w płomieniach, ani rzeki wzburzonej... Jednak...

— Jednak... co?.. dokończ że! — krzyknął policyant zniecierpliwiony.

— Jednak Zulus, choć zna rzeki, a rzuca się w nie beznadziei wyjścia.

Tylko tyle anglik mógł wyciągnąć z czarnego.

Po chwilowej przerwie Hopkins rozpoczął znów badanie.

— Jak wyglądał twój europejczyk?

— Mały, chudy.

— Brunet?

— Tak.

— Kurtka skórzana, spodnie aksamitne?

— Tak.

— To on! — pomyślał policyant, który odrazu pewny był, że to Clodion.

— Chciał się jeszcze przekonać.

— To nie był żaden z osadników?

— Nie! — odparł Manibonium. — Osadnik nie zapuszcza się bez światła w las weźwów Boa.

— Ah! to tam go znalazłeś?

— Tak.

Hopkins już nie wątpił.



Te kilka słów ostatnich, które dodał dziki z Kahlari, przekonały go, że ten, co się ulotnił, był to Clodion.

— Okradłem go i związałem! Mało złota w woreczku, ale woreczek mocny.

Wyjął z za pasa przedmiot, skradziony Clodionowi; policyant poznał go odrazu.

I tak dowiedział się dziwnym trafem, że dawny jego rywal w sercu miss Anny, został dwa razy cudownie ocalony.

Czarny opowiedział mu walkę swoją z psem, i niezwykle sposób, w jaki Clodion uniknął uduszenia przez boa, którego znalazł nieżywym u stóp wielkiego drzewa.

Potem, ponieważ coraz większe zaufanie czuły do siebie te dwie złe natury, Manibonium mówił:

— Kiedy się odwróciłem, ranny zniknął.

— Więc chyba miał skrzydła?

— Nie! Nogę dzik mu skaleczył.

— I nie doścignąłeś go?

— Nie śpieszyłem się, bo się także skaleczyłem.

— To dlatego kulejesz?

— Tak! Grunt był spadzisty; bałem się wpaść w przepaść.

— Bałeś się, ty, krajowiec?

Tyle było pogardliwej ironii w tych słowach anglika, że Manibonium wyprostował się z dumą.

— Jestem twoim gościem! — rzekł wyniośle. — Cierpiałem... A korzenie plątały moje nogi. Wreszcie



*Frenchman* nia mógł być dużo przedemną; nie śpieszyłem się zatem. Tak samo jak ja był ranny...

— Co nie przeszkadza, że uciekł.

— Przed tobą uciekł by także; myślałem, że biały upadnie w którymkolwiek krzaku i że pójdę i wezmę go.

— Przekleństwo! Miałaś taką dobrą sposobność — rzekł anglik, oblizując się na myśl tego co się stało w lesie.

— Chciałbym żebyś tam był! — odparł czarny!

— Ba! Człowiek ranny, który przepędził noc sam na sam z boa, nie pójdzie daleko.

— Sam! nie pójdzie! ale ich było dwóch.

— Trzeba było zabić tego drugiego.

— Zadaleko był, jak go zobaczyłem.

— Trzeba było nieustawać w ściganiu.

— Trzęsawisko na drodze...

— A jak oni je przebyli?

— Błoto ich nie powstzymało.

— A ciebie?

— Ja? jadłbym je, tylko jak będę już zimny.

— Pleciesz bajki — rzekł policyjant z niedowierzaniem — trzeba chyba być ptakiem, żeby nie zostać w bagnisku.

— Wcale nie. Dwaj biali przebyli trzęsawisko, jeden niósł drugiego.

— Można oszaleć albo zostać ucziwym, słuchając ciebie! — zauważył Hopkins.

— Wybieraj! — odpowiedział czarny spokojnie.

— Straciłeś świetny interes — podjął anglik.



— Czy byłbym co zarobił, gdybym się był żywcem zagrzebał? Byłbym tam, gdzie są teraz biali, to jest umarli, i byłbym tam się dostał krótszą drogą: do groty Łosiów.

— Nie wyglądasz, jak byś się tam chciał prędko dostać!

— Ma się rozumieć.

— Nędza prowadzi prosto do końca! — oświadczył Hopkins filozoficznie.

— Lecz wolniej daleko.

— Co z tego, jeżeli musimy zawsze dojść do tego samego...

— Czem później, tem lepiej! — zauważył murzyn, który nie zdawał się być zarażony pesymizmem, tak jak agent.

Hopkins postanowił przywieść do rozpaczy swego towarzysza.

— A czy nasz los lepszy? — rzekł.

— Ma się rozumieć, przecież żyję.

— Tak, ale zdechniesz, jak pies na drodze.

— Co to szkodzi! Droga długa, nieskończona, zielona i piaszczysta, więcej warta, niż zgniła mata w szałasie.

Podczas lawiny zdań, przesiąkniętych filozofią, Hopkins, który nie miał zwyczaju zatrzymywać się nad takimi głupstwami, wyciągał wnioski z tego, co mu murzyn z Kalahari powiedział.

Jednocześnie zrozumiał, iż z łatwością wyciągnie korzyść ze współnika, przez traf zesłanego, współnika,



który wreszcie wydawał się usposobiony, aby mu służyć, pod warunkiem dobrej zapłaty.

Anglik wiedział, że nadzieja zarobku była najsilniejszym bodźcem u tych natur pierwotnych, otwartych dla zła, odpornych dla dobrego. Wiedział także, jaką drogocenną pomoc może mieć z czarnego, odartego ze skrupułów, jakie gnieźdzą się niekiedy w duszach najbardziej zepsutych.

— Myślisz? — zapytał czarny.

— Tak! Jak nie mam nic lepszego do roboty.

— A co ty myślisz?

— Że oddam ci broń twoją.

— I będziemy przyjaciółmi?

— Dopóki będziesz chciał.

Hopkins stanął w postawie tragicznej i podał murzynowi sagaie i fuzyę, które tenże rzucił na drogę.

Anglik mówił dalej:

— Oto, o czem rozmyślałem: we dwóch możemy dokonywać wielkich dzieł.

— Tak i ja myślę.

— Człowiek, przez którego ty kulejesz, mnie wsadził kulę w plecy.

— Ah! — rzekł krajowiec z Kalahari.

— Kilkanaście dni choroby, potem przybyłem do Pretoryi i wstąpiłem do policyi.

— Dobre miejsce?

— Ma się rozumieć. Postąpiłem wyżej. Z bandyty zostałem żandarmem! Możesz tak samo zrobić.

— Zobaczymy!

— Postanowiłem w Pretoryi zarobić nieco gwinei.



— I miałeś rację.

— I zabrałem się do poszukiwania człowieka, który tobie uciekł.

— To bardzo nieszczęśliwie.

— Lecz miłość weszła mi w drogę...

— Miłość?

Czarny zamyślił się nad tem słowem. Nie rozumiał go, a policyant nie miał ochoty tłumaczyć mu...

— Wówczas — podjął — postanowiłem zająć się poważniejszymi rzeczami.

— Dobrześ zrobił.

— Oto jak było — mówił anglik, podkreślając słowa. — Dzięki nowemu mojemu powołaniu, jeszcze w Pretoryi zarobiłem na kilka dni szpitala, podczas których znów się zastanawiałem.

— Już mówiłeś.

— Ba! jestem rekonwalescentem, a takim wolno się powtarzać. Wypuścisz z rąk mężczyznę, ale nie puścisz kobiet napewno.

Czarny gestem wyraził swoją pogardę dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego.

— Z mężczyznami — mówił Hopkins — wystawiasz się na niebezpieczeństwo, możesz oberwać kulką.

— Z kobietami — dokończył Manibonium — nie ma tego wszystkiego.

— A więcej daje zysku — dodał anglik.

W oczach dzikiego płowy ogień zaświecił.

Był już zniewolony; tego właśnie chciał anglik.

Podjął znów:



— Na nieszczęście, jest tylko jeden mężczyzna na trzy kobiety.

— Co to szkodzi?

— Czujesz się na siłach porwać trzy osoby?

— Kobiety — rzekł murzyn, dotykając fuzyi mimowolnym ruchem.

— Lecz nie trzeba ich zabijać! — dorzucił policyant z pośpiechem.

— Sznur wystarczy! — odparł Manibonium.

— Aż nadto!

— Gdzie one są?

— Kilka mil przed nami.

— Kiedy się zabierzemy?

— Jutro.

— A ile dla mnie?

— Dziesięć gwinei, albo dwie fuzye.

— Wolę fuzye.

Miłość do broni palnej ozwała się w dzikim.

— A te kobiety są same? — zapytał.

— Och! nie! Podróżują pod dobrą eskortą.

— Więc są i mężczyźni?

— Tak! Lecz znajdzie się sposobność zabrania samiczek z gniazda, kiedy ptaków nie będzie.

— Tak wolę.

Przypomniał sobie ostatnią awanturę z Clodionem Endes i wcale się nie gniewał, że nie spotka białych, których obawiał się przesadnie, od czasu cudownej ucieczki marsylczyka.

Anglik znów zaczął mówić:

— Najpierw jest kobieta stara.



- Ta nie idzie w rachubę.  
— Przeciwnie, idzie w rachubę, gdyż rząd angielski zapłaci za nią więcej, niż warta jej stara skóra.  
— To Burka?  
— Tak właśnie.  
— Spisek zapewne?  
— Zgadłeś.  
— Nienawidzę Burów.  
— Tem lepiej. Rozciągnij nienawiść aż do kobiet.  
— A potem? — zapytał krajowiec.  
— Są dwie młode dziewczyny.  
— To daleko przyjemniejsze.  
— Jedna dla ciebie, druga dla mnie.  
— Rozumiem...

Szli dalej w milczeniu.

Hopkins powoli zapadał w rozmyślanie... Uczuł się za szczęśliwego, że odrazu znalazł spółnika i że za małą nagrodę, pozostawi mu najbrudniejszą część sprawy.

Przeszedł już wszystkie stopnie podłości, a jednak wahał się przed najgorszą: wydać kobiety w ręce policji.

W jego sercu oschłym odezwał się wyrzut przelotny.

Denuncyacya, i owszem! Lecz denuncyować kobiety, nie!

Haniebne rzemiosło szpiega i zdrajcy to był jego sposób do życia.

Szpiegować patriotów, śledzić ich na gościńcach, to wchodziło w jego atrybucje policyjanta na żołdzie rządu.



Z mężczyznami walka, pokrywa najohydniejsze nieco knowania.

Z kobietami to podłość w całym słowa tego znaczeniu, bez niebezpieczeństwa, bez narażania życia.

I byłby może się wahał, gdyby traf nie był mu zesłał spółnika, zdolnego do wzięcia na siebie najobrzydliwszej strony tej sprawy, bez wyrzutów, bez żalu..

Czarny i Anglik szli obok siebie; Anglik ciągle zamysłony:

Kto wie, gdzie myśl go unosiła?

---

#### IV.

### P o r w a n i e.

— Śpisz, idąc? — zapytał go nowy towarzysz.

Policyant ocknął się nagle z marzenia.

Wóz zatrzymał się na skrócie drogi.

Woźnica skierował bydłęta w gąszcz przy drodze.

Nie tak prędko jednak to wykonał, żeby ująć oczu Stephanusa i Hektora du Plessis, którzy właśnie w tej chwili zatrzymali się w tyle orszaku, ażeby zdać sobie sprawę, w jaki sposób są ścigani.

— Co tam? — zapytał agent woźnicy.

Zamiast odpowiedzi, *buchman*, który powoził wehikułem wyciągnął długi bat z kierunku jeźdźców, na końcu orszaku Jana Vaillant.

— Masz rację — odpowiedział Hopkins, zrozumiawszy ten prosty gest — pozwól im, niech idą naprzód.



A pochylając się do ucha Manibonium, szepnęła:

— Widzisz?

— Widzę.

— Tam są kobiety...

— Dobrze! — odpowiedział czarny lakonicznie, siadając na skrzyżowanych nogach w cieniu woza.

Towarzysze rodziny du Plessis posuwali się naprzód.

Jan Vaillant nie mógł odgadnąć powodu niepokoju Stephanusa:

Jan szedł w przedniej straży, kręcił się koło Luisy du Plessis, dla której czuł wzrastającą miłość.

Powoli baczność jego skupiła się na miss Annie, o którą obawiał się, żeby jakiego szalonego czynu nie popełniła.

Sir Harrisson nie odstępował prawie Horacyusza Brooklyn.

William Linden, który nic nie rozumiał, co znaczy nagły wyjazd od Joubertów, żałował swojej kolekcji owadów i roślin, zostawionej u gościnnych gospodarzy. Ażeby się zemścić, chodził od jednych do drugich i wylewał na nich potoki swej uczoności.

Paryżanin stracił swój dobry humor pierwotny; był ciągle na usługach panny du Plessis, i robił, co mógł, żeby ta młoda dziewczyna nie odstępowała miss Anny.

Angielka zносиła towarzystwo młodego człowieka ze źle ukrytym złym humorem; szczerze nienawidziła Jana Vaillant za to, że wmieszał się w jej miłość dla



Hopkinsa, ażeby bez litości zakłócić wyskoki jej romantycznej wyobraźni.

Paryżanin udawał, że nie spostrzega niemiłego wrażenia, jakie jego obecność sprawia na miss Harrisson, która wreszcie, nie życząc sobie, aby wyszły na jaw schadzki z policyantem angielskim, była zmuszona pokrywać wstępną swą do Jana Vaillant.

Raz tylko, kiedy się jej udało zostawić daleko po za sobą tego, który znał jej myśli najtajniejsze, pozwoliła sobie westchnąć boleśnie.

Panna du Plessis była przy boku miss Anny, ona także zatopiona w marzeniach.

Podniosła głowę, utkwiała jasne oczy w towarzyszkę i przemówiła do niej:

— Ty cierpisz, Anno! Dlaczego kryjesz się przedemną? Przyjaziń znajdzie czasem lekarstwo, na boleść jej powierzoną.

— Nie! Ja nie cierpię — odparła młoda angielfka.

— Może przedłużona i szybka jazda cię męczy?

— Wcale nie...

— Przerażasz mnie! — oświadczyła w końcu Luisa, zdziwiona wymijającymi odpowiedziami siostry baroneta.

— Przerażam! Dlaczego?

— Dlatego że wy, urodzone po za morzami, w społeczeństwie więcej wyrafinowaniem, lecz za to mniej szczerem, nie jesteście podobne do towarzyszek, które znałam na naszych przestrzoniach wolnych.

— Czem że się tak różnimy?



— Wszystkiew, lecz najbardziej mową i sercem — odpowiedziała Burka.

— Teraz ja nie rozumiem! — odpowiedziała miss Harisson z lekko ironicznym uśmiechem.

— A jednak to bardzo zrozumiałe. My nie pokrywamy uczuć, jakich doznajemy; wy w salonach, uczycie się skrytości. Czy nie powiedziałaś sama, że często uśmiechasz się do tych, których nienawidzisz, a chłód twój zwiększa się głównie dla tych, którzy ci się podobają? Zawsze chytróść; a kłamstwo nie jest już wadą a drugą naturą, w którą trzeba się przyoblec, pod karą wydania się z brakiem cywilizacyi i wychowania.

— Tak samo jest w waszej dzikiej ojczyźnie — oświadczyła miss Anna urażona.

— Nie, mylisz się, moja droga! Mężczyźni i kobiety, zanadto prości jesteśmy, aby nie mieć serca na dłoni.

— Jednak — odparła angielfka — ty nie mówisz wszystkiego, ty, moja droga Luiso...

Głos jej stał się świszczący, wyraźnie czuć było w nim ironię.

— Ja? — zapytała panna du Plessis, zadrżawszy.

— Tak, ty nie mówisz wszystkiego, co o *nim* myślisz.

— O nim? — zapytała Burka, dotknięta do żywego.

Dotknęło ją to przedewszystkiem dlatego, iż nie przyznając się może nawet przed sobą, pierwszy raz została złapana na gorącym uczynku kłamstwa, czuła



bowiem, że pod zaimek ten mogła podłożyć imię, imię drogie jej sercu.

Wyznanie, które robiła samej sobie, ten egzamin duszy, do którego zmusiła ją miss Anna, mieszał ją... zaczerwieniła się. Angielka się uśmiechnęła.

— Widzisz, moja kochana — rzekła — nie mamy sobie nic do wyrzucenia... Wiecznie ten sam jest rodzaj żeński, jak mówią romansopisarze paryscy, i wszędzie jednakowy; pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, jednakowo kłamie. Miłość nie zmienia się, według klimatu. Zawsze jest to ta sama miłość, z większą lub mniejszą ilością poezyi, dąży do jednakowego celu, choć odmiennymi drogami. Ty kochasz tak jak ja; mniej wyrafinowanie zapewne, bo nie znasz nicości wszystkich tych zakochanych szalenie, ładnych chłopców, umiejących pięknie mówić. Ja marzyłam o czemś lepszem. Chciałam następnie moje idealne marzenia urzeczywistnić... inaczej niż powszednie życie filistrów. Tobie uśmiecha się filisterstwo: oto jedyna pomiędzy nami różnica... Ty jesteś na pół dzika, ciągniesz do cywilizacji; ja jestem cywilizowana, ciągnę do powrotu w stan dzikości, przez wstręt do naszej europejskiej cywilizacji.

Luisę zdziwiły te nadzwyczajne uczucia, jakich nigdy nie podejrzewała u swojej przyjaciółki; jednocześnie czuła się pomieszana, odkąd angielka wyrzeczeniem jednego słowa dała jej poznać stan jej serca.

Ażeby uniknąć nawału myśli, zacięła konia szpicrutą, podczas gdy siostra baroneta, śmiejąc się z bólu,



jaki zadała Luisie, jechała wolno ze zwykłą swoją obojętnością.

Powoli myśl zemsty nad Janem Vaillant zagnieżdżyła się w głowie angiелki. Znalazła już sposób: dotknie go w tej którą on kocha...

Uśmiechała się do siebie, myśląc o ostatnim swym projekcie; miała w rękach zemstę pewną, straszną, nieubłaganą; a ta zemsta była tem pewniejszą, że mogła stopniowo odwracać od Jana Vaillant serce młodej dziewczyny, z którą była ciągle, nie rozłącznie prawie.

Obecnie sama znajdowała się na szerokiej drodze; noc zapadała, mroki słały się po ziemi.

Naraz galop konia rozległ się za nią; obróciła się:

To Jan Vaillant, niespokojny o dwie młode dziewczyny, przybywał, ażeby im służyć za przewodnika.

— Ah! to pan? — rzekła angiелka.

— Tak. Nie powinna panią dziwić moja obecność; nie mogę pani zostawić samej, przy zwiększających się ciemnościach.

— Obawia się pan złodziei?

— Być może! — odpowiedział paryżanin. — Lecz gdzie jest Luisa?

— Tak się przeraziła tem, że pana kocha, iż uciekła.

Nagły niepokój, rodzaj przecucia, przeszył serce Jana Vaillant.

— Proszę panią — rzekł — niech mnie pani uspokoi, co się stało z panną du Plessis?

— Jedzie naprzód.



— Drogi nie są pewne, tem więcej, że zbliżamy się do obozowiska górników?

— Czyż byś się pan obawiał?

Zapytanie uczynione zostało tonem, pełnym pogardy.

Pomimo to, młody człowiek, przywykły już do złego humoru angielski, odpowiedział bez goryczy:

— Zawsze obawiam się o innych, nigdy o siebie.

I nie czekając, jakie wrażenie zrobi jego odpowiedź, dał koniowi ostrogę i zniknął w cieniach pokrywających szeroką drogę.

Dopędził niebawem Luise, która, wstydząc się nagłego pomieszania, teraz uspakajała się stopniowo.

Zwolniła szalony bieg konia, spodziewając się, że towarzyszka z nią się połączy.

Skoro usłyszała szybki bieg konia, nie wątpiła, że to miss Anna.

Lecz gdy zobaczyła przy pierwszych promieniach księżyca sylwetkę mężczyzny, pomieszanie jej powróciło.

Ze zwykłą sobie energią przygotowała się na przyjęcie nowoprzybawającego, tak jak na to zasługiwał, jeżeli był złoczyńcą.

Niedługo trwał jej niepokój, rozśmiała się szczerze, zobaczywszy bezpodstawność swoich obaw: Jan Vaillant zatrzymał się o kilka kroków od młodej dziewczyny.

— Bałem się — rzekł.

— Ja także — odpowiedziała Boerka bez fałszywego wstydu.

— Nie wiedziałem, co się z panią stało.



— Ja znów nie wiedziałam, kto za mną jedzie.

— Zaniepokoiły mnie pewne słowa miss Anny.

Na to imię, wymówione niespodzianie, Luisa zdrżała.

— Połączmy się z ojcem moim — rzekła.

— Albo poczekajmy na niego — zaproponował paryżanin.

Lecz młoda dziewczyna zawróciła już konia; zrobił więc tak samo.

Oboje puścili konie stępo i jechali z powrotem.

Nie upłynęło dziesięć minut, kiedy panna du Plessis nagle zapytała:

— Co tam jest na drodze?

Zatrzymała konia, który zaczął się wspinać.

Jan Vaillant stanął przy niej i patrzył w kierunku wskazanym.

Na białawym pyle ujrzał odrzynającą się czarno, jak gdyby wielką skorupę żółwia olbrzymiego: przedmiot ten nie ruszał się z miejsca.

Jan Vaillant nie przypominał sobie, żeby coś podobnego widział, kiedy przed chwilą przejeżdżał w tem miejscu.

— Z pewnością żółw olbrzymi — rzekł.

— Nie! to podobne raczej do tarczy kafryjskiej — odpowiedziała Luisa.

Paryżanin przypomniał sobie naraz, iż widział, przy tańcach narodowych Zulusów tę broń odporną, zrobioną z kawałków skóry położonych, jeden na drugim, zbitych prawie jeden w drugi, w taki sposób, że twarzą owal, wklęsły z jednej strony.



Przypomnienie to powróciło mu cały niepokój, gdyż nie mógł sobie wytłumaczyć, jakim sposobem ten przedmiot długi, mogący okryć człowieka od głowy aż do nóg, stanął naraz w poprzek drogi.

Chciał ruszyć prosto na tę skorupę, kiedy Luisa powstrzymała go gestem błagalnym:

— Na miłość boską — szepnęła.

— Co takiego? — zapytał Jan Vaillant.

— Niech się pan nie naraża.

W głosie młodej dziewczyny brzmiała prośba i to właśnie zastanowiło Jana. Czuł, że panna du Plessis ma intuicyę niebezpieczeństwa, które dla niego było nieznanne.

Tarcza nie ruszała się z drogi.

Nagle, zanim paryżanin powziął jakąkolwiek decyzję, dał się słyszeć chód konia. Z drugiej strony olbrzymiej skorupy ukazała się miss Anna w białej amazonce.

— Stój! — krzyknął Jan Vaillant, popędziwszy bezwiednie na spotkanie angiелki.

Lecz nie mógł więcej słowa wymówić. Przerazenie głos mu w gardle zaparło.

W powietrzu rozległy się trzy ostre gwizdnięcia: paryżanina uniósł koń przestraszony i przeleciał, nie mogąc powstrzymać obok tarczy, która nagle się podniosła.

Jan Vaillant wypuścił nogi ze strzemion i z narażeniem życia, skierował konia na drzewo przy drodze. Zwierzę uderzyło łbem i padło nieżywe. Pary-



żanin, wyrzucony z siodła, leżał w piasku o kilkanaście metrów od konia.

Zerwał się i biegł do miejsca, w którym zmuszony był zostawić same obiedwie młode dziewczyny.

Niezwykły widok przedstawił się jego oczom.

Konie dwóch amazonek zdychały w strasznych drganiach, przebite od spodu długimi sagaiami, których tylko czubki rękojeści z ran widniały.

Dziewczęta zniknęły, tak samo jak tarcza kafryjska, którą Jan Vaillant widział, jak szybko się poruszała.

Jan nie tracił czasu na próżne domysły; zrozumiał, że ci, którzy porwali dziewczęta, zapewnili sobie sposoby ucieczki i że piechotę ich nie dogoni.

Puścił się zatem, jak mógł najprędzej w kierunku karawany i niebawem ją dogonił.

Upadł zdyszany w ramiona du Plessis, którego niespodziewany powrót przyjaciela zadziwił. Biedny ojciec miał, jak gdyby przeczucie nieszczęścia, o jakim paryżanin opowiedział w kilku słowach.

Cała karawana zatrzymała się.

Ustawiono wozy w koło i naradzano się, w jaki sposób odnaleźć dwie młode dziewczyny.

Natury energiczne nigdy nie upadają na duchu, ani ojciec, ani brat Luisy nie bawili się w próżne narzekania. Nawet Jan Vaillant, z sercem rozdartem, ze łkaniem w głosie, zaraz wsiadł na konia:

— Trzeba szukać, tropić! — rzekł. — Sześciu ludzi odważnych da radę kilku zbójcom.



Dopiero teraz spostrzeżono, że na sześciu mężczyzn, dwóch brakowało.

Wiliam Linden był; męczył mózg, żeby z niego wydobyć jaki plan praktyczny, lecz nie było Horacyusza Brooklyna i sir Fryderyka Harrisona.

— Może pozostali z tyłu — zauważył alzacyjnyk.

Lecz wmixszał się Stephanus:

— Jak tu przyjdą, przyślę ich do was. Nie mamy czasu do stracenia; ja i kafry damy sobie radę w pilnowaniu wozów; jedźcie, jedźcie jak najprędzej. Zaręczam, że jutro przed świtem będę w Lydenburgu z panią du Camp, miss Mary i resztą karawany.

— Dobrze, spotkamy się tam — odpowiedział pan du Plessis i puścił konia w galop a za nim jego towarzysze.

Jan Vaillant pozostał chwilę ze Stephanusem i przykazywał mu, aby powiedział Brooklynowi i Harrisonowi, gdzie się spotkać mają.

Noc czarna zapadła na dolinę.

Jeźdźcy zrazu skierowali się do miejsca, gdzie leżały konie dwóch młodych panien; sam zaś Hektor du Plessis zsiadł na ziemię i, trzymając konia za uzdę, poszedł śladem, który, jako człowiek przywykły do życia pełnego wypadków, odnalazł w labiryncie krzaków i lianów, rosnących przy drodze.

— Dopóki nie stracimy tych śladów, nie oddawajmy się rozpacz.

Stanęli na chwilę, potem światło zabłysło w cieniu; stary Bur myślał o wszystkim i zapalił ślepą la-



tarke, przy której widział wyraźnie, ślady dwóch koni na ziemi wilgotnej.

Du Plessis znów stanął.

Na krzyżujących się drogach spostrzegł ślady postoju wozu; zawahał się chwilę, poszedł za koleją wyrzniętą, powrócił i rzekł:

— Oni także dążą do Lydenburga!

---

## V.

### Przymierze krwi.

Jak tylko Clodion Endes i sir Fryderyk Harrisson poznali się wzajemnie, ci dwaj przyjaciele, rozłączeni od tak dawna, zaczęli zwierzać się przed sobą ze swoich trosk i kłopotów.

Marsylezyk dziwił się, iż serce jego zupełnie spokojne, bije jak zwykle, przy spotkaniu młodego baroneta, przy spotkaniu, które mogło mu robić nadzieję zobaczenia, miss Anny.

Serce milczało i Clodion przestał je egzaminować: myślał nawet w głębi duszy, iż zawsze będzie czas powrócić do uczucia, które o mało go o śmierć nie przyprowadziło.

Wreszcie wspomnienie miss Anny tak ściśle wiązało się ze wspomnieniem długiej strasznej nocy, z niebezpieczeństw, z których cudem tylko wyszedł, iż odpedził te myśli, zdecydowany nie zasmucać przypomnieniem



przeszłości, obecnej radości ze spotkania z sir Fryderykiem.

Sir Fryderyk słuchał w milczeniu historii, opowiedzianej w krótkości, i wypadków, które zaprowadziły Clodiona do kopalni.

Smutek widniał na twarzy baroneta; nie był to już gentleman, prześladowany splinem; był to człowiek dotknięty boleśnie.

Clodion zauważył niebawem widoczną zmianę.

Uderzyło go to...

— A pan? — zapytał — zawsze znudzony?

— Nie — odparł baronet — już się nie nudzę; mam zajęcie i to zajęcie święte.

Clodion wpatrzył się w młodego anglika; a ten nie myślał nawet wstrzymać łez cichych, spływających na jego rude faworyty.

Clodion pomyślał, że coś bardzo poważnego spotkać musiało tego człowieka zimnego, obojętnego, flegmatyka, który teraz nie starał się nawet ukryć swej boleści przed wzrokiem ludzi.

— Na bok! — krzyknął Barrington do górników, którzy kołem ich otoczyli.

I pociągnął sir Fryderyka do wolnego stołu, tego, na którym ojciec Jeremiasz ważył rudę złotą, przyniesioną ze Złotej pieczary.

Wszyscy ci ludzie ze skórą, spaloną od pracy pod gołym niebem, posłuchali jak dzieci rozkazu towarzysza.

Clodion był teraz sam z Harrissonem.

— Co się stało? — zapytał baroneta.



— Siostra moja i Luisa, już temu trzy dni, zostały porwane; Brooklyn nie żyje zapewne.

— Nie żyje!

— Prawdopodobnie!

Wyrzekł to ze strasznem zniechęceniem.

A że Clodion patrzył na niego ze zdziwieniem, baronet mówił dalej:

— Pan du Plessis w rozpacz; syn jego szaleje z bóleści, Jan Vaillant niewiadomo czy przeżyje to; ja nie mogę już na miejscu usiedzieć; co zaś do kolosa amerykańskiego, ten wcale się nie pokazuje.

— Lecz w jaki sposób to wszystko się stało?

— Jak? otóż trudno nawet zrozumieć. Byliśmy tylko o kilka godzin drogi od Lydenburga, kiedy ja i Horacyusz powzięliśmy zamiar pozbycia się człowieka, który nas śledził.

— Kto był ten człowiek? — zapytał Clodion.

— Hopkins.

— A jaki cel miał ten bandyta?

— Zadługo byłoby wszystko panu tłumaczyć: chciał porwać miss Annę.

— Siostrę pana?

— Ona go kocha.

Anglik wyznał to z goryczą, znać było, jak razi młodego milionera uczucie siostry.

Lecz Clodion nie doznał żadnego wstrząśnienia.

Miał wreszcie wyjaśnienie tak dawno poszukiwane. Tego drugiego, dla którego nim pogardzono, on znał dobrze...



I serce żywiej mu nie zabiło. Spokojny był, tylko zdziwiony, że ten rywal, nad niego przeniesiony, był takim nędznikiem.

— Kochała go — powtórzył.

I po tych słowach, wymówionych prawie bez wzruszenia, zrozumiał, że on już jej nie kocha.

Kiedy miss Anna na owej drodze, jednym słowem rozbiła najdroższe jego nadzieje, wteły rozwarło się coś w całej jego istocie, lecz rana się zagoiła i nie krwawiła więcej. Nie cierpiał teraz.

Już jej nie kochał.

Była dla niego ulgą wiadomość, że tamten nie był wart jego; był to poprostu tryumf miłości własnej, nie wchodziła w grę ani zazdrość, ani żal miłości zawiedzionej.

Dziwił się nawet sam, że taki był koniec uczuć, którego utraty, jak sądził zrazu, nie przeżyje.

— Ona jego kochała! — powtórzył po raz drugi.

A sir Fryderyk, pogrążony w myślach, nagle jak gdyby się zbudził.

— To wstyd! — rzekł. — Postanowiłem zabić nędznika, Brooklyn połączył się ze mną. Przysiągł uwolnić swoją córkę od pogoni Hopkinsa, który poszukiwał miss Mary i pani du Champ, ażeby je wydać w ręce policji angielskiej.

— Zbrodniarz puszcza się na wszystko.

— Ma pan rację.

Zamyslił się chwilę, jak gdyby zbierał wspomnienia, które boleść pomieszała, potem mówił:



— Gdy noc zapadła, wykonaliśmy nasz zamiar, jest temu trzy dni... Zostaliśmy w tyle; Jan Vaillant, który puścił się na poszukiwanie mojej siostry i Luisy, jechał naprzód; Brooklyn osądził, że przyszła sprzyjająca chwila i po przez krzaki skierowaliśmy się do miejsca, gdzie, jak przypuszczaliśmy, stał jeszcze wóz Hopkinsa, który od samej Pretoryi jechał za nami w odległości jednej albo dwóch mil.

— Zapewne ukaraliście go, jak na to zasłużył?

— Kiedyśmy go nie spotkali.

Sir Fryderyk wyrzekł te słowa głosem grobowym.

— Naprózno wszystkie drogi przeszukaliśmy — dodał. — Nie... nigdzie... zbrodniarz znikł wraz ze swoim wehikulem. Niestety! niedługo wyjaśniło się to jego zniknięcie.

— Uciekł, żeby uniknąć kary, zapewne?

— Nie! podczas kiedyśmy go ścigali, skorzystał z tego, by porwać Luisę i moją siostrę.

— W jaki sposób, przecie Jan Vaillant i panna du Plessis tam byli.

Baronet opowiedział scenę porwania, o czem dowiedział się od Stephanusa, kiedy po odjeździe du Plessisów i ich przyjaciół, zabrał się do poszukiwania młodych panien i tych, co je porwali.

— A co się stało z moimi dawnymi towarzyszami?

— Są od wczoraj w Lydenburgu.

— Więc co pan opowiada o śmierci Brooklyna?

— Jednego tylko Brooklyna tam brakuje.

— Lecz on był z panem.



— Nie! opuścił mnie od przybycia do taboru wozów, pozostawionych pod strażą Mary i pani du Champ, Stephanusa i Kafrów.

— Dokąd poszedł?

— Chciał dowiedzieć się, którą drogą Hopkins nam się wymknął.

— A Jan Vaillant? A du Plessis?

— Nic nie widzieli, nic nie znaleźli: szli długo śladem złoczyńców, lecz jak dostali się na terytoryum *claim'ów*, stracili ślad wszelki.

— Więc pan sądzi, że Hopkins jest tu w okolicy.

— Pewny jestem.

— A Brooklyn?

— Gdyby mógł, nie byłby pozostawił miss Mary trzy dni z rzędu bez opieki, wie bowiem, że ściga ją policya angielska.

Clodion Eudes wsparł się łokciami na stole, zasłonił twarz rękami i zdawał się namyślać.

Harrison myślał także, lecz medytacye dwóch przyjaciół różne były zupełnie.

Baronet zauważył, iż otrząsnął się ze splinu, że niespodziane wypadki wpłynęły na szybsze krwi krążenie.

— Zatem Brooklyn, według pana, byłby zabity?

— Barczo podobne, a nawet możebne.

— Jednak Horacyusz obdarzony jest siłą herkulesową.

— Kto wie, ilu nieprzyjaciół go napadło! W dodatku, pan wie, że ma swoje własne pojęcia: nie ucie-



ka przed bandytą lub dzikiem zwierzem, chyba zmuszony...

— A dlaczego przyjaciele pana nie są z tobą? — zapytał Clodion.

— Podzieliliśmy się zadaniem — odpowiedział angiłik — każdy z nas szuka na swoją rękę. Du Plessis i Jan Vaillant długo byli na śladzie złoczyńców i nabrali przekonania, że ciż kręcą się w tych stronach. Wreszcie stanowisko Hopkinsa, urząd w policji angielskiej zmuszają go do szukania centrum angielskiego. Ma on pewność, że tam znajdzie poparcie rządu, na którego rachunek prowadzi swoje podłe rzemiosło.

— A gdzie są nasi przyjaciele?

— Jedni w Lydenburgu, którego okolice przeszukują; drudzy w Kaap-City; ja tutaj.

W tej chwili wszczął się straszny hałas na zewnątrz.

Tłum górników wyległ na próg karczmy.

— Moznaby rzec — odezwał się Clodion do baroneta — że szwadron kawaleryi idzie.

— Rzeczywiście — odpowiedział sir Fryderyk, który wydawał się obojętny na wszelki hałas zewnętrzny.

— Rzadki bardzo wypadek w Pilgrim's Rest — zauważył jeszcze Clodion.

Teraz słyhać było wyraźnie chód koni stępem. Dochodził także brzęk stali.

Ozwał się marsz wojskowy angielski.

Clodion jednym susem znalazł się w kole diggerów przy drzwiach.



Cichym głosem pytał tych, co stali w pierwszym rzędzie.

— Kto tam jest?

— Żołnierze.

— Do djabła! czyżby nas kto zdradził? — zapytał Clodion.

Lecz nie miał czasu usłyszenia odpowiedzi.

— To konwój więźniów — oświadczył jeden z diggerów, kalifornijczyk.

— Raczej jedna tylko kobieta więziona! — dodał ojciec Jeremiasz, który stał przed domem, gotów na każdy wypadek, jak zwykle karczmarz, o nieczystem sumieniu.

Usłyszawszy te słowa, na głos wyrzeczone, Harrison przebił się przez tłum co mu widok zasłaniał.

Clodion poszedł za nim.

Baronet jednym rzutem znalazł się przy wozie odkrytym, na którym siedziała młoda dziewczyna, blada, z rozpuszczonemi włosami, w ubraniu pomiętem, patrzyła błędnemi oczyma i łkała.

— Luisa! — krzyknął baronet, chwytając za uzdę konia oficera, co zbliżka strzegł więzionej.

Koń wspiął się, oficer gwałtownie spadł na ziemię a panna du Plessis podniosła głowę i poznała swoich oswobodzicieli.

Clodion wstrzymał już konie, zaprężone do wozu.

Sir Harrison z nogą na kole, przygotowywał się pomódz Luisie do zejścia, kiedy naraz cała eskorta otoczyła więziona.



Dowódzca oddziału krzyknął ostro na młodego baroneta, podczas gdy Clodiona trzymało czterech ludzi.

Szykowano się, pomimo wściekłego krzyku brata miss Anny, do włożenia mu kajdanów, kiedy wmieszał się górnik.

— Dokąd prowadzicie tę młodą dziewczynę? — zapytał oficera, który obojętnie patrzył na tę scenę.

— Do Lydenburga.

— Co ona przewiniła?

— Oskarżona jest o zbrodnię zdrady rządu brytańskiego.

— Kto ją wydał?

— Jeden z naszych policyantów.

Wmieszał się młody porucznik.

— Kapitanie — rzekł — za dobry jesteś odpowiadając temu gburowi. Każ go mocno związać i niech wytłomaczy się gubernatorowi z napadu na konwój.

Clodion, czując, że położenie jest niedobre, podał rękę:

— Dobrze — rzekł — zgadzam się.

Lecz baronet stracił krew zimną.

— No! na bok! — wrzasnął, chwytając za broń myśliwską.

Groźba jego nie zaimponowała żołnierzom.

Czekali rozkazu swego komendanta.

Ale tłum górników zobaczył podoficera, zbliżającego się z kajdankami, jakich używają do wiązania rąk złodziejom.

Podniósł się szmer oburzenia.



Pozwolonoby może zamordować Harrissona, lecz żaden digger nie dałby aresztować jednego ze swoich.

Clodion wsunął ręce w kieszenie i wpatrywał się w jednego z ludzi, wóz otaczających.

— Hopkins! — mruknął wkońcu.

Luisa stała, górując nad żołnierzami, którzy oddali konie towarzyszom i z dobytymi szablami wóz otoczyli.

Sir Fryderyk Harrisson został rozbroiony, zanim zdołał przebić koło i zrobić sobie wolne przejście.

Lecz powoli tłum górników coraz ciasniej opasywał żołnierzy angielskich. Ci zaś cofali się przed tym naciskiem, co ich pchał jednych na drugich, i przecinał im możliwość ucieczki.

Teraz już cała gromada górników zebrała się dookoła setki anglików, opasanych żywym płotem, ścieśniającym się z każdą chwilą.

Oficer, dowodzący oddziałem, nie widział tego manewru. Nagle, człowiek, z którego Clodion oczu nie spuszczał, zbliżył się do kapitana i rzekł:

— Za kilka minut nie będziemy w możności stawić oporu. Jesteśmy już otoczeni.

Wydano rozkaz głosem cichym i kilkunastu kawalerzystów tyłami koni próbowali zmusić tłum do cofnięcia.

Jeden digger został zraniony przez konia; na jego krzyk bóleści, wszyscy towarzysze wyciągnęli broń z za pasów, noszonych pod kurtkami, i naraz mieli w rękach broń przeróżną, jedni noże i sztylety, inni pistolety.

Lecz nagle tłum się usunął.



Mężczyzna o muskułach atlety wszedł w wolną przestrzeń koło wozu.

— To jest czyn nieczny — wyrzekł powoli — kraść kobiety, a ochraniać złodziei.

Głos ten zapanował nad wrzawą. Clodion i sir Fryderyk poznali jego brzmienie.

Był to Horacyusz Brooklyn, który zbliżył się wolno do Hopkinsa, ten zaś cofał się, aż znalazł się, przyparty do wozu.

— Złodziej, to ty jesteś! — krzyknął Yankes i obiedwie ręce spuścił na ramiona policyanta.

— Do mnie, przyjaciele! — krzyknął Clodion jednocześnie, kiedy żołnierze zabierali się wiązać mu ręce.

Zrobiło się zamieszanie.

Przerwał się szereg żołnierzy. Diggery posuwali się ze wszystkich stron.

Anglicy na chwilę stracili przytomność; lecz donośnym głosem oficer zakomenderował:

— Dobyć szabli!

Dotąd nie było jeszcze krwi przelanej.

Tylko Hopkins leżał jak zabity.

Horacyusz wskoczył na wóz. Ujął Luisę w ramiona.

Młoda dziewczyna zachowała całą przytomność umysłu; Clodion, Harrison i Brooklyn oszańcowali ją swymi ciałami. Jeżeli górnikom udało by się otworzyć jej przejście pomiędzy żołnierzami, otaczającymi wóz gęsto, ratunek byłby pewny.

Lecz diggery zdawali się wahać.



W tłumie zaczęła krążyć wieść, że oddział żołnierzy przybywa na pomoc, niektórzy zaczęli się cofać.

— Mój ojciec! mój ojciec! — zawołała Luisa.

— Ognia! — zakomenderował oficer angielski.

I podczas kiedy młoda dziewczyna wskazywała na końcu drogi liczny oddział, rozległy się strzały, kule świsnęły.

Sześciu górników padło.

— Hura! — krzyknął Clodion.

Nastąpiło straszne zamieszanie.

Anglicy padali jak muchy.

Hopkins dusił się pod stosami trupów.

— Śmierć anglikom!

Wszystkie głosy powtarzały ten okrzyk; wściekłość doszła do zenitu.

— Ach! na czas przybyli! — mruknął Brooklyn, składając Luisę w głębi wozu, i patrzył na przybywających jeźdźców, którzy natarli na żołnierzy angielskich z rzadką gwałtownością.

— Brawo! Janie Vaillant! — krzyknął brat Luisy w chwili, gdy paryżanin brał wóz szturmem, odepchnąwszy kapitana, który bronił mu dostępu.

I młody du Plessis rzucił się za nim.

Naraz dostał cięcie szablą w głowę.

Luisa krzyknęła rozdzierająco.

Młody Bur, wysadzony z siodła, potoczył się na ziemię.

Szybki jak myśl, Jan Vaillant zeskoczył z konia, podniósł Hektora i z długim myśliwskim nożem w ręce, powrócił do wozu, gdzie przyjaciele jego rozbrojeni



czekali wyniku bitwy, ograniczając się na odpychaniu anglików.

Paryżanin dotarł już do Clodiona, miał właśnie oddać mu ciężar żyjący, gdy oficer angielski stanął przed nim i przyłożył mu lufę rewolweru do czoła.

Jan Vaillant pewny był, że już po nim. Strzał padł, kula drasnęła mu tylko ucho, oficer stał przed nim rozbrojony, ręka jego bezwładna wisiła wzdłuż korpusu.

Horacyusz jednym uderzeniem pięści wybił ze stawu ramię anglikowi.

Diggers oczyścili plac boju.

Żołnierze, którzy jeszcze mogli się zwlec, i których konie nie były pozabijane, uciekli w kierunku Lydenburga.

Zwycięstwo zostało przy Burach i ich sprzymierzeńcach.

— Zrobiliśmy wielkie szaleństwo! — oświadczył stary du Plessis, ściskając córkę.

Jan Vaillant pochylił się nad Hektorem, który nie był ciężko raniony; Horacyusz go opatrywał. Jan zaś cały był krwią zboczony. Z ramienia spływała mu krew młodego du Plessis; jego własna przesiąkała przez kurtkę i ciekła wzdłuż ręki.

Clodion, zanim nawet powitał swoich przyjaciół, zwołał kilku górników na cichą naradę, poczem cały tłum tychże odszedł do claimów, a on sam podszedł do woza, gdzie Burowie i podróżni stali kołem przy młodym du Plessis, ciągle leżącym bez przytomności.



Ubranie na nim było podarte, twarz czarnym pyłem pokryta.

Ojciec jego, klęcząc, wlewał mu w usta wino.

Naraz Hektor otworzył oczy, ujrzał Jana Vaillant pochylonego nad sobą, z twarzą, pokrytą także krwią i kurzem. Odzyskał mowę razem z przytomnością.

— Jaka szkoda, że pan nie jesteś afrykandem! — rzekł powoli.

— Bardzo cierpisz? — zapytała Luisa, obmywając mu czoło zranione, na szczęście nie bardzo głęboko.

— Nie! — odpowiedział Hektor; — nic mi nie będzie, dzięki naszemu przyjacielowi.

Z po nad dwóch głów, Luisy i Jana, które dotykały się prawie, ranny uśmiechał się do ojca.

— Krew twoja zmieszała się z moją! Drogi Vaillant, teraz pomiędzy nami przymierze na życie i śmierć.

Paryżanin miał łzy w oczach.

— Byłbym dumny, będąc Transwaalczykiem! — odpowiedział.

Luisa podziękowała mu uśmiechem.

I podczas kiedy Brooklyn służył za chirurga, rozmowa szła dalej przyjazna, spokojna.

— Zdobyłeś sobie naturalizację! — oświadczył stary Bur — spróbujemy zatrzymać cię u nas.

Luisa zaczerwieniła się i chciała odejść, kiedy wmieszał się Clodion:

— Przyjaciele — rzekł — szczęśliwy jestem, że was znów widzę, lecz niebezpiecznie jest tu pozostawać. Z Lydenburga przyjdzie nowy oddział anglików prze-



ciw nam, o tem nie można wątpić, a nas za mało do oporu i zwycięstwa. Podług mnie, trzeba jak najprędzej cofnąć się pomiędzy claim'y, gdzie wszystkie wojska Jej królewskiej mości, królowej Wiktoryi nie odważą się iść po nas.

— Masz rację; to będzie najpraktyczniej — potwierdził William Linden, który siedział na ziemi i ze spokojem ocierał pot z czoła.

— Wreszcie zadenuncyują nas bardzo prędko — odezwał się sir Fryderyk Harrisson.

— Dlaczego? — zapytał Jan Vaillant.

Anglik, zamiast odpowiedzieć, wskazał miejsce, na którem leżał Hopkins.

Brooklyn obrócił się także.

— Więc cóż z tego? — zapytał.

— Nie widzicie — odparł młody baronet — że bandyta znów się wynknął?

— Tak! — odpowiedział yankes — a ja byłbym niepocieszony, gdybym był zabił człowieka; nienawidzę krwi rozlewu.

— Więc uchoźmy w miejsce bezpieczne! — rzekł stary du Plessis.

Usłuchano tej rady natychmiast. Mały orszak ruszył z miejsca; dwaj górnicy zrobili rodzaj noszów z fuzy i umieścili na nich Hektora.

Jan Vaillant, Luisa i stary du Plessis otoczyli go, a Horacyusz z Harrissonem i Wiliamem Linden jechali na czele karawany.

Sir Fryderyk starał się dowiedzieć cośkolwiek o losie miss Anny.



— Co się z panem działo? — zapytał alzatezyk amerykańczyka.

— Nic nadzwyczajnego, mój drogi — odpowiedział Brooklyn. — Lecz najpierw, gdzie jest moja córka?

— Bezpieczna, razem z panią du Champ.

— Kiedy tak, to mogę rozmawiać; tembardziej, że mam ważne nowiny dla pana — rzekł, zwracając się do młodego baroneta.

— W takim razie, mów pan prędzej.

— Mogę wszystko powiedzieć?

Linden chciał oddalić się przez dyskrecyę sir Fryderyk go zatrzymał.

— Możesz pan wszystko słyszeć — rzekł. — Jestem nieszczęśliwy ale niepozbawiony czci przez szalony postępek n. j. j. siostry.

Yankes opowiedział w krótkości, co miało miejsce od chwili kiedy z Harrissonem, udał się na poszukiwanie Hopkinsa, nie wiedząc jeszcze o porwaniu dwóch młodych panien, czego się dopuścił policyant.

— Kiedy pan mnie opuściłeś, baronecie, ja szedłem dalej; wiedziałem, że nad moją Mary inni czuwają; powróciłem na główną drogę pędem, i nie zajmując się tem, co pan będzie robił, postanowiłem iść za swoją myślą. Była to myśl dobra. Zrobiłem sobie uwagę następującą: jeżeli człowiek, który nas ściga, nie jest już po za nami, to znaczy, że starał się nas wyprzedzić do Lydenburga, gdzie policja da mu odpowiednie siły do porwania kobiet, których rząd angielski pożąda.



Odgadłem, i po trzech dniach jazdy szalonej prosto przed siebie, ujrzałem światło. Zsiadłem z konia, uwiązałem go u drzewa i dzięki ciemnej nocy, podszedłem do samego woza.

To, co usłyszałem, mało mnie o waryację nie przyprawiło.

Miss Anna mówiła do Hopkinsa, że jeśli najmniejsza krzywda stanie się Luisie, ona powróci do swego brata. Myślałem, że jestem igraszką przywidzenia.

Lecz nie!

Udało mi się wdrapać na tył wehikułu, którego wnętrze było oświetlone; tam, ujrzałem trzech mężczyzn przy dwóch młodych dziewczynach, z których jedna była swobodna, druga leżała na pęku słomy z rękami związanymi.

Baronet spuścił głowę przygnębiony wstydem.

Yankes mówił dalej:

— To panny Luisy du Plessis związanej tak strzeżli. Nie próbowałem nawet wyjaśniać sobie, co to wszystko znaczy, zrozumiałem jedynie, że przedewszystkiem działać trzeba; lecz najmniejsza nieostrożność mogła narazić uwolnienie dziewcząt. Trzech mężczyzn było wewnątrz woza, dwóch powożących kafrów na koźle, którzy całą uwagę mieli tylko w to zwróconą, aby cztery konie ciągnące wehikuł szły jak najszybciej, o ile na to pozwoli noc czarna i droga kamiennista. Pomimo siły, jaką niebo mnie obdarzyło, czułem, że byłoby to zaprzepaszczeniem wszystkiego, gdybym podjął walkę z pięcioma przeciwnikami, dobrze uzbrojonymi i prawdopodobnie zdecydowanymi na wszystko.



Ani miss Annie, ani pannie Luisie nie groziło nic, ponieważ pierwsza zdawała się dyktować prawa Hopkinsowi i używać swego wpływu na protegowanie drugiej. Zrobiłem zaraz plan. Postanowiłem nie tracić z oczu woza policyanta; zeskoczyłem na ziemię; podbiegłem na miejsce, gdzie zostawiłem konia, wskoczyłem na siodło; odtąd jechałem trop w trop za wozem: całą noc i cały dzień wytrzymałem pomimo głodu i zmęczenia.

W Kaap-City Hopkins poszedł do gubernatora angielskiego i oddał mu do rąk Luisę. Miss Annę wysłał do Lydenburga pod strażą swoich spółników zbrodni. Łatwo ją przyjdzie odnaleźć. Lecz chciałem wiedzieć, co rząd angielski uczyni z panną du Plessis, i nie opuściłem jej śladu. Jednego znajomego kafa wysłałem na wszelki wypadek do Lydenburga, gdzie spodziewałem się, że moi towarzysze podróży już przybyli. Ten kafr wywiązał się z polecenia. Znalazł Jana Vaillant i pana du Plessis; uwiadomił ich, że Luisę pod silną eskortą prowadzą do Lydenburga. Traf sprowadził Clodiona Endes na naszą drogę. Bóg dokonał reszty: niech imię Jego będzie błogosławione!

Kończąc opowiadanie, Horacyusz Brooklyn dotarł do pierwszych rowów, wykopanych przez górników, w poszukiwaniu kruszcza drogiego.

Zrozumiał, dlaczego Clodion twierdził z taką pewnością siebie, że żołnierze angielscy nie przyjdą tu ich poszukiwać.

Cała okolica wyglądała jak po kataklizmie żywiołów. Pagórki wznosiły się obok głębokich rozpadlin.



Wały w claimach tworzyły reduty naturalne dokoła szerokich studzien, które zagłębiały się pod ziemię jak przepaście bezdenne. Sznury plątały się z sobą jak nici na warsztacie tkackim, a na skrzyżowaniach kosze i kubły, z których ziemię wysypano, wisiały puste, inne jeszcze pełne.

*Sluice-box* zagradzały co chwila drogę i tworzyły przeszkody pod nogami koni; były to szerokie i długie rury drewniane, leżące gęsto; słychać było wewnątrz niektórych szumiącą wodę, płynącą strumieniem, żeby zabrać ziemię, piasek a zostawić złoto i kamienie, zawierające ten kruszec w sobie.

Całe niezmierzone obozowisko górników tworzyło fortecę niezdobytą, po za którą kilkunastu ludzi odważnych, mogło śmiało walczyć z dobrym skutkiem przeciw daleko większym siłom.

Horacyusz i jego towarzysze stanęli, oczekując nadejścia noszów z Hektorem du Plessis.

William Linden milczał ciągle. Szukał prawdopodobnie praktycznego sposobu przyścia z pomocą sir Fryderykowi, do odszukania siostry i ukarania Hopkinsa.

Sir Fryderyk zaś wyrzucał sobie w duszy, iż nie dobił nędznika, którego yankes silną pięścią powalił pod koła wozu, na którym Luise uwięzioną trzymali Anglicy.

Nosze z Hektorem szły wolno.

Ojciec słuchał opowiadania córki o przejściach jej od chwili, kiedy koń uniósł Jana Vaillant i pozbawił ją opieki i jego pomocy.



Przyznawała, że miss Anna była w porozumieniu z Hopkinsem, lecz jednocześnie oddawała jej sprawiedliwość, że jej wstawienictwu zawdzięcza, iż uniknęła ostatecznej zniewagi.

Naprzód już była przyobiecana za żonę kafrowi z Kalahari, temu, który dokonał porwania, i gotowa na śmierć, postanowiła bronić się odważnie, kiedy naraz Hopkins wymógł na swoim spółniku że tenże zrzekł się swego zamiaru.

— Wreszcie — dodała młoda dziewczyna — wiedziałam, że nie jestem opuszczona. Słyszałam w nocy kroki konia, i z zamkniętymi oczami, żeby nie ściągać podejrzania, słuchałam w ciszy nocnej i rachowałam że to był odgłos kopyt pięciu koni, a przecież tylko cztery było zaprzężonych do woza. Więc ktoś jechał za mną: to był Horacyusz Brooklyn. Przekonałam się o tem w Kaap-City, w chwili kiedy urzędnik angielski kazał mi siadać na wóz, z eskortą liczną, spostrzegłam naszego przyjaciela z głową, w górę zadartą, unikającego patrzenia na mnie, żeby się nie zdradzić, lecz upewniającego się, czy popręga na jego koniu silnie podpięta. Zdziwienie moje wzrosło, kiedy przejeżdżając przez Pilgrims-Rest, zobaczyłam, wdających się w moją sprawę Clodiona i sir Fryderyka Harrisson. W końcu, gdy obłok kurzu podniósł się na głównej drodze, czułam, że jestem ocalona. Niebo się nami opiekuje. Trzeba z tego korzystać i nie tracić ani minuty. Jutro wszyscy diggerzy zostaną obsaczeni, jak dzikie zwierzęta. Ojciec, czas już, trzeba żeby Burowie podali rękę górnikom, trzeba...



— Milcz, dziecko — odpowiedział starzec — jeżeli przyszedł czas, żadna władza ludzka nie odwróci gniewu Bożego.

Jan Vaillant słuchał w milczeniu. Clodion podszedł do Achillesa du Plessis i, podając mu rękę, rzekł zcicha:

— Przyszedł już czas.

Bur spojrzał bacznie na swego interlokutora.

— Zkąd wiesz o tem? — zapytał.

— Jestem Barrington! — odpowiedział tylko Clodion. — Jutro, jeżeli zażądam od moich towarzyszy, odłożą na bok łopaty i kilofy, aby ująć za fuzyę i szpadę. Jutro, jeżeli Burowie do nas się przyłączą, ustanie krwawy ucisk anglików. Wy chcecie bronić waszych osad od złodziei obcych; my chcemy bronić naszych claimów przed tymiż samymi złodziejami. Przez długie lata ciężkie jarzmo dźwigaliście. To jarzmo dźwigam od kilkunastu tygodni, lecz znużony już niem jestem tak samo, jak wszyscy osadnicy Pilgrims-Rest, jak wszyscy osadnicy holenderscy i francuscy, którzy sieli po to, żeby Anglia zbierała. Wreszcie — dodał Clodion w uniesieniu — jutro rozpocznie się prześladowanie nasze, i jutro, na moje wezwanie, jeżeli osądzę to za potrzebne, wszyscy górnicy zbiorą się i prochem i kulami domagać się będą sprawiedliwości!

— I wolności! — dokończył ranny Hektor du Plessis który połączył się, z Horacyuszem i jego dwoma towarzyszami.

Clodion Endes gwizdnął; natychmiast wyłoniły się z cienia pierwszych claimów, liczne sylwetki górników.



— Hasło! — zapytał jeden z nich.

— *Zjednoczenie tworzy siłę!* (L'union fait la force).

Wmieszał się du Plessis.

— To jest godło Transwaalu!

— Czy nie jesteśmy wszyscy Afrykanderami? — odparł Clodion.

— Niechże będzie — odpowiedział starzec — Bóg tego chce!

A Horacyusz dorzucił:

— Przepelniła się czara nieprawości.

Stary Bur pociągnął Clodiona do siebie.

— Masz tu człowieka pewnego?

— Wszyscy mnie są oddani.

— Lecz anglika?

— Niema już anglików w claimach, są tylko górnicy.

— Poślij człowieka pewnego do Lydenburga.

— Do kogo?

— Do Stepchanusa Haemana.

— W jakie miejsce?

— Do *French Hotelu*.

— A co ma powiedzieć?

— Proste zdanie.

— Jakie?

Achiles du Plessis nachylił się do ucha Clodiona, w obawie żeby nie być usłyszanym, i odpowiedział:

— Bóg choć nie rychły, ale sprawiedliwy.

— I? — zapytał Clodion.

— I jutro wszyscy Burowie pod bronią oczekiwać będą rozkazów.



— Dzięki! — odpowiedział Clodion z uniesieniem. Poczem krzyknął w przestrzeń.

— Dick!

Zbliżył się człowiek z twarzą ogorzałą:

— Idź, powiedz przyjaciółom — rozkazał mu Barrington — że zawrzało w kotle.

— Ah! — rzekł przybyły ze zdziwieniem.

— Trzeba już było — odpowiedział Clodion — ponieważ jutro będziemy mieli całą armię angielską na karku.

— Tem lepiej! tem lepiej — odparł ten, którego nazwano Dickiem.

Oddalił się, lecz Barrington go przywołał.

— Przyślij mi ojca Jeremiasza.

— Zaraz?

— Tak. Powiedz, niech będzie na koniu; pojedzie bowiem do Lydenburga.

A zwracając się do starego du Plessis, dodał:

— Ten was nie zdradzi i nie obudzi podejrzeń policyi angielskiej.

Cały orszak ruszył w pochód i przybył do claimu Clodiona.

— Tu jesteśmy bezpieczni! — rzekł tenże z zadowoleniem.

Nie myślał już o miss Annie. Całą duszą był z tem, co miało nastąpić:

Wieczorem, z rozpadlin, w których diggerzy się zebrali, słychać było szmer narad i powtarzane często słowa kabalistyczne: *zawrzało w kotle*.

---



## VI.

## Zacięta walka.

Rok 1880 dobiegał do końca. Kilkanastcie dni zaledwie upłynęło od wypadków, przez nas opowiadanych.

Na szczęście, rana młodego du Plessis nie była niebezpieczną. Podniósł się prędko i mógł być obecnym na mitingu, zwołanym w claimach przez Clodiona Endes, na który dużo Burów się zebrało, z powodu bezczynności policji angielskiej, po utarczce przy Pilgrim's Rest pomiędzy górnikami i żołnierzami.

Wiemy, że oddawna wrzało w całej Afryce Południowej, i trzeba było tylko iskry, ażeby płomień buchnął; tę iskrę Hopkins rozniecił.

Zorganizowano rodzaj komitetu bezpieczeństwa publicznego. Przedstawiciel angielski osądził za stosowne wrócić do Lydenburga, nie czując się bezpiecznym pomiędzy górnikami. Lecz Anglia wahała się jeszcze.

Nie miała bowiem dosyć wojska w okręgu górniczym, ażeby narzucić swoją władzę, przeciw której kraj cały protestował.

Clodion Endes nie stracił ani minuty. Podjął dzieło oddawna rozpoczęte i szerzył wściekłą propagandę przeciw okupacji angielskiej, narzucającej się siłą wbrew geografii i prawu mieszkańców Transwaalu, których bogactwa w kopalniach złota, budziły chciwość przywłasczycieli.



Zredagowano akt, którym górnicy, żądali *status quo* z przed najścia anglików.

Żądano odbudowania Rzeczypospolitej i wycofania natychmiastowego wojsk angielskich.

Nowy powód niezadowolenia, Clodion wyżył z korzyścią. Ze względu na stan kraju, asymilacja czarnych z białymi, którą Anglicy próbowali zaprowadzić, była bardzo niepożądaną dla górników, tak samo jak dla Burów. Obalić rodzaj prawa kastowego, znaczyło to wydać kafrom górników lub fermerów i odebrać tymże wszelki sposób obrony rabunku i ruiny.

Reprezentanci królowej Wiktoryi, którzy uważali za konieczność utrzymania niewolnictwa w Zalulandzie, walczyli przeciw niemu w Transwaalu, ażeby tym sposobem podburzać mieszkańców kraju jednych przeciw drugim.

Zebranie, które zwołał Clodion Endes do tawerny ojca Jeremiasza, było bardzo liczne i głośnie, ojciec Jeremiasz bowiem przyniósł wiadomości z Lydenburga.

Cały orszak Jana Vaillant, zwiększony przez obecność miss Mary, panią du Champ i Stephanusa, przybyłego rano z wozami, znajdował się także.

Więcej niż trzy tysiące ludzi nappełniało salę.

Du Plessis głos zabrał.

Przypomniał, iż pierwszymi posiadaczami tej ziemi byli osadnicy holenderscy, Burowie, potem ci, którzy przybyli szukać szczęścia, kopiąc ziemię, aby z niej wydobyć złoto.

— Wywłaszczać nas, wywłaszczać was — kończył starzec — to jest czyn złodziejski, który i tak niebo dość



długo cierpiało. Cierpliwość ma swoje granice, a my już nie mamy nawet rezygnacyi. Z pomocą Boga stan ten się zmieni.

Zakończył temi słowy:

— Panowanie Kafrów lepszeby było, niż administracya tych pijawek.

Były inne mowy, inne wnioski, które wszystkie do jednego zmierzały.

Słowem, przy końcu mitingu, pośród entuzjazmu nie doopisania, obwołano Rzeczpospolitą.

Zaraz na miejscu ustanowiono rząd tymczasowy. Burowie, którzy się tam znajdowali, wybrali tryumwirat, który od dawna propagował idee autonomii i wolności.

Obwołano Pretorjusa. Jouberta i Krügera.

Du Plessis odmówił tego zaszczytu.

— Rzeczpospolita — powiedział — potrzebuje ludzi silnych, a nie starców!

Od tej chwili wypadki następowały po sobie z błyskawiczną szybkością.

Anglicy nie czuli się na sile stłumienia powstania w kraju, w którym wszystka ludność uchwyciła za broń i czekała tylko sposobności zmierzenia się z ciemżycielami.

W grudniu 1880 roku nowy rząd wydał proklamację, która nie pozostawiała wątpliwości o jego zamiarach.

„Postanowiliśmy, mówiła proklamacya rządu, i lud nam wskazał drogę naszą, i zaręczamy przed Bogiem, który zna dusze, że ktokolwiek uważa nas za bunto-



wników jest potwarcą. Przysięgamy na to wobec świata całego. Obywatele Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej nigdy nie byli poddanymi Jej królewskiej mości, królowej Wiktoryi i nigdy nimi nie będą. Dlatego właśnie ponawiamy naszą protestacyę, i oświadczamy, iż gotowi jesteśmy użyć wszelkich sposobów, ażeby zapewnić prawa naszego ludu, czy to drogą gwałtu, czy pokojową. I co za tem idzie, oznajmiamy wszystkim i każdemu z osobna, że 13-go grudnia 1880 roku rząd Rzeczypospolitej rozpoczął działać!“

Zdawało się, że rząd brytański postanowił cicho siedzieć i czekać, ażeby nowy atak z bronią w rękę zmusił go do wyprowadzenia wojska w pole.

Po pierwszej utarczce z powodu Luisy du Plessis, rząd angielski posłał zabrać swoich zabitych i rannych; obiecał diggerom karę przykłądną, i nic nie zrobił.

Teraz powstanie ogarniało płomieniem wszystkie okolice a rząd czekał.

Na co czekał?

Na posiłki.

Skoro tylko rozeszła się po miastach prawdziwa przyczyna bezczynności wojsk angielskich, wodzowie powstania osądzili, iż wypada nie czekać, aż ciemężyciele będą w liczbie dostatecznej, aby ich zgnieść.

Zdecydowali się porzucić politykę wyczekującą, dla polityki czynnej.

20-go grudnia górnicy i Burowie, od świtu dnia byli pod bronią, Clodion i du Plessis przebiegali szeregi tej armii improwizowanej.



Dowiedziano się, że oddział pułku 94-go piechoty ma się udać z Lydenburga do Pretoryi i postanowiono przeciąć mu drogę.

Rano dano znać że Anglicy idą.

Stephanus poszedł na zwiady a<sup>1</sup> po<sup>1</sup> powrocie krzyknął:

— Idą!

Słowo to wystarczyło, aby każdy upewnił się o dobrym stanie swojej broni.

— Czekamy na nich tutaj? — zapytał Clodion du Plessis'a.

— Nie, bo z Lydenburga przysłano by im na odsiecz — odpowiedział stary Bur.

— Więc jakie rozkazy?

— Iść, czekać na nich w Bronker's Spruit.

Rozkaz wykonano.

Forsownym marszem stu pięćdziesięciu Burów i górników poszli na miejsce wskazane i stanęli w szyku bojowym.

Okolo pierwszej godziny po południu pokazał się oddział angielski.

Du Plessis przywołał syna.

— Wiesz, kto dowodzi oddziałem?

— Tak; pułkownik Anstruther.

— Dobrze; przyślij mi Jana Vaillant.

W kilka minut Jan się stawił.

— Potrzebuję człowieka, któryby się poświęcił — rzekł stary Bur.

— Czy nie jestem Afrykanderem?



— Bo Anglicy mają właściwy sobie sposób zapamiętania się na prawa ludzkie. Każą je szanować, gdy chodzi o ich rodaków, a sami nie szanują go względem innych narodów. Posłannictwo może być niebezpieczne.

— O co chodzi? — zapytał Jan Vaillant niecierpliwie.

— Iść do pułkownika angielskiego z białym sztandarem.

— Już? — rzekł Jan z pewną goryczą. — Więc pan nie pewny swoich ludzi? Obawia się pan wyniku starcia?

Starzec wyprostował się z powagą.

— Nie znasz mnie, młodzieńcze — rzekł — a jednak jedziemy obok siebie przez tyle tygodni. Walczyliśmy dziś za świętą sprawę, i chcę, żeby wojna na śmierć uroczyście była wypowiedziana najeźdźcom. Czekać ich tutaj i wydać bitwę nie uprzedziwszy o tem, byłoby to sprawą gerylasów i bandytów. Dziś my przedstawiamy Rzeczpospolitą Południowo-Afrykańską, trzeba żeby świat wiedział, że my jesteśmy wojskiem regularnym pod rozkazami rządu legalnego.

— Niech tak będzie! — odpowiedział Jan Vaillant — będę parlamentarzem, lecz tracimy wyższość naszej pozycji. To już nie zasadzka, w której pewni jesteśmy zwycięstwa; to będzie bitwa regularna, w której możemy pójść w rozsykę. Pomyśl pan, że jest nas tylko stu pięćdziesięciu ludzi, niezających karności wojskowej.

— Spartan w Termopilach było tylko trzystu, źle uzbrojonych.



Dawszy taką odpowiedź, du Plessis wyjął z kieszeni arkusz papieru i, nie zsiadając z konia, pisał:

„Ponieważ Rzeczpospolita została obwołana w Heidelbergu, a lud Niderlandzki postanowił ją utrzymać, wszystkie ruchy wojsk angielskich mogą być dla niego tylko szkodliwe; jeżeli pułkownik przejdzie Spruit, będzie to uważane za wypowiedzenie wojny.“

— Oddaj mi broń twoją — rzekł do francuza.

Jan był posłuszny, oddał broń i ruszył co koń wyskoczy.

Bur ustawił swoich ludzi z jednej strony drogi — jak tiraliarów, sześć kroków jeden od drugiego.

Widać już było wojsko angielskie o jakieś pięćset kroków, słychać było muzykę wojskową.

Naraz muzyka umilkła.

Jan Vaillant dotarł do pułkownika, który zobaczył już także Burów, rozstawionych przy drodze.

Anstrutcher jechał o jakie sto kroków po przed kolumną, w poszukiwaniu miejsca na obóz.

Ujrawszy biały sztandar, zawrócił w golop i rozkazał wojsku stanąć.

Wysłał naprzeciw Jana Vaillant angiłka, Ralphi Egerton, który towarzyszył kolumnie, jako szef bagaży.

Ostatnie wozy i straż tylna ścieśniały szeregi.

Jan Vaillant podał depezę, którą pułkownik rozpieczętował.

Zmarszczył czoło; lecz mruknął tylko obojętnie:

— Spruit, to jest Rubichon...

Następnie pytał Jana:

— Kiedy mam dać odpowiedź?



— Zaraz.

— Ile czasu do namysłu?

— Dwie minuty.

— Mam wielką chęć kazać cię rozstrzelać, buntowniku!...

Jan ani drgnął na flegmatyczną groźbę pułkownika.

— To pańska rzecz, a ja się tego spodziewałem.

— Ach! zapewne gotów jesteś do obrony?

— Nie mam broni.

Ansrutcher zawahał się chwilę, następnie dodał:

— Ty spełniasz swoją powinność, to dobrze. Ja spełnię swoją...

— Jaką odpowiedź zaniose?

— Że mam rozkaz iść do Pretoryi; i że pójdę...

Jan Vaillant ukłonił się, nie powiedziawszy ani słowa.

Anglik dodał:

— Jesteś pan wolny.

Jan oddalił się galopem, a pułkownik i Ralf Eger-ton powrócili do swego oddziału.

Zaledwie paryżanin połączył się z Burami, kiedy ci zaczęły strzelać.

Ukryci w trawach, osłonięci drzewami, mierzyli celnie do oficerów, wołów zaprzęgowych, furgonów, znacznych po czerwonych chorągwiach.

Anglicy uformowali się w kwadrat przed swoimi wozami.

Odpowiadali na strzały, jak mogli, lecz, stojąc nieco niżej, mało robili szkody Burom.



Oficerowie angielscy padali; żołnierzy dziesiątkowano, a po dwudziestu minutach, pułkownik ranny miał już tylko kilkunastu ludzi koło siebie: ośmdziesięciu sześciu zginęło, a dwudziestu sześciu było niezdolnych do walki. Pułkownik zaklął straszliwie i przywołał kapitana.

— Co pan o tem myślisz? — zapytał.

— Przepadliśmy, pułkowniku — odpowiedział kapitan.

— Dobrze... Ponieważ jestem ranny i umrę z tych ran, możecie się poddać.

Anglicy zaczęli powiewać chustkami i kapeluszami.

Burowie zaraz zbliżyli się, otoczyli ich i wzięli do niewoli.

Pułkownika Anstrutcher, całego krwią zbroczonego, przyprowadzono przed du Plessis'a i Jouberta.

— Zbierz pan swoich rannych — rzekł stary Bur — oddajcie broń, a ponieważ macie rozkaz udania się do Pretoryi, idźcie swoją drogą, jesteście wolni.

Pułkownik angielski skłonił się i zemdlął. W kilka dni umarł w szpitalu wojskowym w Pretoryi, tak samo jak większa część rannych z Bronker's Spruit.

Po wypuszczeniu na wolność jeńców, du Plessis zgromadził na rostajnych drogach znaczniejszych Burów i górników.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece! — rzekł tylko ojciec Luizy — a będziemy wolni!

Jeremiasz dodał:

— Mamy zawsze więcej szansy, niż Zulusi!



Powzięto zaraz energiczne postanowienie: Nikt nie złoży broni, aż zdobędą autonomię.

Burowie i górnicy wrócili do claimów i ferm swoich i gotowali się bezustanku.

Powstanie ogarniało kraj cały; Horacyusz i Harrison powrócili do Lydenburga z Luisą, Mary i panią du Champ, dla robienia propagandy przeciw Anglii.

Jan Vaillant przebiegał kraj z ojcem i synem du Plessis; Clodion Endes zbroił górników.

Garnizony angielskie były w krytycznym położeniu: posiadając kilka armat polowych, schroniły się w siedmiu miejscowościach Transwaalu i tam się ufortyfikowały.

Głównodowodzący armią angielską, generał Colley, który rozporządzał tylko 4,000-mi ludzi, rozrzuconymi wszędzie potrochu, oczekiwał posiłków z Anglii 5,000 żołnierza.

Ażeby dać czas na przybycie tej pomocy, wystosował do Natalu, do tych, których nazywał buntownikami, ultimatum, którym dawał termin do 23 stycznia dla poddania się rządowi królowej Wiktoryi i do złożenia broni.

Burowie nie zaraz odpowiedzieli; naradzali się. W końcu, du Plessis i Joubert dostali polecenie redagowania odpowiedzi. Odpowiedź była w takim samym szlachetnym i stanowczym tonie, jak pierwsza protestacja ligi południowo-afrykańskiej.

„Rząd Transwaalu, mówiła odpowiedź, gotów jest, jak tylko swobodę odzyska, przyjąć protektorat angielski pod pewnymi warunkami, i zgodzi się na wywiesze-



nie raz na rok sztandaru Wielkiej Brytanii. Jeżeli te warunki nie zostaną przyjęte, zdajemy się na sąd Boży“.

Anglicy odmówili przyjęcia warunków. Nie pozostało więc, jak prowadzić dalej walkę.

Wybuchła też straszna w początkach lutego. Sir Fryderyk Harrisson, który walczył przeciw swojemu krajowi, odkąd nienawiść do jednego z rodaków wszystkie inne uczucia w nim zabiła, jednocześnie przeprowadzał inną myśl jeszcze.

Poszukiwał Hopkinsa i podczas kiedy do walki przygotowano się w całym Transwaalu, on szedł zawzięcie za śladem, na który udało mu się natrafić!

Dwa razy już miał nadzieję dowiedzenia się, co się dzieje z jego siostrą; i dwa razy nie mógł dotrzeć do niej.

Wiedział jednak przez Kafrów, wysłanych na zwiady, że miss Anna szła za oddziałem armii angielskiej, i udało jej się, że dał jej ślub z Hopkinsem jakiś duchowny. To był ostatni cios, zadany miłości własnej młodego baroneta. Znienawdził wszystkich swoich współziomków i zdecydował się pomagać z całych sił tym, których rząd angielski nazywał buntownikami.

Przylączył się do oddziału Jana Vaillant, który ze znaczną liczbą Burów poszedł na ziemie Natalu zając silną pozycję na górze Rigguos, której wysokość dochodzi do 4,200 stóp.

Miss Mary, zawsze w towarzystwie swego ojca i wspomagana w swoim posłannictwie przez Luisę du Plessis i panią du Champ, powoływała wszystkich fer-



merów holenderskich do powstania przeciw okupacyi angielskiej. Niezwyczajna amerykanka, której piękność miała w sobie coś anielskiego i nadprzyrodzonego, miała dobre słowa na pociechę żon opuszczonych. Znajdowała słowa, co wlewały nadzieję w serca kobiet i dzieci, pozostałych w domu; i dzięki jej gorącemu patryotyzmowi, rozplomieniali się najspokojniejsi uprawiacze ziemi.

Górnicy także ulegli jej wszechmocnemu wpływowi. Należała do wszystkich narad w małych miasteczkach, które przebywała z ojcem i synem du Plessis i z Joubertami, i wszędzie odnosiła zwycięstwo jej wymowa na korzyść sprawy ojczystej.

8-go stycznia generał Colley zdecydował się zaatakować wąwóz góry Biggurs, który był jedynem przejściem pomiędzy Natalem i Transwaalem; z 1,300 ludźmi i kilkoma armatami rozpoczął ogień przeciw garstce Burów.

Przez całą godzinę prażył ich strzałami; transwaalczycy stracili 40 ludzi. Nie posiadali artyleryi; odpowiadali z ręcznej broni, ukryci za odłamami skał i pni drzew.

— Celować do oficerów! — krzyknął Jan Vaillant.

A ci chłopci, najlepsi strzelcy na całym świecie, trafiali w jeden po drugim najbardziej ugalonowane mundury.

Naraz Anglicy przypuścili szturm. Człowiek jakiś prowadził ich przez wąwóz i do ataku ścieżką pomiędzy dwoma skałami, które uniemożliwiały ogień śmiertelny Burów...



Anglicy w ten sposób obeszlą silną pozycję Burów. Podczas wdrapywania się, sunęli ścieżką osłonięci wysokimi skałami granitowymi, na których kule płaszczyły się i odbijały.

Nagle dwustu żołnierzy angielskich wdarło się na ostatnie okopy transwaalskie.

Trzydziestu Burów rzuciło się na ich spotkanie.

Mary i Brooklyn uszykowali ich na pędce.

Zawrzał bój zacięty, pierś przy piersi.

Horacyusz, uroczysty i poważny jak zawsze, objął dowództwo nad małym oddziałem, mówiąc te słowa ze stoicyzmem:

— Umrzycmy tutaj; damy czas naszym przyjaciółom do odwrotu... Bóg pomaga dobrym!

I Horacyusz z wielką szablą kawaleryjską w ręce, rękojeścią jej kładł trupem tych, którzy za bardzo zbijałi się do córki.

Po trzykroć anglicy rzucali się z bagnetami na przód; po trzykroć ścieśnione ich szeregi przerzedzone zostały i po trzykroć się cofali.

Horacyusz i jeden z synów Jouberta stali przy miss Mary, która cudownie piękna z włosami rozwianemi, wysoka i smukła w białej sukni, podbudzała przyjaciół do walki; na *Hurrah for England*, okrzyk nieprzyjacielski, ona odpowiadała: *Transvaal for ever*; które znajdowało ucho w sercach dzielnych chłopów francuskich i holenderskich.

Naraz młody Joubert dostał kulą w głowę, aż mózg bryznął i młody Bur puścił drzewco sztandaru, który trzymał.



Mary podniosła szmatę podziurawioną kulami, owinęła się nią, podczas kiedy ojciec jej pochyłał się nad młodym człowiekiem, pozbawionym przytomności.

W tej chwili poraz czwarty Anglicy przypuścili atak na Burów, którzy tym razem zostali zdziętkowani i odparci.

Człowiek z galonem kapitańskim rzucił się na miss Mary i chciał z niej zedrzyć sztandar, w który się owinęła.

Młoda dziewczyna przymknęła oczy, jak przed straszną zmorą, i wyrzekła głosem słabym:

— Hopkins, znowu on!

Wystrzał rozległ się koło jej uszu.

Policyant runął na ziemię.

— Sprawiedliwość wymierzona! — rzekł poprostu Horacyusz, klękając znów przy młodym Joubercie.

— Sprawiedliwość!... Oh! nie! — odparł dobrze znany głos miss Mary.

I zaraz ten sam głos krzyknął:

— Ognia!

Trzask dał się słyszeć.

Cały pierwszy rząd oddziału angielskiego padł na ziemię.

— Oto jest prawdziwa sprawiedliwość! — wykrzyknął sir Fryderyk Harrisson, który znalazł się tu w porę z trzydziestoma Burami.

Przeskoczył przez trupy, które mu zagradzały drogę i pomimo żołnierzy angielskich, co strzelali uciekając, jednego z nich, leżącego na ziemi, uchwycił, bezwąsego, z blond włosami, unurzanemi krwią i błotem.



— Ach! poznałem cię odrazu! — mruknął.

Horacyusz zbliżył się i, obejrawszy głęboką ranę, którą dostała młoda kobieta, przyciągnięta przez baroneta, powiedział po chwili milczenia:

— Ona także nie żyje.

— Cześć pomszczona: — odpowiedział Harrisson.

— Przebacz im! — dodał Horacyusz, pokazując trupa Hopkinsa, leżącego obok tej, którą uwiódł.

W godzinę po tem walka ustała, wojsko generała Colley cofnęło się aż do obozu, oszańcowanego nad rzeką Ingogo. Colley pozostawił na górze Biggurs więcej niż trzystu zabitych i tyłuż rannych, których Burowie opatrzyli z prawdziwem uczuciem ludzkości.

Powstańcy, raczej chłopi, walczący za swoją niepodległość, stracili kilkunastu ludzi, a pomiędzy nimi sir Fryderyka Harrisson, odnalezionego z jedenastoma ranami od bagneta, w przepaści, która otaczała pozycję transwaalczyków.

Jan Vaillant kazał go pochować, razem z miss Anną, pośrodku walecznych, którzy zginęli na polu bitwy. Pastor obecny wygłosił mowę patryotyczną w chwili, kiedy ostatnia garść ziemi spadała na nieboszczyków, uspionych snem wiecznym, dzielnych obrońców wolności Rzeczypospolitej południowo-Afrykańskiej.

Clodion Endes nie miał czasu oddawać się boleści, jaką, pomimo ostygnięcia miłości, odczuł, dowiedziawszy się o śmierci miss Anny.

Wiedział, że wielka odpowiedzialność na nim ciąży. On to bowiem pociągnął górników do buntu; teraz, bądź cobądź, musieli wyjść z walki zwycięzko,<sup>1</sup> pod gro-



zają wywłaszczenia z koncesyj, na co naraziłby swoich przyjaciół, którzy byli mu posłuszni i którzy rzucili pierwsze ziarno powstania ogólnego.

Było to kwestyą życia lub śmierci dla diggerów; a skoro pierwszy krok uczyniono, niepodobieństwem było się cofać.

Wieczorem, po dniu walki bohaterskiej, kiedy Mary kończyła opatrywanie rannych, wspomagana przez Luisę i panią du Champ, ojciec Jeremiasz odciągnął na bok Clodiona.

— Co się stało? — zapytał tenże.

— Powstanie rośnie — odparł dawny oberżysta.

— W której stronie?

— W Lang's Nelz.

— Ba! generał Colley nie tak prędko nas zaczepi.

— Bo widzi pan — nastawał Jeremiasz — tutaj nie jesteśmy potrzebni.

— A tam — dokończył Clodion — nasze ręce potrzebne dla sprawy ogólnej?

— Tak, właśnie! — rzekł starzec.

— Dobrze!.. Będziemy tam na czas — rzekł Clodion, wykręcając się na piętach.

Zwołał znaczniejszych górników i wodzów burских. Udzielił im wiadomości świeżej i postanowiono, że walczący z góry Biggurs połączą się ze swoimi braćmi w Lang's Nelz.

Zaczęła się serya marszów forsownych, ażeby uniknąć zasadzek anglików; w końcu dwa oddziały trans-



waalskie połączyły się dla wzięcia udziału w bitwie pod Amajuba.

Fermerzy i górnicy, którzy rozłączyli się, ażeby walczyć osobno, uszczęśliwieni byli, z odnalezienia się u stóp stromego szczytu Lang's Nelz, który panuje ponad przejściem prawie niedostępnem, na 6,000 stóp wysokości.

Nagle, wśród powitań braterskich, rozległa się trąbka do ataku; sześć kompanii angielskich zajęło szczyt góry Tête-Pointue, a wódz burów dał rozkaz iść do ataku. W mgnieniu oka uszykowały się szeregi, kilkanaście oddziałów ruszyło krokiem śpiesznym pod gradem kul.

Cudowny był widok tych ludzi, przywykłych do polowania, do wypraw awanturniczych, jak drapali się po wystających kamieniach góry.

Kule, jak deszcz, padały, lecz długi wąż dzielnych górali szedł naprzód zygzakiem wzdłuż pagórka, wspomagając się, aby nie runąć w przepaść wyrostkami mimosy i wrzosów różnych rodzajów. Za każdym razem gdy który oddział dosięgał wierzchołka, ogień rotowy kładł kilka rzędów trupów, które piętrzyły się jak nowy okop dokoła pozycyji angielskich.

Wreszcie Brooklyn uczepił się rękami ogromnego bloku skały, który zepchnął i który zrobił przerwę w batalionie angielskim, służąc jednocześnie za tarczę burom najodważniejszym, i dając im stanąć mocno na szczycie płaskim.

Była to rzeź straszna



60-ty pułk, ogarnięty paniką, uciekł prosto do In-gogo: z 58-go pułku siedmiu ludzi ocalało tylko i po-wróciło do Neurastle: Highlanderów w pień wycięto, do ostatniego,

Generał Colley padł, śmiertelnie ugodzony.

Nowe to zwycięstwo transwaalezyków nad nieprzy-jacielem, mającym wyższość oficerów i artyleryi, do-wiodło raz jeszcze, co mogą ludzie zdecydowani wywal-czyć niepodległość i czerpiący siłę i odwagę w patryo-tyzmie.

Anglicy znów musieli czekać na posiłki, żądane z Londynu i z Kalkuty: agenci rządu brytańskiego zrozumieli odtąd, że zanim zaczną jeszcze gerylasów transwaalskich, potrzeba sformować armię prawdziwą.

Burowie nie opuścili Lang's Nelz, który zdobyli; i długi czas fortyfikowali się wśród skał i gromadzili żywność w fermach i wsiach sąsiednich...

Oczekiwano kroków nieprzyjacielskich i miano się w pogotowiu.

Podczas długich godzin bezczynności cały oddział Jana Vaillant schodził się dokoła jednego kotła, w któ-rym żywność się gotowała.

Luisa, ojciec jej i brat, nie opuścili przyjaciół, którzy w chwili krytycznej okazali się tak dzielnymi.

Jednak pewnego wieczora du Plessis oznajmił, że nazajutrz opuszcza obóz burów.

— Opuścić! nas — wykrzyknął Jan Vaillant, nie mogąc wyjść z podziwienia, gdyż nie wątpił o patryo-tyzmie starego bura, a przywykł żyć przy boku tej, którą kochał i przez którą był kochany.



— Odjedziemy, ojcze? — mówiła ze swej strony młoda dziewczyna, czerwieniąc się i z oczyma spuszczo-nemi.

— Ależ tak, nie możemy przecie zostać tu na wieki — odpowiedział z uśmiechem pan du Plessis.

— A jeśli podczas naszej nieobecności anglicy po-wrócą?.. — zauważył Clodion.

— Nie powrócą.

— Zkąd pan wie?

— Dobrze jestem poinformowany; wiem od rana, że, dzięki naszym stronnikom, którzy nie pozostali bez-czynnymi w Londynie, rząd angielski zdecydowany jest, ażeby nam dać zadość uczynienie.

— Przez uznanie naszej niezależności? — zapytał Clodion Endes.

— Koniecznie! — odparł starzec. — Wreszcie, uczu-cia nieprzyjazne za długo już trwają.

— To dlatego — zawołał Jeremiasz — że oni czezą piękne słowa i pokrywają pięknymi sentymentami rze-czy brzydkie i wstrętne... Ukradli nam nasz własny kraj, naszą niepodległość, tak my wierzymy? O nie, oni mówią: jej królewska mość, królowa Wielkiej Bry-tanii chciała tylko zaopiekować się kilkoma biednymi murzyna-mi i kilkoma wiernymi poddannymi; reszta, to tylko drobne szczegóły. Powstajemy przeciw najeźdźcom, ciemieżycielom? O nie! my jesteśmy poprostu niewdzię-czni; a gdyby generał Colley nie umarł, byłby nas oskarżył, że wystrzelaliśmy nasz proch jedynie dla dowiedzenia naszej radości, iż jesteśmy pod jarzmem angielskiem: na nieszczęście, umarł.



Otoczono kołem starego oberżystę, który, byłby gadał bez przestanku, gdyby du Plessis mu nie przerwał.

— Dziś — rzekł — kłamstwa są jawne. Posiadamy w Anglii i w Ameryce licznych przyjaciół, którym się udało przeciągnąć większość na naszą stronę, i wszyscy wzięli w obronę buntowników, tak gorąco broniących swojej niepodległości. Nareszcie wyjaśniło się: świat zrozumiał okrutną niesprawiedliwość, jaką rząd angielski był w trakcie spełnienia w Transwaalu...

Przy tych słowach ozwały się „hura“! w tłumie górników i fermerów.

— Wreszcie — dodał Clodion Endes — John Bull dobrze robi, że przecie otworzył oczy... Gdyby wojna potrwała jeszcze czas jakiś, wszystka ludność niderlandzka i francuska ujęła by za broń przeciw anglikom.

— Tak! — rzekł ojciec Jeremiasz — wtedy wojska brytańskie zobaczyłyby, że od Przylądka do Limpopo tworzymy jedną solidarną wielką rodzinę, farmerzy i górniczy, która postawiła by 290,000 ludzi przeciw 100,000 anglików. Piękna by to była partya do rozegrania — dodał oberżysta.

— Nie biorąc w rachubę — rzekł Jan Vaillant — że gdyby nawet zwyciężyli, nie czuliby się bezpieczni w kraju, który by się stał nieprzejednanym. Krew, co w naszych żyłach płynie, czyż nie jest tą samą, co bohaterских Holendrów, którzy kiedyś, przez ciąg wieku całego walczyli z potęgą Hiszpanii, aby zdobyć



niepodległość? Więc po co składać broń, kiedy zwycięstwo wzywa nas do walki zjadłej?

— Bo nie trzeba kusić Pana Boga — odparł stary du Plessis — bo ministerjum Gladstona zrozumiało, iż lepiej naprawić błąd Bikonsfilda, niż upierać się przy wojnie, rzucającej plamę na sztandar angielski!

— Więc to zadośćuczynienie nam ofiarują? — Zapytał Joubert.

— Tak — odparł du Plessis.

— Zobaczmy jakie — zapytali znaczniejsi burowie, zbliżając się do starca.

A ten wyjął z kieszeni dużą kopertę rozpieczętowaną i rzekł:

— Generał Wood proponuje Burom w Transwaalu warunki pokoju, i uznaje niepodległość Rzeczypospolitej Południowo-Afrykańskiej.

— Czytaj! Czytaj! — ozwały się głosy niecierpliwe.

Du Plessis głosem czystym czytał dokument; raczej punkty, które rząd tymczasowy powinien był rozważyć.

1° Zwierzchność królowej angielskiej nad Transwaalem pozostaje uznana:

2° Burom gwarantuje się pełna i całkowita niepodległość:

3° Kontrola nad sprawami zagranicznymi będzie zachowana dla Anglii:

4° Rezydent angielski zamieszka w przyszłej stolicy Transwaalu:



5° Utworzona zostanie komisya angielska, obowiązana czuwać nad interesami krajowców i regulować kwestye graniczne:

6° Burowie opuszczą pozycye w Nelz i rozejdą się do swoich siedzib:

7° Generał Wood obowiązuje się nie posyłać do Transwaalu ani garnizonu, ani amunicyi wojennej.

8° Komisya zadecyduje, czy są jakie kawałki terytorjum do oderwania od niektórych okręgów wschodniego Transwaalu.

Długo cisza zapanowała po tem czytaniu.

Przeróżne wrażenia malowały się na obliczach słuchaczy...

W końcu wystąpił Jeremiasz:

— A coś odpowiedział, landhorst?

— Że nie mam żadnej władzy przyjęcia lub odrzucenia tego traktatu — odpowiedział du Plessis — lecz że w imieniu naszego rządu zawieram z jenerałem Wood rozejm piętnastodniowy, a przez ten czas tryumwirat przybędzie.

Rozległy się brawa...

— To nie wszystko — ciągnął starzec: — lata dały mi doświadczenie, jakiego brakuje może u was niektórym; wiercie mi, nie rujnujmy kraju; a ponieważ Anglia udziela nam czasu do uśmierzenia zobopólnych niechęci, naszą powinnością ludzi honorowych jest nie zrywać rozejmu, uczciwie udzielonego.

Wszyscy Burowie pochyłili głowy na znak zgody.



Du Plessis zakończył:

— Pozostawimy tu z nas niektórych, dopóki tryumwirat nie zadecyduje; lecz ci, których claimy lub pola ich powołują, mogą śmiało złożyć broń w przeciagu dni piętnastu. W chwili, skoro walka rozpocznie się na nowo, wiem, że ani jednego z nas nie zabraknie do apelu! Nigdy nie jest zapóźno naprawiać pomyłki — dodał jeszcze stary du Plessis.

## VII.

### Koniec wieńczy dzieło.

Rietfontain, rozległa posiadłość, usiana lasami, mieszcząca wielką ilość ferm, jest zachwycającem miejscem pobytu.

Jan Vaillant znajdował ją przepiękną. Miał do tego najlepszy jaki może być na świecie powód: kochał.

To też pierwsze dni, tu spędzone, minęły dla niego z błyskawiczną szybkością.

Rano, pewnego dnia, przechadzał się w parku przed domem mieszkalnym, czekając zapewne, żeby otworzyło się okno dolne mu znane, gdy naraz wyrwał go z medytacji głos starego du Plessis, który zbliżał się w towarzystwie ojca Jeremiasza.

— Pan tutaj? — odezwał się Jan Vaillant do dawnego oberżysty, ażeby pokryć pomieszenie.



— Tak! i z ważnemi wiadomościami! — odparł ojciec Luisy.

Wtedy dopiero paryżanin spostrzegł wyraz niepokoju, malujący się na twarzach obydwóch starców.

— Cóż znów nowego? Mówcie — rzekł Jan Vailant, zaniepokojony także.

— Pokój zerwany!

— Czyż przeciwnie nie zawiadomiliście mnie, że ostateczny traktat został podpisany w Newcastle i że 3,000 Burów z Lang's Nelz opuściło swoje stanowiska, ażeby wrócić do ferm i claimów?

— Tak, wczoraj była taka wiadomość.

— A dziś?

— Wojna znów...

— Anglicy podeptali wszystkie prawa honoru i prawa ludzkie — wykrzyknął paryżanin.

— Wcale nie...

— No więc?

— To my jesteśmy winni!

— My?

I w tem jednym słowie paryżanin wyraził takie bezgraniczne zdziwienie, że Jeremiasz uważał za stosowne zabrać głos dla wyjaśnienia ostatnich wypadków, jakie doszły do oazy Retfontain, bardzo długo po ich spełnieniu.

— Tego samego dnia kiedy opuściliśmy Lang's Nelz, gwałtowna bitwa odbyła się w Potschefstroom.

— Zapewne była wywołana ze strony rządu, lub wojsk brytańskich?



— Wcale nie... lecz nasi rodacy nie wiedzieli, że traktat pokoju podpisany; zaatakowali więc anglików, zabrali im armaty, zabili ośmnastu ludzi, poranili setkę i zmusili garnizon do poddania.

— Wiedziałem dobrze — ciągnął Jeremiasz — że ten pokój nie będzie możliwy; warunki za ciężkie w nim dla Burów. Nasza godność dotknięta przez uznaną zwierzchność królowej Wiktoryi; przez opiekę nad interesami krajowców ze szkodą osadników; przez nominację rezydenta brytańskiego; przez wszystkie te przywileje, które pozwalają Anglii mieszać się, jak uzna dla siebie za stosowne, w sprawy Rzeczypospolitej.

— W każdym razie to jest formalne wypowiedzenie wojny — zauważył du Plessis — ta utarczka pod Potschefstroom. Przyznaję że fuzya zaczyna ciężać moim starym plecem.

Przerwał... Jakiś mężczyzna biegł pędem do nich.

— Czy wiecie najświeższą nowinę? — krzyczał Clodion, bo to był on.

— Wiemy, nowa potyczka, nowa wojna!

— Tak właśnie, ale następstwa.

— Następstwa? — rzekł Jeremiasz zdziwiony.

— To, co się dzieje obecnie.

Clodion oddychał, nie zważając na niecierpliwość słuchaczy; następnie, złapawszy dech, zawiadomił ich, iż wraca z Potschefstroom, gdzie był w interesie górników, podczas zawieszenia broni.

Skoro tylko wyszedł termin zaprzestania kroków nieprzyjacielskich, wszyscy Burowie napowrót za broń



ujęli i poszli na fort i koszary, gdzie się Anglicy okopali.

Utarczka zakończyła się zwycięstwem, a w dwa dni później przybyło zawiadomienie urzędowe o podpisaniu traktatu pokoju, i ustanowienie tryumwiratu: Krüger, Joubert i Pretorius — dla przedstawiania interesów Transwaalu w komisji krajowej.

Trzej ci delegaci traktowali, idąc za instrukcjami Volksraadu (zgromadzenia ludowego) które na sesyi w dniu 16-ym kwietnia 1881 r. wydało tę deklarację energiczną: „Że członkowie zgromadzenia dadzą prędzej zabić się co do jednego raczej, niż przystaną na odstąpienie piędzi ziemi“.

Burowie z Potschefstroom na tę wieść wytłomaczyli się anglikom, którzy, wypuszczeni w tej chwili na wolność, niczego więcej nie żądali.

— Więc to pokój stanowczy? — zawołał du Plessis, o tyle teraz wesoły, o ile przedtem był stroskany.

— Stanowczy! — odpowiedział Clodion Endes.

— Hura, Transwaal! — krzyknął Jeremiasz.

A ojciec Luisy dodał:

— Tem lepiej! Idźmy udzielić tej dobrej nowiny wszystkim moim gościom i moim dzieciom!

Tego samego wieczora po kolacyi pan du Plessis i jego żona poprosili Jana Vaillant, aby przeszedł z nimi do salonu osobnego.

Jak tylko drzwi zamknięto, stary Bur podszedł do paryżanina, a ściskając go za rękę silnie, odezwał się:



— Ocaliłeś od śmierci mojego syna; niech Wszehmocny błogosławi każdy dzień twojego życia!

Matka rzuciła się na szyję Jana Vaillant i ucałowała go.

— Gdyby nie ty — rzekła — nosiłabym dziś żalobę.

Hektor zbliżył się i uściśnął w objęciach paryżanina.

Luisa łkała w kąciuku. Poraz pierwszy młoda dziewczyna nie mogła zapanować nad wzruszeniem.

Łzy z serca napływały jej do oczu.

Matka poszła i wzięła ją za rękę.

— Podziękuj także panu — powiedziała.

Lecz Luisa zanadto była wzruszona, żeby mogła mówić.

Podąła mu rękę i podniosła na francuza oczy, pełne wyrazu miłości i wdzięczności.

Po wieczornej modlitwie, Jan powrócił do swego pokoju; przed łóżkiem był rozłożony wspaniały czaprak z tygrysiej skóry, a na nim dwie wiązanki kwiatów, jedna z róż laurowych, druga z nieśmiertelników, pomieszanych z niezapominajkami.

Paryżanin całą noc nie zmrużył oczu.

Szczęście spać mu nie dało. Przed żadnym niebezpieczeństwem, w toku walki zaciętej, nie czuł się tak wzruszony, jak tą sceną rodzinną, której był bohaterem.

Wstał bardzo rano, przywdział najpiękniejsze ubranie, wyjął z pudełeczka safianowego wspaniały pierścionek z brylantami, drogocenny naszyjnik z pereł, od-



prowadził na stronę Hektora du Plessis i zobowiązał go, aby był tłumaczem uczuć jego i prosił ojca o rękę Luisy dla niego.

Starzec rozkazał Hektorowi przywołać matkę i siostry; jak tylko przyszły, objawił im prośbę Jana Vaillant i zadał córce, bardzo wzruszonej, pytanie następujące:

— Czy chcesz zostać żoną człowieka którego ja szanuję i który godny jest ciebie?

— Tak, ojcie — odpowiedziała Luisa z oczyma spuszczoneymi — z twojem przyzwoleniem i błogosławieństwem.

Starzec przyciągnął ku sobie oboje młodych, wyciągnął ręce po nad ich głowy pochylone, i uroczyste dał im błogosławieństwo.

Potem ucałował ich w czoła.

Jan wręczył Luisie pudełko safianowe, mówiąc:

— Przyjmij te klejnoty; ty jedna jesteś godna je nosić...

Pani du Plessis z dziecinną radością założyła perły na szyję córki.

— Pocałuj swoją narzeczoną — rzekła do paryżanina. — Będiesz miał żonę, jakich mało, lecz zasłużyłeś na taką.

Jan Vaillant wykonał z pośpiechem polecenie matki, a brat zawołał:

— To będzie najpiękniejsza para, jaką kiedykolwiek widziałem!

Brooklyn, zawsze uroczysty, ujął w swoją szeroką rękę dłonie Jana Vaillant i Luisy; uściśnął je do bó-



lu; potem, z palcem wzniesionym w niebo, wyrzekł kilka ustępów z Bibli, kończących się temi słowy:

„Bóg błogosławi dobrych, aż do dalekiego ich potomstwa!“

.....

Niedługo, bo w trzy tygodnie potem ogromne kryte wozy, pełne zaproszonych gości, napływały do Riet-Fountein.

Dzień sobotni oznaczono na ceremonię ślubną, w ogrodzeniu koło osady du Plessis'a, 52 kryte ogromne wozy stały, i 65 jeźdźców i amazonek.

Oprócz tego był jeszcze tłum mężczyzn, kobiet, dzieci i niezliczona ilość sług kafrów, przybyłych z każdą rodziną.

Każdy chciał uścisnąć dłoń tego, którego nazywano de dapper Frenchmann (dzielny francuz).

Zaproszeni przywieźli masę prezentów dla narzeczonej; były tam worki zboża, nasion kwiatowych, narzędzia rolnicze, sprzęty kuchenne, srebro, siodła, czapraki, uprzęża; kilkanaście par pięknych koni pociągowych, ośmnaście wierzchowców; wzorzyste kobierce, cały komplet bielizny stołowej; maszyna do szycia, sztuki całe różnych materyałów, wspaniały stolik do roboty, orzechowy, kunsztownie rzeźbiony, i t. p.

Jan Vaillant uśmiechnął się, ujrawszy podarek jednej z kuzynek Luisy: kołyska, wybita atłasem różowym, i ubrana wieńcami róż i kwiatu pomarańczowego.



Inni znów krewni i przyjaciele dawali: jeden sta- do baranów, drugi wołów; następnie sprzęty, powozy, aż do pługów i kierzni do masła robienia.

Przez pośrednictwo młodej Burki jeden z nich wypowiedział małą mówkę, której sens był taki: że odtąd paryżanin należy do wielkiej rodziny transwaalskiej i że uważają go za brata. Przypięli do kapelusza Jana Vaillant dużą kokardę transwaalską i z takich że wstążek drugą na piersiach; następnie wzniesli w górę szklanki i wykrzyknęli wszyscy razem:

„Niech żyje Francya! Niech żyje Transwaal!“

Jan Vaillant odpowiedział toastem, który Luisa przetłumaczyła na język holenderski.

Mówił, jak mógł najlepiej, szczęście zrobiło go wymownym. Wszyscy zebrani mężczyźni podnieśli się razem, jak gdyby za poruszeniem sprężyny, i z całej siły płuc wykrzyknęli trzykrotne: hura! potem, na znak wesołości strzelali z fuzyi w powietrze.

Paryżanin myślał, że ceremonje skończone, ale gdzie tam; jeden Bur przyniósł wielki sztandar transwaalski, podobny kolorami do francuskiego, z tą różnicą, że zielona wstęga idzie wzdłuż drzewca, z pod której wychodzą poziomo trzy pasy kolorowe, zamiast prostopadle jak w sztandarze francuskim.

Sztandar utknięto w ziemię, a Luisę i Jana Vaillant ustawiono w fałdach jego. Wtedy dumni ci wieśniacy, zbrojni w straszne swoje karabiny, otoczyli wielkim kołem sztandar; i na komendę wystrzelili po trzykroć w powietrze na cześć narzeczonych.



Ojciec de Villier, którego wybrano na komendanta wojennego całego okręgu, wytłomaczył po angielsku, co ta cała ceremonia symboliczna znaczy; oto że młoda para jest odtąd pod opieką wszystkich transwalczyków, następnie prosił paryżanina, żeby złożył przysięgę wierności dla sztandaru, pod którym będzie miał zaszczyt służyć.

Nowe hura! powitały wejście francuza do armii transwaalskiej.

Komendant podał mu wspaniały karabin honorowy, uwity w liście i kwiat róży laurowej, a na banderoli w kolorach narodowych napisane po angielsku i po holendersku:

*Dzielnemu francuzowi, pogromcy lwów*  
wdzięczni przyjaciele  
z okręgu Lydenburga“.

A nad tem dewiza narodowa:

*„Eendracht maakt macht.“*  
(Jedność tworzy siłę).

Ojciec Joubert kazał przyprowadzić wspaniałego ogiera skaro-gniadego, osiodłanego jak do potyczki, i rzekł do Jana Vaillant:

— Kochany kuzynie, przyjmij tego konia; sam go wychowałem, dzielny jest i nieustraszony; idzie na lwa, co jest bardzo rzadkim; staraj się, żeby cię kochał, gdyż dumny jest i godny być twoim koniem do bitwy; dał te dowody w ostatniej kampanii przeciw anglikom



starszy moj syn, który był w pierwszym rzędzie, szarżujących na baterye angielskie. Siedział na tym szlachetnym rumaku, który się nazywa: Blinken (Piorun).

Jan Vaillant podziękował czcigodnemu kuzynowi z białą brodą, za to, że dopełnił miary zaszczytów, z których był dumny.

Luisa rzekła mu do ucha:

— Uściskaj go, to jest wypróbowany przyjaciel.

Ogólne uściski w najlepsze się rozpoczęły.

Dla zakończenia, komendant kazał wsiąść na koń wszystkim swoim ludziom, ustawił ich w szyk bojowy, dał znak Janowi Vaillant, żeby stanął przy jego boku; wtedy ze sztandarem i trąbką na czele, przedefilowano przed narzeczoną, ojcem jej i matką, prezentując broń; i tak było przez całe pół godziny.

Weszli do domu jak raz wtedy, kiedy pastor przybył.

Pastor wygłosił elegancką przemowę, zastosowaną do wydarzenia, które zgromadziło tak wielką ilość paryotów dla uczczenia tego dnia pamiętnego; ślub odbył się w samo południe.

Obiad rozpoczął się o drugiej, a trwał do dziesiątej wieczór; a że zbrakło miejsca dla wszystkich w sali jadalnej, choć była ogromna, zaimprovizowano stoły pod drzewami i wszystko odbyło się wesoło.

O dziesiątej bal się rozpoczął w sali jadalnej, dokąd przyniesiono fortepian i gdzie złożyła się zaraz kompletna orkiestra amatorska.

Bal rozpoczęli nowożeńcy.



Luisa dostała w posagu 23,000 funtów sterlingów w gotówce, i trzy fermy, nazywające się: *Schoengerigt*, *Blamokrantz* i *Grasskop*.

— Bardzo praktyczny ten paryżanin! — mówił William Linden.

W Transwaalu niema zwyczaju odbywać podróży poślubnych, lecz za to uroczystości poślubne trwają całe dwa tygodnie.

Jedną część gości, którzy mieli interesy pilne odjechali; lecz pozostało dosyć, ażeby przez dwa tygodnie trwały bale, kawalkady, koncerty i strzelanie do celu.

Całym towarzystwem odwiedzono trzy fermy Luisy, która wybrała w nich miejsce do stawienia budynków mieszkalnych. Młode małżeństwo miało pozostać u rodziców, do czasu skończenia domu w *Schoengerigt*.

W chwili gdy nowożeńcy powracali do domu rodziców, zatrzymał ich Clodion Endes:

— Kochany mój, Janie — rzekł marsyleczyk. — Ja tylko jeden zapomniałem o prezencie ślubnym dla twojej żony. Masz go teraz...

Podał mu pęk papierów.

— Tylko nie czytaj — zawołał — masz co innego do roboty. To jest poprostu koncesya.

— Jaka koncesya?

— Nie domyślasz się?

— Nie!



— Otóż to jest koncesya nowego rządu Republiki południowo-Afrykańskiej na wszystkie ziemie w Elands Haeck.

Luisa chciała odmówić.

— Zatrzymaj ten akt urzędowy — rzekł Clodion Endes — jadę do Europy, ażeby utworzyć towarzystwo, które dostarczy nam kapitałów potrzebnych, aby uczynić wszystkich akcyonaryuszów milionerami.

.....

W kilka dni potem, Clodion Endes, na pokładzie statku angielskiego, opuszczał Durban, udając się do Paryża.

K O N I E C .



WV/S



45684

5600  
/ 1007



Marta, romans przez Ksawerego Montepina . . . . .	74
Maz Małgorzaty, powieść przez Ksawerego Montepina . . . . .	30
Mistrz magów, powieść p. Elżbietę Stuart-Phels i Herberta D. War . . . . .	75
Mistrzowie ze strzelbą, przez I. Szezyngiera . . . . .	74
Mala Parafia, powieść przez Alfonsa Daudeta . . . . .	64
Novis, romans współczesny przez Juljusza Claretie . . . . .	1
Niewolnice igły, powieść z angielskiego . . . . .	64
Na leśnictwie, powieść przez J. Warringa . . . . .	54
Novelle-Komedje, różnych autorów, serya I i II po kop. . . . .	71
Novelle-Powiatki, oryginalne i tłumaczone. . . . .	54
Oko za oko zęb za zęb, powieść, przekład z węgierskiego p. Petofi . . . . .	54
Ostatnia miłość, powieść przez Jerzego Ohnet'a . . . . .	64
Ondyna, powieść przez Andrzeja Theuriet'a . . . . .	34
O prostytucji, wyd. drug. znacz. powiększone p. M. Kamińskiego . . . . .	1
Pamiętniki weterana napoleońskiego (Winc. Płaczkowskiego) . . . . .	34
Pani de Palme (La petite comtesse), powieść p. Oktawjusza Feuill . . . . .	74
Pani de Dreux, powieść przez Henryka Gréville . . . . .	64
Pani Tapin, powieść przez Pawła de Kock . . . . .	64
Pawel i jego pies, powieść przez Pawła de Kock . . . . .	15
Płaski, szkice z letniego mieszkania, przez Wł. H. Kondratowicz . . . . .	24
Pokój zbrodni, romans przez Eugeniusza Chavette . . . . .	44
Podpora rodziny, powieść przez Alfonsa Daudet'a . . . . .	74
Porwana głowy, powieść Fortunata Boisgobey'a . . . . .	74
Pomada na włosy, powieść przez Maurycego Jokaja . . . . .	1
Polanin, czyli Notatki, uwagi i rady dla Ziemian-Rolników prze B. Osuchowskiego . . . . .	74
Powachodzie słońca, powieść p. Wincentego Ślepowron-Ronis . . . . .	34
Pomszczona cześć, powieść przez Piotra Sales . . . . .	74
Pod Tyarą Papieża, romans historyczny przez Emila Gebharta . . . . .	34
Proboszcz z Favières, powieść przez Jerzego Ohnet'a . . . . .	44
Poradnik weterynaryjny, przez L. Buczwińskiego weterynarza . . . . .	15
Rodin czyli duch na drodze pokuty, romans alegoryczny prze Józefa Symeona Boguckiego 3 tomy . . . . .	15
Stan Trzeci, powieść historyczna z czasów sejmu czteroletniego przez Zygmunta Lucyana Sulimę . . . . .	64
Santne dnie, powieść przez Maurycego Jokaja . . . . .	64
Sława i honor, szkice z wojny prusko-francuz. 1870—1871 roku przez margrabiego G. de Cherville . . . . .	74
Słyszna noc, powieść oryginalna przez Ramestana . . . . .	1
Slinks, powieść przez Fryderyka Spielhagena . . . . .	64
Sprawiedliwość, powieść przez Hektora Malota . . . . .	1
Srostrzyczka, powieść w 2-ch tomach przez Hektora Malota . . . . .	1
Szawa Matapana, powieść przez F. de Boisgobey'a . . . . .	24

Biblioteka Uniwersytecka

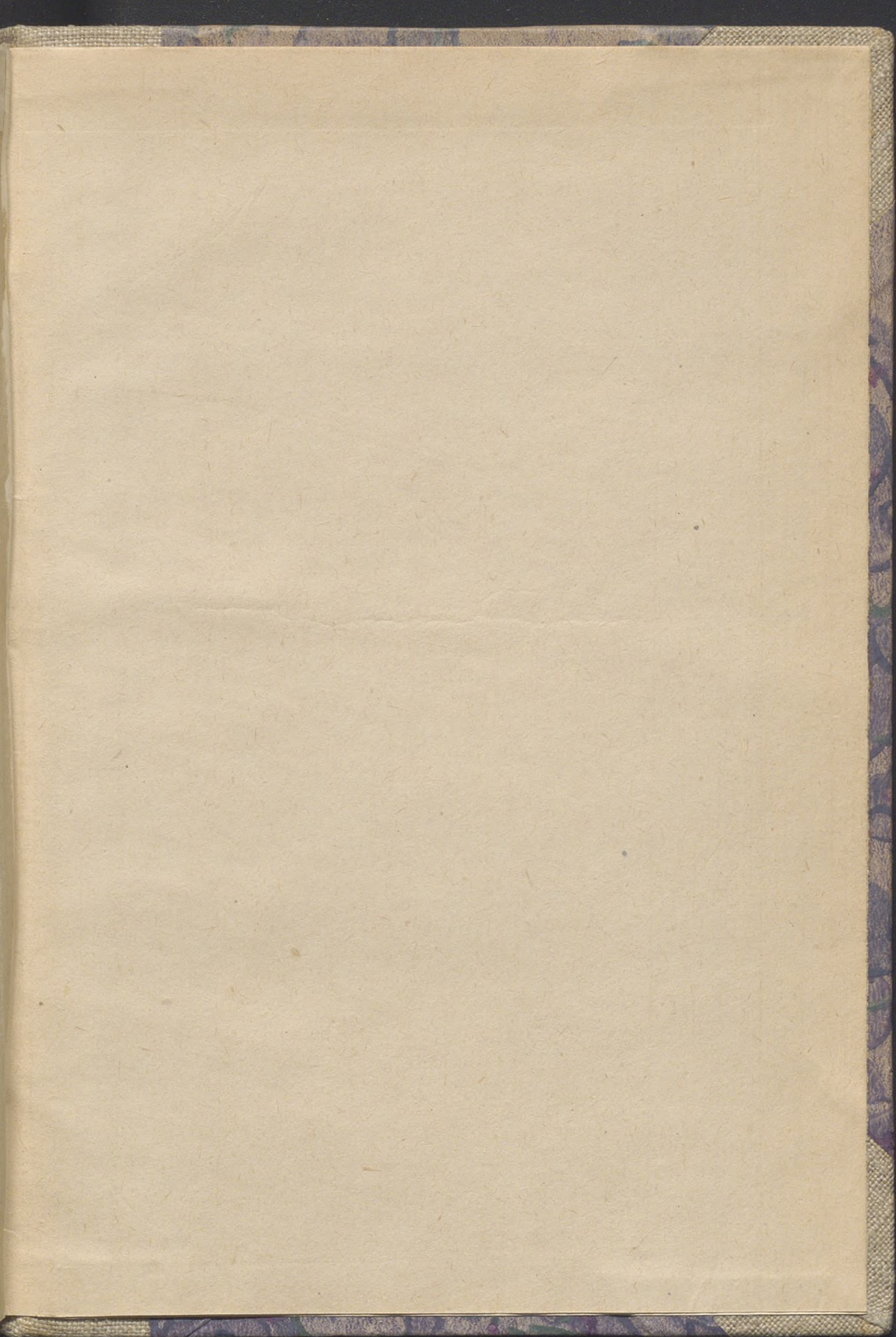


Serce czy posag? powieść przez M-rs Edwards. . . . .	— 60
Spalić, opowiadanie nieprawdopodobne przez Juliusza Lermine . . . . .	— 25
Szalone głowy, powieść oryginalna przez Włodzim. Zagórskiego . . . . .	— 75
Szwedzi w Polsce, romans historyczny w 2-ach tomach przez Michała Czajkowskiego . . . . .	1 —
Tajemnica pana Feliksa, powieść w 2-ach tomach przekład z angielskiego . . . . .	1 —
Tajemnica urodzenia, romans przez Juliusza Mary . . . . .	— 90
Tajemniczy strzał, powieść przez Jana Berny . . . . .	— 45
Taniec miliardów, powieść przez Eugeniusza Moret'a . . . . .	— 90
Tajemnica Tytana, powieść w 2-ach tomach przez K. Montepin'a . . . . .	1 50
Trzech zbiegów czyli podróż po Syberji, przez Tissota i K. Amero . . . . .	— 50
Trębacz z pod Berezyny, powieść, przez Ponson do Terrail . . . . .	— 20
Walka o imię, powieść w 2 tomach przez Piotra Zaccone . . . . .	— 90
Węglarczyk, romans przez Piotra Sales . . . . .	— 60
Władysław Herman i Dwór Jego powieść historycz. z XI wieku . . . . .	— 75
W przystępie szału, powieść przez Juliusza Mary . . . . .	— 45
W pogoni za milionami Gizeli romans przez Monfermeil'a . . . . .	— 90
W walce z karłami, powieść przez Kapff-Essenthera . . . . .	— 30
Walka życia—Kowal, powieść przez Jerzego Ohnet'a . . . . .	— 75
W drodze za chlebem, powieść oryg. przez M. Wołowskiego . . . . .	1 —
Wdowa z Sologne, powieść przez Ponson du Terrail'a . . . . .	— 30
Wysokie progi, powieść oryginalna p. Walerego Przyborowskiego . . . . .	— 60
Wiwisekcja serca, powieść oryginalna przez Ituriela . . . . .	— 30
Widziadło nocne, romans hiszpański przez Pedra Muerto . . . . .	— 30
Woltyżerka, romans przez Piotra Sales . . . . .	— 90
Wspomnienia ukraiński, przez Roberta Franz . . . . .	— 60
Wiedeń i życie wiedeńskie, przez Wiktora Tissot . . . . .	— 75
Zbieg, powieść przez Juliusza Mary . . . . .	— 30
Ziemia obiecana, romans przez Pawła Bourgeta . . . . .	— 45
Za honor ojca, powieść przez Piotra Sales . . . . .	— 75
Zasadzka, powieść przez Juliusza Mary . . . . .	— 75
Zemsta Vidocq'a, romans historyczny przez Ludwika Noir . . . . .	— 30
Zgubiona, powieść przez Henryka Gréville . . . . .	— 60
Zmarnowane szczęście, powieść przez Ernesta Ecksteina . . . . .	— 60
Za śladem zbrodni, powieść amerykańska przez A. Wooda . . . . .	— 45
Zabójstwo Fryzjera, powieść przez Emila Gaboriau . . . . .	— 15
Zuch kobieta, powieść przez Pawła de Kock . . . . .	1 25
Zygzaki, szkice przez Józefa Waśniewskiego . . . . .	— 60
Żona artysty, powieść przez Piotra Maël . . . . .	— 30
Żyd wieczny tułacz, powieść, ozdobiona licznymi ilustracjami, przez Eugeniusza Sue, 6 tomów. . . . .	3 —

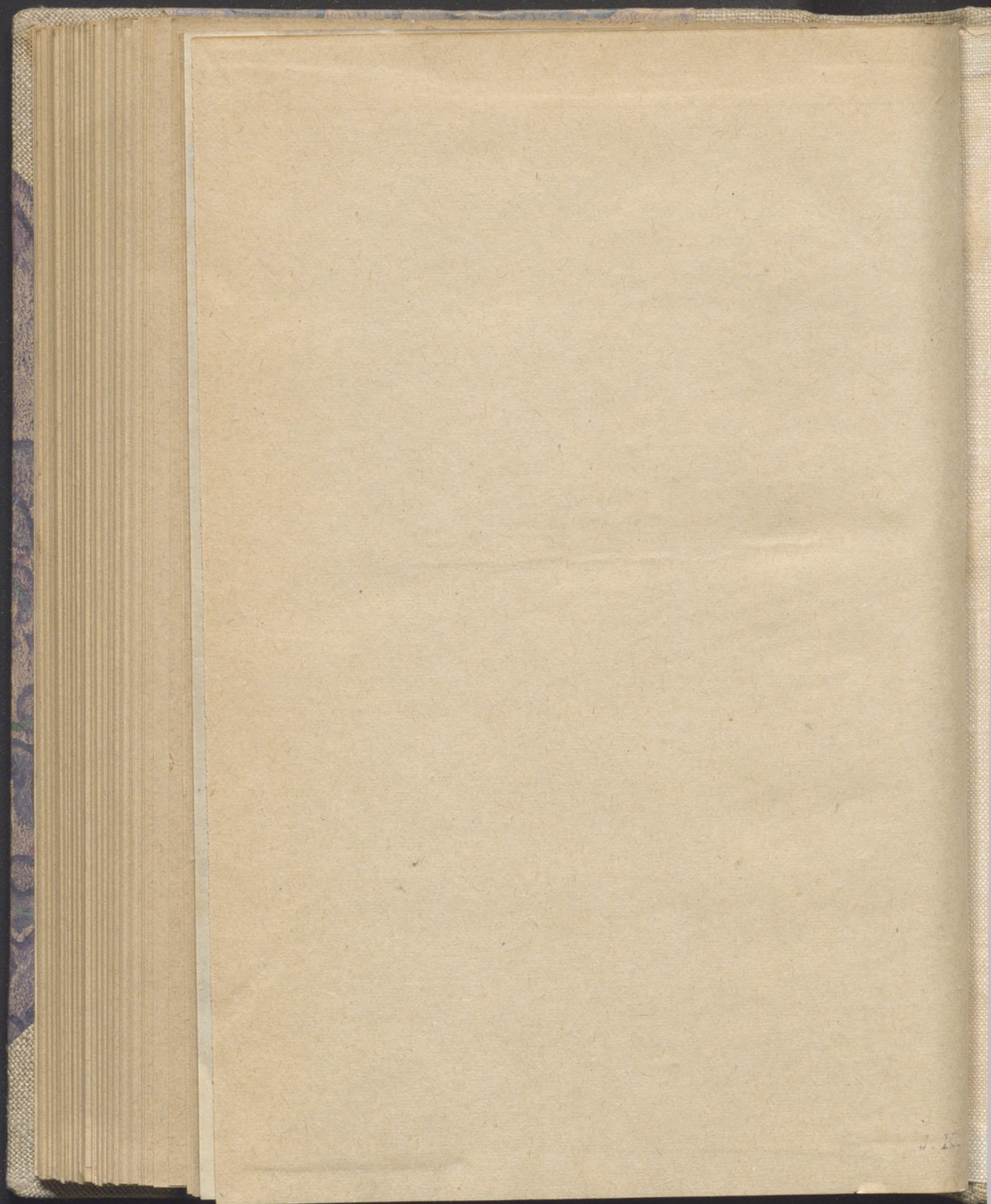
Wszystkie te dzieła są do nabycia w redakcji „Koleców“ ulica  
**Niecała № 12** w Warszawie, oraz we wszystkich księgarniach war-  
szawskich.

20

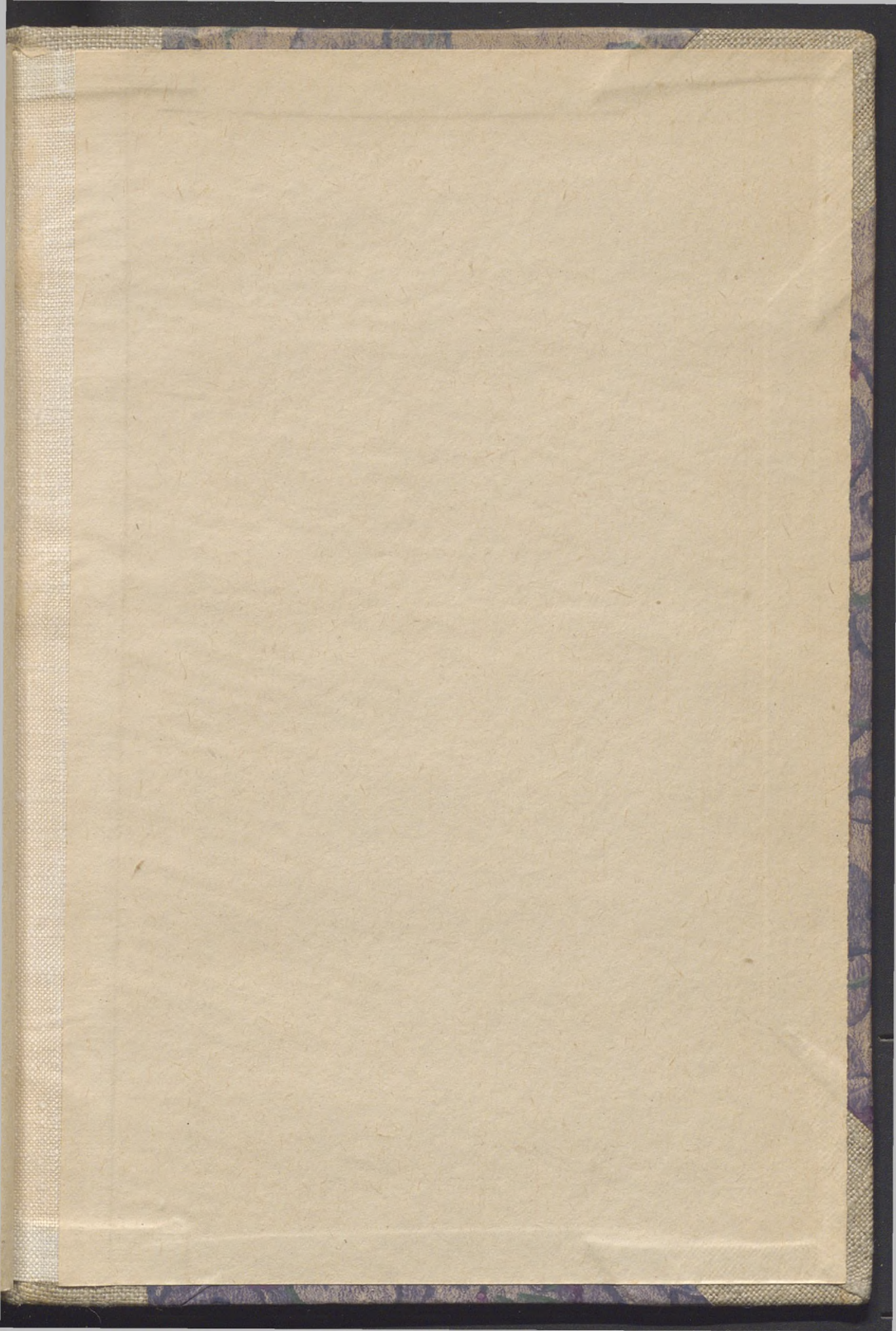
















BN

RBILOTKA  
NARODOWA

558213

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001009038255